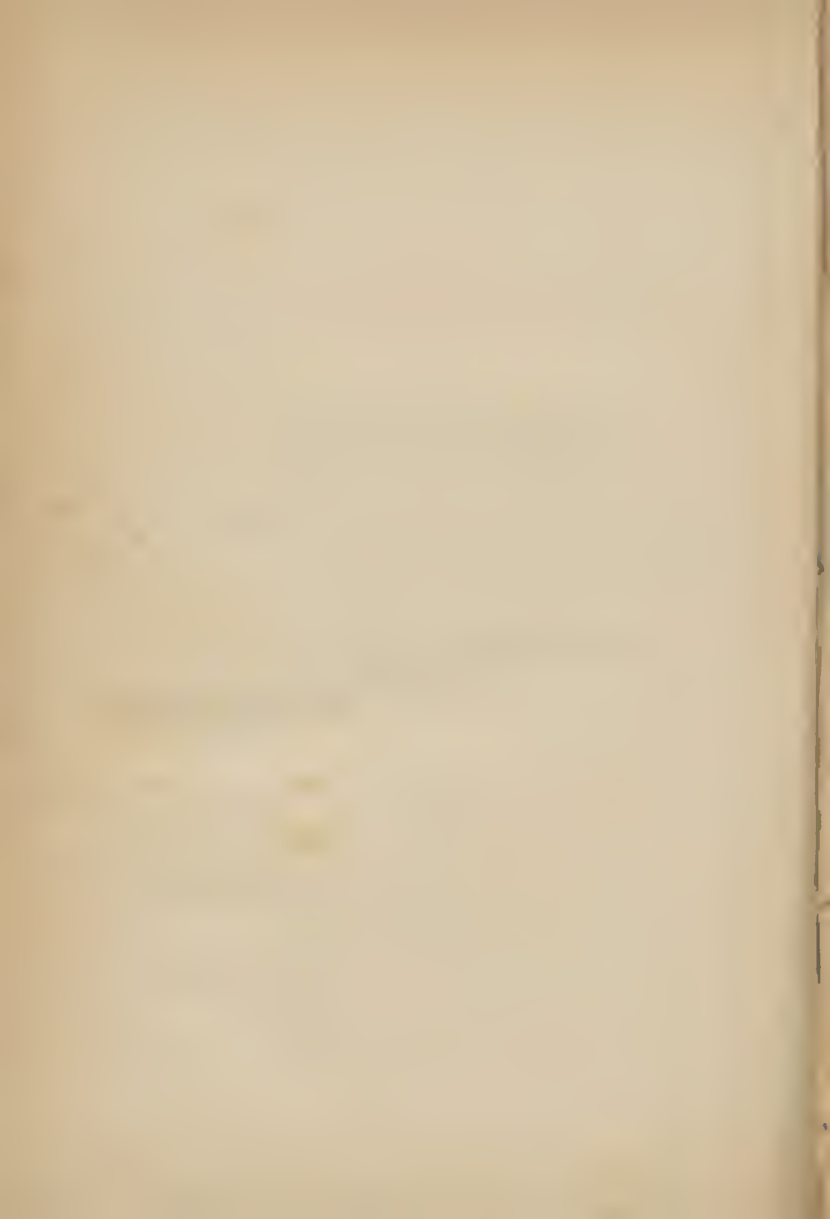


POWIEŚCI HISTORYCZNE
J. I. KRASZEWSKIEGO
(WYDANIE TANIE).

Tom czterdziesty szósty.



MATKA KRÓLÓW

(CZASY JAGIEŁŁOWE).

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

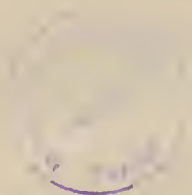
TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

1890.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Января 1890 года.



Друк **Јózefa Jeżyńskiego, Warszawa, Nowolipki Nr 9.**

I.

W wielkiej izbie krakowskiego zamku, pierwszych dni 1428 roku, zgromadzili się poważni mężowie, którzy naówczas więcej, niż sam król Polską rządili i władali.

Jagielli nie było w stolicy.

Na czele, najpotężniejszy z nich wódz i głowa, Zbigniew biskup krakowski, w szatach uroczystych, z twarzą do nich zastosowaną, męża, który się czuje posłannikiem bożym i tłumaczem jego słowa.

Obok niego zasiadał Krystyn z Ostrowa pan krakowski, pierwszy dostojnik korony z Janem z Tarnowa, krakowskim wojewodą, dalej Mikołaj z Michałowa sandomierski wojewoda i kilku prałatów... Wszyscy oni składali jakby trybunał i sąd najwyższy... Sala była pusta, przez okna odbłask śnieżny dnia zimowego wpadał, blado oświecając smutne ich twarze.

Milczeli wszyscy, jakby pod brzemieniem wielkiem, a z westchnień, które się z ich piersi wyrwały, wnosić było można, iż przyszli tu dla spełnienia wielkiego i ciężkiego obowiązku.

W obliczu poważnem starego Jana z Tarnowa malowała się gorycz niewypowiedziana... Najmniejszy szelest niespokojne jego oczy ścigał ku drzwiom zamkniętym jeszcze... Wszyscy oczekiwali z tą natężoną uwagą, z niepokojem, jaki rodzi chwila stano-

weza i bolesna—któraby każdy pragnął przeżyć jak najprędzej i o niej zapomnieć.

Pierwsze krzesło zajmował Zbyszek, biskup krakowski, sparty na ręku, wyczekujący jak drndzy, a niemy i jakby w przeszłość wdumany, którą ta godzina mu przypominała...

Ani dworzan, ani ciekawych, ani nikogo obcego nie było na sali, a to może czyniło ją na wejście straszniejszą jeszcze... Po za podwojami pozamykanymi, głosn żadnego słyhać nie było. Zamek grobową ciszą okryty zdawał się wymarłym, a ci ludzie jedynymi w nim pozostałymi, żałobą okrytymi świadkami jakiejś niewysłowionej żałoby.

Przed biskupem, okryty kobiercem bogatym, stał klęcznik, a na pulpicie jego złociasty krzyż i oprawna w oknieu sadzonem kamieniami, emaljami ozdobna księga.

Ten pusty klęcznik oczekujący razem z ludźmi na winowajcę, mówił grozą jakąś, smutny był jak trumna, zdawał się katafalkiem, na którym ona złożoną być miała.

Oczy siedzących w koło od drzwi dotychczas zapartych, zwracały się ku niemu, na krzyż, na ewangelję, i zdawały zachodzić łzami. To znamię zbawienia miało być przebaczenia godłem czy potępienia?

Ciche kroki, powolnym pochodem, jakby orszak pogrzebowy się zbliżał, zaszemrały od strony drzwi wielkich—drgnęli wszyscy i poruszyli się niespokojni. Podwoje jakaś ręka niewidzialna rozwarła szeroko, a na ziemi ukazał się szereg postaci, na których czele z majestatem królowej, nie z pokorą oskarżonej, szła Sonka cała w szatach ciemnych, w rąbkach czarnych, jak wdowa. Zasłona na pół przejrzysta od czoła zwieszona, okrywała ją całą. Szła spokojna, mężna, śmiała.

Nie była to już ta świeża, piękna, wesola, z oczyma ognistemi Sonka, którą Jagiello poślubił w Nowogrodzku, ani ta pani szczęściem rozkwitła, co przyj-

mwiała królowę rzymską na koronacji, ani ta matka dumna synem pierwszym, którego papież i królowie do chrztu nieśli, ale niewiasta przedwcześnie zboliała, zmęźniała, smutna jak noc, a spokojna i odważna.

Piękność jej zmieniała się zupełnie, lata podwójnie się na niej wypiętnowały, rumieniec znikł, usta się zamknęły, oczy tylko nie straciły blasku i ognia.

Parami za nią szły matrony i niewiasty strojne, klejnotami okryte, a w twarzach ich widać było przejęcie uroczystością tą jakąś tajemniczą, w której udział brać miały. Postępowały jakby wchodziły do świątyni strwożone, onieśmiałe, zawstyżone; podnosząc oczy na oczekujących panów, którzy na widok królowej z siedzeń powstali. Były to wojewodzina sandomierska, wdowa po marszałku Zbigniewie, Kochna z Koniecpola wojewodzina sieradzka, Jadwiga wdowa po Głowaczu wojewodzie mazowieckim, Klichna Nawojka z Mokrska, Helena z Bogumiłowic krakowskiego sędziego małżonka, wreszcie dziewczę z dworu Sonki, Helena.

Nikt im nie towarzyszył.

Zbliżyły się aż kn kłęcznikowi, a biskup wziął kartę przygotowaną i głosem cichym ale wyraźnym począł czytać rotę przysięgi. Z ręką na ewangelii królowa odmówiła ją za nim, niezmiészana, spokojna... Ale głos jej i głos biskupa nie brzmiał jak dne powszednich, oba zdawały się stłumione, jakby nii chciano, ażeby się o te ściany obily i przyłgnęły do nich.

Ani słowa wstępnego, ani wyrazu żadnego nie wyrzekł nikt, bo każde słowo mogło wywołać ból nowy, i niezagojoną ranę rozjatrzyć.

Słuchali w milczeniu poważnem świadkowie, nie patrząc na nieszczęśliwą królowę, której twarz śmiertelną okrywała błądź. Niewiasty, które królowej towarzyszyły, powtórzyły też samą przysięgę, ucałowały krzyż i ewangeliją.

Wejrzeniem wdzięczności pełnem, Sonka podzię-

kowała biskupowi, gdy już odchodzić miała, zachwiała się nieco, krótka chwila siły jej wyczerpała, lecz wnet odzyskała moc całą i krokiem pewnym udała się nazad ku podwojom zamkniętym. I znowu niewidzialne ręce otwarły je przed nią, cały orszak niewieści znikł za niemi...

Biskup Zbigniew, jakby czuł potrzebę zbliżenia się do Boga w tej chwili, przykląkł przed krzyżem, złożył ręce i modlić się począł. Senatorowie stali nieruchomi, myślą się z nim łącząc w tych niemych modłach...

Każdemu z nich spadło brzemię z piersi, oddychali swobodniej, ale z poruszeń wnosić było można, że chcieli co najrychlej opuścić i tę salę i zamek...

Biskup modlił się długo, wstał nareszcie, zdjął z ramion stulę, ucałował ją, krzyż przycisnął do piersi i spojrzał po swych towarzyszach...

— Należały się Bogu dzięki — rzekł stłumionym głosem. — Pokój i zgoda powrócą, może pod ten dach królów naszych; lecz dopóki żyw litewski książę, człowiek co niczego zapomnieć, nie przebaczyć i wyrzec się niczego nie umie, czuwać musimy. Męczennicą jest królowa...

— Miły Boże — dodał Jan z Tarnowa — stary król przecie raz go poznać powinien...

— Król — odparł biskup. — On dla całej rodziny swej i kraju ma miłość tak wielką i słabość taką, iż stokroć przekonany, że ona mu jej nie opłaca wzajemną, zawsze na nowo daje się wywieść w pole. Gdybyśmy nad nim nie czuwali.

Wtem Krystyn z Ostrowa dodał.

— Wiek też go słabym czyni... wiele mu przebaczyć należy.

— Wiek — rzekł biskup — tak samo na twarzach sędziwych, nieznaczne brodawki i znamiona powiększa, jak w duszy wady człowieka. Nad starością czuwać trzeba i ona nad sobą czuwać powinna...

— Serce mi pękało — przerwał ciszej Jan z Tar-

nowa — gdy na królowę patrzył.. Bóg ją jednak obdarzył siłą niepospolitą.

— W przyszłości wiele jej jeszcze zapewne potrzebować będzie—dodał biskup...

Zaczeli wychodzić wszyscy, żegnając Oleśnickiego, który w przedsieni oczekującemu kapelanowi oddawszy krzyż i stulę, sam poszedł do królowej. Czuł, że w chwili tej słowa pociechy i pocieszenia potrzebować może.

Ochmistrz Nałęcz Malski przyjmował panie, które wraz z królową składały przysięgę, a Sonka wsunęła się do swej izby osobnej i tam biskup znalazł ją w krześle, z oczyma załzawionemi. Na widok jego wstała i otarła je prędko, starając się przybrać twarz weselszą. Przyszła raz jeszcze ucałować rękę Zbi-gniewa.

— Ojciec mój — rzekła głosem zmienionym—winnam ci wiele, nie opuszczajże mnie jeszcze.

Są ludzie co cierpią za mnie i dla mnie niewinni. Ja za nimi przemówić nie mogę, aby się nie podać w podejrzenie.

Spojrzała na niego.

— Przemów za nimi ojciec...

— Słusznem to jest—rzekł Oleśnicki—ale do dworu napowrót przyjmować ich nie można. Nagrodzić co ucierpieli znajdzie się zrzeczność.

— Król?—zapytała Sonka.

— Doniosę mu o wszystkim — spodziewam się pojednania i zgody. Choćby winien był, przebaczyć mu należy...

— Nie dam mu uczuć nawet, że byłem przez niego pokrzywdzoną—odpowiedziała królowa.—Wina nie jego; złych ludzi i nieprzyjawnego mi Witolda. Ten za to nawet mścić się zechce, iż zgubić mnie nie mógł.

Nie odpowiedział na to biskup. Kilka słów pociechy religijnych zakończyło krótką rozmowę.

Król o wszystkim był zawczasu zawiadomiony;

czuł potrzebę zbliżenia się do królowej, lecz obawiał się wymówek, a wiedział, że pożycie po tem przesileniu bolesnem, dawne powrócić nie mogło. Biskup nakłaniał go do powrotu, ociągał się Jagiełło.

Zawsze tym samym trybem, przenosząc się z miejsca na miejsce, z Wielkiej Polski na Mazowsze, w Sandomierskie, na Ruś, polował, naradzał się, często po małych miasteczkach ze zwołanemi tam panami, Krakowa unikał; sprawy kraju były na rękach biskupa i rady.

Królowa, odosobniona wiodąca życie, wychowywała synów i cierpliwie znosiła wdowieństwo swoje.

Przyrzeczenie biskupa, który miał wyjednać uwolnienie uwięzionych, nie rychło spełnionem być mogło... Innym, których trzymano nie w tak ciężkiem więzieniu, niewola była lżejszą, zapomniany nieco Hincza, już z barłogu swego na dnie wieży chęcińskiej nie powstawał.. W pierwszych dniach pobytu zuchwalszy, rozdrażniony, stał się był ze starostą, który tem surowiej go trzymał, żadnej ulgi nie dając, i odgrazając się, że nie ujrawszy światła bożego, zgnić tam i zdechnąć musi.

Głód, chłód i powietrze wilgotne, tęsknica i zwątpienie, zupełna niewiadomość o tem, co się na świecie działo i jaki był los królowej, w końcu złamały tak Hinczę, że już Boga tylko o śmierć prosił.

Katusza to była, której ni on ani nikt, przez czas dłuższy wytrzymać nie mógł. Mawiał później Hincza, że za wszystkie grzechy żywota Bóg, mu dał w tym czyścń odpokutować.

Naostatek królowa, bolejąc nad niewinnemi, na-przód tych co bliżej siedzieli postarała się uwolnić, a i na Hinczę, do którego król miał żal największy, kolej przysła. Zwątpił już był całkiem o sobie, gdy dnia jednego, w tej porze, o której mu jego chleb i wodę stróż po drabinie znosił, albo na sznurze spuszczał, otwarły się drzwi całe i znany głos staro-

sty, chrypliwy i zły, począł nań wołać, aby sobie, jeśli chce i może precz wychodził.

Hincza to zrazu za szyderstwo wziął, a gdyby i nwierzył w oswobodzenie, tak już złamanym był, że o swej sile powstać nie mógł.

Pomimo osłabienia podniosła, go nadzieja oswobodzenia, która cudów dokazuje. Pachole więzienne czasem ukradkiem posługujące mu, spuściło się do niego po drabinie.

— Wstawajta, bo rozkaz przyszedł uwolnić!

Pierwsza rzecz, którą Hincza zrobił, to że się przeżegnał, Panu Bogu i patronce swej Pannie najświętszej dziękując. Sprobował wstać i rozprostować się, lecz boleści go takie w członkach wszystkich porwały, że krzyknął i omdlały na barłóg padł..

W tejże chwili doszedł go znajomy głos z góry Jaszka z Koniecpola, który będąc wolny, a dowiedziawszy się, że Hinczę uwalniają, zbiegł do Chęcin zobaczyć go pierwszy i klócił się ze starostą. Ten zaraz po drabinie w głąb się spuściwszy, gdy przyjaciela w takim stanie zobaczył, na czem świat stoi, Chęciny i starostę wyklinać zaczął. Przed nim w smrodzie i zgniliźnie leżał biedny Hincza z twarzą koloru ziemi, w odzieniu poszarpanem, ledwie żywy.

Trzeba go było co prędzej z tego dołu wyrwać, na powietrze wynieść, do łaźni nieść, nakarmić, ogrzać i położyć na spoczynek.

Ludzie do pomocy za pieniądze się znaleźli, aby wynieść bezsilnego biedaka, a była z tem trudność niemała, bo drabina stara i krucha na raz trzech ludzi utrzymać nie mogła, po inne trzeba było słać na miasto, a mściwy starosta mający ząb do Hinczy, w najmniejszej rzeczy dopomódz nie chciał.

Pocciwy Jaszko rozwiązał worek i zabrał się żywo do ratunku. Wydzwignięto jakoś biedaka do góry, na nosze musiano wziąć i tak do gospody w mieście zaniesiono.

Na powietrzu świeżem, zrazu się orzeźwił Hincza,

potem natychmiast znowu omdlał. Sam się prosił zaraz do łaźni, ale tu Jaszko nie dopuścił do góry, tylko w dół obmyć kazał, przeodział i z nim do ciepłej izby pociągnął. Musiano go pod ręce wlec, bo się na nogach biedaczysko nie mógł utrzymać. Tu mu wina z korzeniem zgrzano, jeden kubek i drugi, potem polewką mięsną nakarmiono, okryto, aż zasnął.

A był sen osobliwy z gorączką, bo się zrywał i krzyczał, ale Jaszko przy nim siedział i pilnował. Więc później twardo począł spać i dwie doby tak przeleżał.

Zaraz mu się potem lepiej trochę zrobiło i obudzony się, choć nie opamiętał rychło, posłyszawszy głos przyjaciela, z wolna przypominał co się z nim stało. Chciał opowiadać swoje nieczarnie Jaszкови, lecz ten mu się nie dał szeroko rozgadywać, aby znowu gorączki nie dostał. Poił go tylko i karmił; a po kilku dniach na wozie okrytym przywieziono go do Krakowa, gdzie mistrz Henryk Czech, astrolog i doktor sławny, wziął się do leczenia go.

Poważany onego czasu człowiek i z nauki wielkiej głośny, nieraz też bywał do zamku wzywany i przez niego się królowa dowiedziała, jak Hinczę z Rogowa mało życia w tej wieży nie pozbawiono. Więc, choć jawnie nie dla sługi swojego uczynić nie mogła, przez drugich posyłała, czego potrzebował i kazała mu powiedzieć, aby dobrej myśli był, że Bóg sam pomści krzywdę jego. Mistrz Henryk miał też o nim pieczę wielką, a reszty dokazała inłodość, która siły przywracała powoli.

Parzono go w łaźni i okadzano ziołami różnemi, tak, że naprzód o kijach począł chodzić po izbie, potem już o jednym tylko, naostatek i bez niego.

Słaby jednak był i na twarzy bardzo zmieniony. Rumieniec i barwa młoda nigdy mu już nie powróciły, a pozostała cera więzienna, podobna do koloru tych murów, w których długo siedział zamknięty.

Powróciwszy do sił cokolwiek, przypomniał sobie

Hincza, co niegdyś mówił, że póty spokojnym nie będzie, aż do tej samej wieży w Chęcinach Strasza nie rzuci...

Ale daleko do tego było jeszcze. Na dwór się pokazać, choć cokolwiek pozdrowiał, nie godziło mu się. Brat go więc zabrał na wieś, aby świeże, zdrowe powietrze gór i lasów go orzeźwiło... A choć nigdy do pierwszej mocy i zdrowia Hincza nie wrócił, już i na konia mógł sięść i nogi mu obrzęknięte odeszły.

Pozostało tylko to, że byle na slotę i wilgoć się zabierało, w kościach go łupać i rwać poczynano tak, że czasu lata z sianokosem i żniwami na niego się oglądano, a był znak pewny, gdy stękać zaczął, że ulewa za pasem.

Król długi czas Kraków omijał, choć pragnął zjechać, aby synów widzieć, a z królową znowu zacząć żyć po bożemu; wstyd go a obawa jakaś brała.

Wiedział, że jużci przy pierwszym spotkaniu wyrzutów będzie musiał słuchać, odpowiadać na nie, płaczu się napić i niewieścich skarg uszy mieć pełne.

Składało się też tak ciągle, jak dawniej, że nigdzie miejsca nie zagrzewał, odwiedzając ziemię po kolei, a lasy plądrując, z których moc wielką pobitego zwierza rozsyłał do Krakowa i w podarku osobom różnym. Przyczem o królowej nie zapomniano, o Zbyszku, o panu krakowskim, kapitule i akademii.

W tych czasach właśnie poczęły się owe praktyki Zygmunta, wicherzącego nieustannie a usiłującego osłabić Polskę tem, że Witolda od niej oderwać pragnął.

Królowa wiedziała o wszystkim, ale sama nie mogła nic. Zastępował ją tu Zbigniew Oleśnicki, który uspokoił zaręczeniem, że póki on żyw Witoldowi się oderwać i osobnego państwa sobie stworzyć nie da.

Miała też Sonka wiernego sobie Jana Tarnowskiego, tak niezłomnego jak biskup i innych kilku.

Poczęły się zabiegi wielkie... Z senatorów wielu kupionych było przez Witolda, aby za nim obstawali, ale choć wielkie dary odebrali, nie śmieli się odzywać i tyle tylko, że milczeli.

W Krakowie siedząc, zdala na wszystko patrzała Sonka; nie mogła jednak i nie śmiała sama się namaszać na zjazd do Łucka, gdzie Witold miał gospodarzyć i spodziewał się słabego Jagiełłę z pomocą Zygmunta do powolności skłonić.

W wielkim strachu i niepokoju oczekiwała ztąd królowa wiadomości, całą swą ufność położwszy w biskupie Zbyszku.

Nie była tam przytomna osobą swą, ale najdosłowniej z panów przyrzekli jej uroczyście, że Witolda do korony nie dopuszczą. Z ręki swej posłała Sonka ludzi, którzy na wszystko oko mieli, donosili jej co się działo—i czuwali...

Przyszło do skutku umówione w Łucku spotkanie, na które król rzymski z żoną Barbarą przybył w orszaku ogromnym Węgrów, Czechów i Niemców. Naprzeciw niego wyjechał Witold i Jagiełło i wjazd mu uczyniono do miasta wspaniały... Biskupi, duchowieństwo obu obrządków, krzyże i relikwie, ludu tysiące wysypało się przeciw gościowi, który z wielką pychą a zuchwalstwem przyjmował te czci oznaki.

Nie bez przyczyny obawiała się królowa, aby dobrodusznego Jagiełły chytry Zygmunt i żona jego Barbara nie uplątali w swe siecie.

Chciał rzymski król z pomocą polskiego wołoską ziemię owoładnać i rozdzielić ją na dwie połowice, dla siebie i Władysława, ale się temu rozdrapaniu chrześcijańskiego państwa sprzeciwili Polacy.

Potem o soborze zagadał Zygmunt, szydząc bezwstydnie z duchowieństwa rzymskiego, czem je sobie naraził. Naostatek przyszło do prośb i nalegań,

aby Jagiełło pozwolił się Witoldowi litewskim królem ogłosić...

Chociaż zapewniano, że to związku z Polską rozrywać nie miało, zrozumieli panowie polscy, jaki w tej trawie wąż był ukryty...

Biskup Zbigniew i inni z nim stanęli jako mur.

Jagiełło gotów był zezwolić na wszystko, lecz do rady swej się odwoływał, bez niej nic stanowić nie chciał.

— Rady nie trzeba, zgody żadnej, tylko twojego przyzwolenia, ja resztę biorę na siebie — mówił Zygmunt.

Musieli jednak panowie polscy zwołać radę. Pierwszy co na niej do objawienia swojego zdania z urzędu był zmuszony, arcybiskup Wojciech, jak zawsze dwuznacznie i ostrożnie, zręcznymi słowy szermując, nic nie powiedział...

Za to Zbigniew Oleśnicki otwarcie, przekonywująco, stanowczo, ostro przeciwko Witoldowi wystąpił.. Za nim poszedł Jan z Tarnowa.

Odgrażał się Witold już, nie prosił.

Tegoż wieczora, gdy Jagiełło utrapiony wielce, zewsząd oblegany, sam nie wiedział co miał począć, wpadli do jego komnaty Zbyszek biskup, Tarnowski i inni, ostre czyniąc mu wyrzuty. I jak wprzód uległ Zygmuntowi, stary król, tak teraz im ze łzami w oczach począł się tłumaczyć i przebłagać.

Zbigniew Oleśnicki wręcz zapowiedział mu, że oni wszyscy nazajutrz Łuck opuszczają. Tak się i stało.

Król przerażony tem, następnej nocy także wyjechał z Łucka.

O wszystkim tem królowa dowiedziała się w Krakowie, gdy już energia senatorów wielkiemu niebezpieczeństwu koniec położyła.

Mogli się ludzić inni, że Witold wyrzecze się myśli swej, zrażony oporem, ale nie Sonka, która go najlepiej знаła. Dla niej było jawnem, że teraz dopiero walka ostateczna rozpocząć się miała.

Jagiello wyruszywszy z Łucka, jakby na przeblaganie biskupa, który mu, oprócz innych słabości i postępowanie z żoną wyrzucał, naostatek gotował się Kraków nawiedzić i zbliżyć do królowej.

Miała czas w ciągu tego długiego osierocenia swojego Sonka bacznie rozważyć co powinna począć, jeżeli Jagiello przyjedzie do Krakowa.

Gdy oznajmiono przybycie, nie strwożyła się, ani rozboleła więcej; cieszyła się tem tylko, iż wpływem swoim skuteczniej przeciwko Witoldowi działać będzie mogła.

Z dwu synów, którym się poświęciła cała, jednemu Polska przypaść miała, drugiemu ta Litwa, którą chciano oderwać. Zbyszek biskup też w Łucku w imieniu ich dwu, króla starał się natchnąć do oporu...

Witold przewidywać musiał i zbliżenie się Jagielly do Sonki i nieublaganą jej mściwość za krzywdę doznaną.

Wprzód jeszcze nim Jagiello dojechał do Krakowa, zjawił się tu tajemny poseł Witolda Jan z Czyżowa, Półkożic, syn sandomierskiego kasztelana, którego nikt posądzić nawet nie mógł aby litewskie sprawy popierał.

U ochmistrza królowej Malskiego nic się nie domyślającego, wyprosił on sobie, aby się mógł pani swej pokłonić.

Trafiało się nieraz, iż ziemianie krakowscy pod niebytność króla, na zamek z czołobitnością a niekiedy z podarkami przybywali. Przyjęła więc Sonka i Jana z Czyżowa.

Młody, zręczny, wymowny, umiał on dać poznać jej, że do niej w pewnem ważnem przybywa poselstwie. Odprawiwszy świadków do komory pobliskiej, kazała mu mówić królowa.

Posel od tego począł, że się wyjawiał od kogo był wyprawiony.

Usłyszawszy Witoldowe imię, pobladała Sonka i za-

drżała, ale dumnie, wstrzymując się od okazania co doznała, mówić mu kazała.

Rzekł więc poseł — iż wielki książę posyłał z pokojem i różczką oliwną, prosząc o pomoc i zgodę, a obiecując wzajem serce Jagielly ku królowej nawrócić, nieszczęśliwym wieściom kłam zadać i przyczynić się do tego, aby pożycie między małżonkami dawne przywrócone zostało.

Wysłuchawszy tej mowy, z uśmiechem szyderskim odparła Sonka.

— Podziękujcie wujowi mojemu za dobre chęci i ofiary, ale powiedźcie mu też, że są sprawy, które się nie dają naprawić, gdy raz popsute zostały.

Cześć niewieścia jest jako szkło, które rozbić łatwo a skleić go nie można.

Ani ja komu dziś pomocną być mogę, gdy sama sobie radzić nie umiem. Bezsilną jestem, zmuszoną się ukrywać, milczeć i płakać.

Jagiello pan mój rychlej posłucha Witolda i kogokolwiek bądź niżeli mnie... Nie mogę nic i nie przyrzekam nic, ale też i niczego nie żądam...

Jan z Czyżowa starał się królowej wmówić, iż niesłusznie się zrzekała wpływu, który odzyskać musiała.

— Nie chcę go mieć, abym w nikim zazdrości nie wzbudzała — rzekła królowa. — Żyję teraz dla synów moich, życie moje im poświęciłam. Za nimi stoję jako stróż i piastunka, więcej mi nie potrzeba nic.

Czuł poseł, że głęboka ironia kryła się w tych skromnych wyrazach Sonki, ale nie mógł na niej wymódz innego nic, nad powtórzenie tego, co mu pierwszej rzekła.

Z niczem więc poszedł...

Gdy dano znać o przybyciu Jagielly, królowa wdziała te szaty ciemne, do których teraz była nawykła, jak przy żałobie, wszelkich się wyrzekając klejnotów, i z wielką powagą, bez łyzy, prawie bez

widocznego wzruszenia wyszła naprzeciw pana do przedsiieni.

Jagiello przybywał z trwogą, cale co innego przewidując, nie to co go spotkać miało... Blady, drżący, uskarżając się na znużenie, wszedł do komnat z królową razem i wydał się jej przez tych kilkanaście miesięcy nad miarę postarzałym jeszcze.

Przed nim stał starszy synaczek, a na rękę piastunki młodszy do kolan mu się schylał.

Królowa przemówiła tylko prostemi kilka słowy, aby na dzieci łaskaw był. Tuż obok niej musiała też dorosła już kilkunastoletnia Jadwiga przyjść ojca powitać.

Cała ta rodzina, dawno niewidziana, jakimś uczuciem przejęła starca. Począł ścisnąć Władka naprzód, Kaźmirza małego potem, a na ostatku Jadwigę, którą znalazł wyrosłą znacznie, ale bladą i mizerną.

Sonka stała z boku, dla siebie ani żądając nic, ani starając się zwrócić jego uwagę. Z obawą niekiedy król rzucał na nią wzrokiem nieśmiałym, i natychmiast czemś się zajmował innem, aby odroczyć rozmowę, której się lękał... Zdawała się ona nieuniknioną.

Wyprowadzono chłopców, wyszła królewna, wejściem nienawistnem zmierzyszy macochę.

Do wieczery nie zasiadł nikt, oprócz Sonki i króla. Mowa była o łowach, podróży, potem o Witoldzie, na którego król się uskarżał i królu rzymskim, który zdradził Jagiellę, przerzuciwszy się całkiem na stronę litewskiego księcia.

Królowa więcej słuchała, niż mówiła... Coraz bardziej ośmielający się Jagiello, nie mogąc doczekać rozprawy, którą rad był przebyć, sam ją zagaił, okazując żal wielki, iż się dał Witoldowi uwieść i prosząc, aby mu teraz królowa zapomniała uraz, a dawną swą miłość przywróciła...

Z chłodną krwią skłoniła się Sonka przed mężem.

żem, a gdy poczęła mówić, ani łez, ani gniewu w głosie jej czuć nie było.

— Nie mam — rzekła — nraży żadnej, żal mój przeszedł, Witoldowi tylko przebaczyć nie mogę, bo on był sprawcą wszystkiego...

Poczem oświadczyła się z wdzięcznością i posłuszeństwem dla króla, lecz Jagiełło uczuć mógł, iż chłodny mur jakiś stał między niemi.

Królowa wprędce wyszła, a od ochmistrza swojego dowiedział się Jagiełło, że wbrew dawnemu obyczajowi, wedle którego izby obojga królestwa, gdy na zamku się znajdowali, wspólne były, królowa pozostała w swoich komnatach i oświadczyła, że przenosić się nie będzie.

Znaczenie tego rozbratu chłodnego zrozumiał Jagiełło i nie nalegając, zastosował się do woli Sonki.

Odtąd więc mieli być małżeństwem z imienia tylko, nie żyjąc już z sobą. Pochlebiał sobie król, że w czasie pobytu w Krakowie zmienić się mogą stosunki. Nazajtrz był poufalszym i czulszym, usiłując dawną śmiałość i swobodę odzyskać, w Sonce jednak znalazł taki poważny chłód i pokorę jakąś przesadzoną, a w mowie taką wstrzemięźliwość, iż wyrzec się musiał zupełnego przejednania.

Skarżył się na to przed biskupem Zbyszkciem, który zlekka ramionami poruszywszy, radził to zostawić czasowi i królowej słuszność przyznawał. Nie chciała być narażoną na nowe podejrzenia, na nowe kłótnie i pojednania. Lepiej więc było żyć w zgodzie zdaleka od siebie.

Posmutniał król... i byłby może prędzej opuścił Kraków, bo już o zjeździe w Sandomierzu mówiono, gdyby go biskup nie zatrzymał posłuchem, iż posłowie od Witolda Rombold marszałek jego i Gastold wileński wojewoda w drodze byli, a należało, aby ich tu Jagiełło z radą przyjmował.

Nie tajem było co wieźli.

Równoważyło poselstwo to z wypowiedzeniem woj-

ny. Jagiełło i Polska na przyjęcie korony od Zygmunta zgodzić się nie chcieli. Witold posyłał oznajmić im, że koronę wbrew ich woli postanowił przyjąć.

Jagiełło lękający się walki z Witoldem, zmiękły, przestraszony prosił za nim Zbigniewa, który był niewzruszonym.

— Dziecku swojemu, miłościwy panie, odbierasz to co mu się należy...

— Witold nie ma dzieci — mówił król.

— Ale ma rodzzonego brata — rzekł Zbigniew. Im spokojniej, ukryty, niepostrzeżony, milczący ten przyszedł spadkobierca Witolda, siedzi na swym dziale, im mniej daje życia znaków, tem więcej się go obawiać należy... Księciu nie o koronę chodzi, ale o oderwanie się od Polski... Raz ten kraj z Rusią uznawszy niepodległym, stracimy go na zawsze. Myśl Witolda odrodzi się w tym Zygmuncie nieznanym, schowanym, lecz wielkiego umysłu i energii panu.

Chwiał się Jagiełło, jak zawsze pod wrażeniem tego co naciskało, zmieniając zdanie dla spokoju, dla okupienia się od walki, do której sił mu nie stawało.

Przybyli oczekiwani posłowie litewscy, Rombold i Gastold z pokorą, jako winni byli Jagielle, ale ze stanowczością nakazaną przez Witolda, oświadczając radzie i królowi, że bądź co bądź, pan ich koronę przyjąć postanowił.

Nie przyjmował ich król sam, nie chciał widzieć na osobności, poselstwo sprawili w obec rady całej, a Zbyszek, któremu na mężtwie nie zbywało nigdy, odpowiedział im dumnie w imieniu króla i Polski, że gdy Witold bądź co bądź koronę mieć postanowił, oni też, bodaj siłą opierać się temu będą, nie lękając się nawet wojny, dla utrzymania praw pana swego.

Rachowano może w Litwie na to, że postrach rzuci Witoldowe postanowienie — znaleziono niezlomny opór.

W czasie posłuchania tego, gdy Rombold z Ga-

stoldem przed królem stali, we drzwiach otwartych drugiej izby ukazała się Sonka tak, aby ją widzieć mogli i słuchała odprawy.

Spodziewał się Gastold, który z panami polskimi powinowatym był i miał tu przyjaciół, że poufnie z nim mówić i roztrząsać będą tę sprawę.

Posłowie oba mieli ręce pełne darów i obietnic, lecz nikt się do nich nie zwrócił, nikt na swą rękę i osobno widzieć się nie chciał.

Znalazszy tu przyjęcie nie zimne, ale odpychające, nie bawiąc długo, wysłańcy księcia odjechali.

Nie zasypiano w Krakowie. Posłano do Rzymu prosząc o napomnienie papieżkie do Witolda, a że Zygmunt się odgrzał przesłaniem korony i listów jakąkolwiek drogą, obstawiono czujno granice, gościńce, drogi, aby one przejść nie mogły...

Król widząc, że z żoną do dawnego pożycia nie wróci, smutny zabierał się już w podróż zwykłą, na Miechów do Wielkopolski, a ztąd do Wiślicy i Sandomierza, gdy jednego poranku, do leżącego jeszcze w łóżku, wedle zwyczaju, na starość coraz upartszego; weszła królowa, niosąc Kaźmirza na rękę.

Starala się ona zawsze w ciągu tego pobytu męża, choć żyć z nim nie mogła, okazywać mu twarz wesolą, a nigdy najmniejszą go wymówką i przypomnieniem przeszłości nie drażnić.

Usiadłszy przy łożu, gdy on weselsze wejrzenie ku niej zwrócił i ku dziecięciu, Sonka odezwała się.

— Jedzicie tam, gdzie się do was siła ludzi zjeżdżać będzie, gdzie łatwo ich sobie zjednać i zło jakie się stało w Łęczycy naprawić.

Przypomnienie rozsiekanego pargaminu, wyrwało królowi westchnienie. Była to jedna z najboleśniejszych chwil życia jego, który nawykły niegdyś do bezgranicznej woli w rządzeniu, Jagiełło zapomnieć i przebaczyć nie mógł.

Brzęk tych szabel zbuntowanych, zuchwałych, brzmiał jeszcze w jego uszach. Wzdrygnął się.

— Synowi waszemu starszemu, pókiście żywi — mówiła dalej królowa — trzeba zapewnić następstwo. Później trudniej będzie się dobijać o nie. Dziś jeszcze mówią o Mazowieckich książętach i Piastach swych, jako o równe z naszymi dziećmi mających prawo do tronu...

— Szlachta chce nowych przywilejów—odezwał się król z westchnieniem, a dosyć ich ma i tak, by nam pokoju nie dawała i berło z rąk wytrącała.

— Zapewnijcie im zachowanie dawnych praw, przy których obstają, a biskup wyjedna, że się tem zaspokoją—mówiła królowa łagodnie. — Inaczej spadek niepewny... a gdy i na Litwie Świdrygiello i Zygmunt czekają nań, cóż się twoim dzieciom zostanie?

Westchnął król.

— Dajcie im czego chcą — dorzuciła królowa — król, który daje, odebrać też może... będzie-li miał siłę, ale królem naprzód potrzeba być...

Głową potrzasał Jagiello.

— Mów o tem biskupowi—rzekł—uczynię co mi poradzą, bez nich ja nie mogę nic!

Zasepił się. Królowa posiedziała chwilę, ponawiając naleganie tak, aby w umyśle męża zostało. Odeszła.

W kilka dni potem opustoszał znowu zamek na Wawelu, królowa i królowna zostały same. Przez czas pobytu swego, stary król oswoił się z nowym stosunkiem do żony, która nie czyniąc mu wymówek, nie okazując żalu, wrócić już do pożycia z nim nie chciała.

Uznała może, iż miała słuszość, a rad był, iż wyszedł prawie bezkarnie z tego zamętu, jaki mu Witold zgotował... Żowy i podróże zwykłe, rozerwać go miały. Sprawy państwa zdawał na biskupa i wojewodę.

Nowe poselstwo wyprawiono jeszcze do Witolda, który je dwuznacznie odprawił, winę składając na Zygmunta. Duma — jak mówił — nie dozwalała mu uledz i ustąpić...

Wiedziano, że pisarz krakowski Bartek z Opawy, siedział na dworze króla rzymskiego nalegając o koronę...

Królowa pozostawszy w Krakowie, na pozór zajmując się tylko dziećmi swojemi, siedząc zamknięta, nie spuszczała z oka zabiegów Witolda. Miała ona swoich ludzi czynnych, aby zapobiedz groźnej koronacyi.

Hincza przyszedł do zdrowia, gdy tylko z braterskiego domu mógł ruszyć, udał się na zwiady za Straszem. Szło mu o pomszczenie królowej naprzód, potem siebie... Zbierał więc dawnych towarzyszków, komorników, sługi i urzędników zamkowych, którzy przeciwko zdrajcy świadczyć mogli.

Chociaż na dworze mu się pokazywać zabronionem było, do Krakowa mógł jechać kiedy chciał. Przybył też tu z zamiarem naradzenia się z ochmistrzem dworu Malskim.

Znał jego przywiązanie do Sonki i gotowość stawiania w jej obronie.

Wieści złośliwe ustaly były wprawdzie i ludzie nie śmieli powtarzać starych potwarzy, Hinczy jednak zdawało się, że wyprzysiężenie się nie starczyło...

Malski szczególnie mający nabożeństwo do N. Panny Różańcowej, chadzał często do ks. Dominikanów—tu u wejścia czekał nań Hincza..

Gdy go powitał, z początku ledwie poznać go mógł ochmistrz i dopiero z głosu przypomniał. Od więzienia w Chęcinach, Hincza był wielce zmieniony. Nie mówiąc już o tem, że mu twarz zczerniała, był cały jakby nabrząkły, ciała nabrał i zestarzał.

— Że mnie wasza miłość, starego sługi nie poznajesz, nie dziwuję się—rzekł Hincza.—Jak Piotrowin z grobu powstałem i zapamięć o tem nie mogę, com w tym grobie w Chęcinach wycierpiał... Jak człek rzetelny, nie chciałbym za to Straszowi być dłużnym...

Mniejsza zresztą o mnie—ciągnął dalej — przeba-

czyłbym dla ran Chrystusowych krzywdę własną, ale łez i sromu królowej naszej darować mu nie mogę.

— A cóż myślisz?—rzekł Malski.

— Nie dosyć na tem, że królowa przysięgła—zawołał Hincza. — Działo się to na zamku, mało kto wie jak, a wielu ramionami rusza.

Sądu na oszczercę potrzeba jawnego. Królowa o swą cześć publicznie się upomnieć powinna, potwarzy to nie może ujść bezkarnie.

— Po cóż sądem tym wznowiać co zapomniane?—rzekł ochmistrz.

— Nie zapomniana to ani skończona sprawa, Bóg mi świadek — mówił Hincza gorąco. — Siedzę w Krakowie kilka dni, a com się przekąsów i gadek niepocziwych nasłuchał, tego na wołowej skórze nie spiszę.

Mówcie wy, miłościwy panie, królowej, niech każe tego łotra pozwać. Świadków i dowody znajdziemy, nich głowę nałoży, niech popróbuje tego, co mnie niewinnego spotkało... Do Chęcin go, a na dno.

Ochmistrz dumiał długo, widać było, że nie zgadzał się na to co Hincza wnosił, obawiając się niepotrzebnego rozgłosu...

— Obawiać się rozgłosu nie potrzeba większego jak jest i był—dowodził Hincza—owszem na jaw, na jasny dzień wyprowadzić wszystko... a mało tego, że potwarca odszczeka, niech krwią zmaże plamę...

Pomimo gorących nalegań, Malski spokojniejszego ducha mąż, wytrawny, nie przystał na to, czego się Hincza domagał.

Ten go o mało po rękach nie całował.

— Ja do królowej dostąpić nie śmiem — rzekł — choćbym nogi jej ucałować pragnął, więc o nic was nie proszę tylko o jedno: Powiedzcie jej, że ja ją błagam, aby sądu się domagała, niech strach padnie na złych.

Witold swojego sługi teraz, gdy sam w opałach jest, bronić nie może. Nie zemsty, ale sprawiedliwo-

ści dopominać się trzeba... tylko sąd jawny tę sprawę raz na zawsze rozstrzygnąć potrafi i zmyć plamę.

Aż do bramy zamkowej prowadząc tak Malskiego nalegał Hincza, prosił i słowo na nim wymógł nareszcie, iż królowej powie co od niego słyszał. Ale ochmistrz rzekł mu kończąc.

— Powiem, nie bój się, ino to masz wiedzieć, że ja radzić nie będę, ale odradzać. Licha gdy śpi, budzić nie potrzeba.

— A dać licha grzędę—zakończył Hincza—wlezie na głowę!

II.

Poszedłszy za radą królowej, której biskup nie był przeciwnym, Jagiełło potwierdził przywileje szlachcie nadane, otrzymał za to zapewnienie następstwa po sobie dla syna, odwiedził potem Kraków i po raz wtóry po rozstaniu się przykrem w Medyce, spotkał z Sonką, która go wdzięcznie przyjęła.

Wiadomość o uzyskanem przyrzeczeniu wyboru na tron Władysława, królowę uczyniła wdzięczną, ale wszystkich co tajemnie sprzyjali królowej Jadwidze, oburzyła! Przychodzili do niej z ubolewaniem, jak do pokrzywdzonej, wydziedziczonej i szczepili w młodem sercu nienawiść ku macosze, żal do ojca.

Jagiełło, który brandenburskiego narzeczonego inaczej myślał wyposażyć, nie domyślał się, aby mu to za grzech poczytano. Synowie zawsze szli przed kądziałą; prawo i zwyczaj miał za sobą.

Nieprzyjaciele Sonki widzieli w tem jej przewrotność, sarkali pocichu, i wskazywali ją, jako wroga, który na córkę Anny, na dziecko krwi Piastów czyhał...

Wyszła do ojca królowna z oczyma czerwonymi od płaczu, blada, a gdy przy nim przemówiła do niej Sonka, odwróciła się od niej, nie dając odpowiedzi.

Jagiello powolny, choć widział i rozumiał co się tu działo, zmilczał, zostawując czasowi zabliźnienie rany.

Krótko zabawiwszy w Krakowie, pociągnął król do Lublina, ku Rusi swej, nie mogąc na Litwę.

Zima nadchodziła, którą zawsze zwykł był tam spędzać w tych lasach, co dla niego inną woń miały, na których sam widok radował się i uśmiechał.

W tym roku, wypowiedziana niemal Witoldowi wojna, o nieszczęsną tę litewską koronę, narzucaną mu przez Zygmunta, który się przechwalał, że kość między nich rzucił, aby się o nią, jak psi, gryźli Polacy z Litwą; nie dozwalała Jagielle, nietylko do Wilna, ale nawet do Grodna i do granic Litwy docierać. Obawiano się zdrady, podstępu, gwałtu, a najbardziej samej króla słabości.

Witold się głośno odgrażał, przejęto listy, które mu Zygmunt wysłał, obstawiono granice, aby korona dojść Witolda nie mogła. Wysłańcy króla rzymskiego musieli się zatrzymać w drodze. Ostatnie poselstwo, już nareszcie dla położenia końca tej sprawie, ofiarowało Witoldowi koronę polską, której Jagiello rzec się był gotów dla niego, byle osobnej, drugiej nie żądał.

Lecz Witoldowi panowanie nad Polską nie mogło przypaść do smaku, mieniać go na Litwę i Ruś nie myślał.

Znając charakter jego, przewidzieć było łatwo, iż sprawy choć na pozór już skończonej nie wyrzeczy się. Nie ustępował nikomu, nie cofał się nigdy.

Siedział więc król umęczony, starzec znękany na

tem pograniczu Rusi, tęskniąc, nie wiedząc dokąd się obróci. Sonka go zaklinała, gdy wyjeżdżał z Krakowa, aby się nie ważył na Litwę i niepopadł w ręce mściwego jej wuja.

Wtem, jednego dnia rano, gdy król był na nabożeństwie w starej kapliczce zamkowej w Lublinie, dano mu znać, klęczącemu jeszcze na modlitwie, iż od Witolda przybył jeden z pisarzów jego, Małdryk Róza.

Jagiello tak bardzo zgody i pokoju pragnął, iż dla nich gotów się był wyrzec korony, a miał taką słabość dla krwi swej i Litwy, że na wieść o pośle mogącym mu zwiastować przejednanie, twarz mu się zaśmiała.

Uradował się, iż książę czynił krok jakiś, mogący do porozumienia się prowadzić.

— Niechby sobie wziął Kraków, koronę, Zbyszka, i ich wszystkich, a jabym w Wilnie siadł i polował swobodnie około Trok i Oszmiany!

Zaledwie książę podał patenę do pocałowania, gdy król wyszedł krokiem pośpiesznym, oglądając się za Małdrykiem...

Ten stał, ledwie z konia zsiadłszy, w podwórceu, a komornicy królewscy i dwór go witał, bo choć Witoldowy sługa, Małdryk nie zapominał, że Polakiem był i zaprząglszy się w służbę, miłości kraju nie zaprzedał.

Znajomi widzieli go zawsze radzi, on swoich witał bratersko.

Król zdala skinął na niego, pośpieszył mu się do kolan pokłonić. Jagiello wesół, po ramionach go klepał.

Jak Małdrykowi miło było Polskę zobaczyć, tak Jagielle choć posłyszeć o Litwie.

Szli na zamek.

— Z czemże ty do mnie?—spytał król.

— Z prośbą od pana mojego — ocboczo począł Małdryk. — Zima za pascem, do łowów u nas pora

«dobra, zwierza przepaść. Książę zaprasza miłość waszą, wedle starego zwyczaju, jak co roku, na Litwę, do Wilna, gdzieby i Gody razem panowie przebyli.

Król aż zadrżał z radości, ale nie wiedział co odpowiedzieć.

Jeden Bóg tylko znał jak on tego pragnął. W Wilnie dopiero czuł się u siebie, panem domu; tanto było zawsze gniazdo jego serdeczne... ale jak tu teraz było pomyśleć nawet puścić się na Litwę, oddać w ręce obrażonemu, gniewnemu, narażać na nowe nalegania, prośby, naciski?

W pierwszej chwili odpowiedź mu na ustach zamarła. Obejrzał się dokoła, jakby wzywał pomocy czyjej, ale nikogo z przedniejszych panów rady przy nim nie było.

Małdrzyk, poczekawszy nieco może rad temu, dodał.

— Niech się tylko miłość wasza nie lęka niczego. Pan nasz o koronie nie myśli weale, wyrzekł się jej. Radby tylko w zgodzie żyć.

— Bodaj ci Bóg dobre słowo nagrodził — odparł Jagiełło. — Mnie do was tak się chce, jak duszy do raju, ale Małdrzyku ty mój, ty wiesz, ja tu nie pan. Trzeba wiedzieć, co oni na to powiedzą? Piastunek moich słuchać muszę i na paskach chodzić. Zobaczymy co oni na to!

— Ja dodam jeszcze od wielkiego księcia Witolda, że on o przybycie gorąco prosi, a bardzo widzieć żąda. Zaniemógł nieco... przebolał wiele... niechby się te rany zabliźniły.

— Jabym za to więcej może niż on dziękował — przerwał król.

Pomyślał trochę i dorzucił.

— Idź no, spocznij sobie, a my radzić będziemy. Aż mi się dusza rwie.

Pilno było tak Jagielle, że po wyjściu Małdrzyka, natychmiast posłał po biskupa Zbigniewa, który mu towarzyszył, i po panów rady.

Miedzy innemi, byli u jego boku w Lublinie, dwaj jeszcze Oleśnicy, Dobek kasztelan wojnicki i Jan Głowacz marszałek, Jan Łaszko z Koniecpola, Wincenty z Szamotuł i Klemens Wątróbka ze Strzelec.

Gdy wchodzącemu biskupowi król śpieszył zwiastować nowinę, z pierwszych słów jego się przekonał, że Zbyszek o wszystkim już był zawiadomiony, jak zwykle.

— Cóż wy na to?— porywczo i śpiesznie zapytał Jagiełło.

— Sprawa to dojrzałej wymagająca rozwagi — rzekł biskup poważnie. — Zgoda i zapomnienie uraz byłoby pożądanem, okazać nieufność i obawę nie jest dobrze, ale zdać się na łaskę Witolda i słowu jego zawierzyć, niebezpiecznie.

— Wiadomo to, waszej miłości—odezwał się Głowacz z Oleśnicy zwracając do króla — że wysłańcy Zygmunta doktor Baptysta i Roth, dotąd na Litwie siedzą i nie przestają o koronację podżegać. Witold zna naszego króla dobroć i powolność i na nią rachuje.

— Tak! tak, wszystko to ja wiem i myślałem o tem — przerwał Jagiełło smutnie — ale... Małdrzyk zaręcza, że on już się starania o koronę wyrzekł, że mowy o niej nie będzie.

— A zkąd Małdrzyk wiedzieć może, co u Witolda na myśli? — wtrącił Wicek z Szamotuł. — On się nikomu nie spowiada, a to co mówi, nie jest wielką rękojmnią. Często obiecuje co innego, a robi potem co mu dogodnem.

Jagiełło słuchając, zaczynał się coraz bardziej zasępieć i wzdychać.

— Radźcie więc—rzekł ponuro—radźcie. Ja bez was nie stanowić nie chcę, abyście mi potem nie wyrzucali, że m piwa nawarzył.

Zbigniew biskup zamyślony, czoło pocierał.

— Tej sprawie o koronę razby koniec uczynić należało — zawołał. — Podróż królewska możeby się

przyczyniła do potargania tych węzłów, które Witolda wiążą ze zdrajcą Luksemburczykiem.

Ja niczego się tak nie boję, nawet samego Witolda, co dobroci powolności pana naszego.

Na tę wymówkę król nie odpowiedział, jak gdyby jej nie słyszał. Znał siebie dobrze, przychodziło mu na myśl i to, że królowa go ostrzegała przeciw Witoldowi, zaklinała, aby się nie dał wziąć gładkimi słowy.

Naradzano się więc długo, a co było mężów przy królu poważniejszych, zbierali się przez cały dzień powoływali i badali Małdrzyka, chodzili do króla, myśleli, roztrząsali z obawą za i przeciw, nie mogąc nic stanowczego wyrzec.

W końcu jednak zdanie biskupa i życzenie króla zwyciężać zaczęło.

Nie godziło się zaprosin Witoldowych odrzucać, należało jechać na Litwę.

Godzili się już na to niemal wszyscy, ale razem na potrzebę towarzyszenia królowi, dodania mu ludzi, którzyby czuwali nad nim, popierali go, nie dali zmięknąć.

Sposobniejszym do tego nikt nie był nad biskupa Oleśnickiego, ale z jego strony, podróż z królem na Litwę, była największą ofiarą, jaką mógł uczynić dla kraju i pana swego.

Witold go nienawidził, wiedział o tem bardzo dobrze, iż opór niezłomny, jaki w Polsce spotykał, był dziełem Oleśnickiego. Jechać do Wilna, było to narażać się dobrowolnie na najcięższe próby, na największe utrapienia, na walkę i niepokój, a nawet na niebezpieczeństwa.

Z drugiej strony, nawet najdzielniejsi z senatorów, swą powagą, energią, charakterem, wymową nie mogli ani mu dorównać, ani go zastąpić.

Wszyscy więc godzili się na to, że jeżeli król jechać ma do Wilna, nie może bez biskupa. Poczęto ze wszech stron nalegać na Oleśnickiego. Wiedział

on co go na Litwie czekało, ale król prosił, zaklinali wszyscy... zgodził się milczący.

Oprócz biskupa, znaczny orszak panów, nietylko dla okazałości, dla czuwania, pomocy, straży nad starcem, miał mu towarzyszyć na Litwę.

Małdrzyk, który konie rozsądzone miał i gońców na posługi, został trzeciego dnia z tem odprawiony, że król zaproszeniu rad, natychmiast przybywa.

Łatwo się domyśleć, że pomimo uspokajających zapewnień Witoldowego posła, myśl koronacyi wcale nie była zaniechana, owszem czyniono do niej właśnie przygotowania.

Przybycie króla do Wilna i po drodze już słuchy o wielkim zjeździe książąt i bojarów, nie dozwalały o tem powątpiewać.

Nadzwyczaj wspaniały i liczny orszak, towarzyszący przyszłemu królowi Litwy, witał u bram Wilna sędziwego Jagiellę... Goście z Rusi, dwór ogromny, stráže strojne, przedstawiały się świetnie i z królewskim przepychem.

Ażeby ująć Jagiellę, zwołano co było najdosłojniejszego, przyjęcie uczyniono uroczystem. Witano go okrzykami, lud bił czołem.

Sam Witold w książęcym płaszczu, żona jego lśniąca klejnotami, wielki mistrz Krzyżaków, który odegrywał jakby panującego i udzielnego księcia rolę, kniaziowie ruscy: moskiewski, twerscy, odojewski i inni, zastęp ogromny kniaziów i bojarów, tatarskie stráže... tłumy bojarów litewskich witały króla.

Witold występował po monarszemu, a choć nie rozrzucił i nietrwonił, jak Jagiello, tam gdzie trzeba było okazać swą możność, sypał chętnie i miał z czego. Skarb jego był zawsze pełen.

Przy biciu dzwonów, wrzawie trąb, piszczałek i bębnów, wjechał na zamek wileński król, uradowany, wesół, przyjmowany poszanowaniem i sercem wielkiem.

Jego i towarzyszących mu panów polskich, ugaszczano i podejmowano od granicy... ale z wyjątkiem biskupa Zbigniewa. O tem wiedzieć nie chciało. Jak łatwo było przewidzieć, solą w oku Witoldowi stał się biskup. Starano się zapomnieć o nim, nie znać go, omijać... nie liczono wcale do orszaku, jechał o własnym koscie.

Wszystkich oprócz niego przyjmowano, chociaż ten... zaniebany, był tu w istocie najpierwszym i... znaczył więcej nad samego króla.

Pierwszego dnia o niczem mowy nie było, domyślać się tylko kazano, że koronacya się gotuje... Nazajutrz, zapomniawszy o tem, co Małdrzyk obiecywał, że o koronie mowy już nie będzie, przypuszczono zewsząd szturm gwałtowny.

W wielkiej izbie dolnego zamku, wobec króla, Witolda, wielu książąt i nieodstępного biskupa, Paweł Rusdorf, mistrz krzyżacki, pierwszy wystąpił, sam od siebie, z serca i przyjaźni wielkiej dla Polski i Litwy.

Miodowe jego słowa były jakby echem powtórzonem głosu króla rzymskiego. Mistrz bolał niezmiernie nad nieporozumieniem i rozterką, nie pragnął nic, jak powiadał, tylko obu państw pomnożenia potęgi i sławy.

Gdy dokończył, wstał Oleśnicki... Krzyżak politykował i uwodził, biskup z mężką otwartością kłam mu zadał w oczy.

— Nie mówcie nam ani o miłości, ani o życzliwości dla nas—odparł śmiało.—Mamy w rękach niezbite dowody, własne listy wasze, które świadczą jak wy i król rzymski sprzyjacie nam i do czego dążycie...

Wszystko to jest dziełem waszem... Przejęte pisma z pieczęciami, których się zaprzeć nie możecie, mówią przeciwko wam i zapewnieniom kłam zadają.

Nie spodziewano się nigdy, aby biskup tak śmiało i jawnie mógł wystąpić, nie oszczędzając ani przy-

tomnego mistrza, ani siedzącego tuż Witolda. Zdumienie, przerażenie było wielkie. Król oczy spuścił i pobladł, mistrz Rusdorf zatrzęsł się, twarz mu zapłonęła... rzucił oczyma do koła, nie wiedział co odpowiedzieć.

W najprzykrzejszem położeniu znalazł się Witold, który nie mogąc ani za sobą przemówić, ani Krzyżaka bronić, porwał się z siedzenia, i słowa nie mówiąc wybiegł z sali.

Z wielkim spokojem, stanowczo i dobitnie biskup dodał, że o koronie i koronacyi mowy nawet być nie może, bo ani król ani Rada przyzwolenia na nią... nie dadzą.

Odzywania się namiętne, dowodzenia wszelkie, wykrzykiwania, nalegania, prośby... żadnego skutku nie miały. Król milczał, wskazując na biskupa, Oleśnicki niczem się złamać nie dawał.

Wynosił pod obłoki Witolda, ale korony mu dać Polska nie mogła, bo Litwa połączona z nią była pod jedną, a stworzyć dwie, znaczyło rozerwać, co przysięgi i zobowiązania złączyły.

Dzień ten był stanowczy, rozbił on nadzieje i złudzenia.

Zmieniło się wszystko. Smutek rozpostarł się po otaczających Witolda, którzy wczoraj jeszcze byli jaknajlepszej myśli, wielki książę przekonał się, iż Zbigniewa ani ujmie, ani złamie.

Zdawał się chwilami losowi swemu poddawać, ale w piersiach jego wrzała rozpacz i gniew niewysłowiony. Być zwyciężonym, zmuszonym poddać się, po tak nadzwyczajnych wysiłkach, u schyłku życia... dla niego śmierci się równało.

Pobyt na zamku i w mieście, dla całego dworu, szczególnie dla Oleśnickiego, któremu wejrzenia wszystkie grozić się zdawały, palające nienawiścią, brzemienne zemstą, stawał się nieznosnym. Jagiełło napróżno starał się łagodzić, przeblagiwać, uśmierać.

Witold z godnością i dumą, nosił ten ból swój, żal i upokorzenie, ale księżna Julianna, po niewieścieniu, wykrzykiwała, napadła z wymówkami na Jagiełłę, napastowała kogo spotkała, podmawiała, ślała, zabiegała, nie dając spokoju nikomu.

Wśród bardzo licznego orszaku książąt, nieproszony podobno, znalazł się, jak gdyby przypadkiem, rodzony brat króla, Świdrygiello...

Dla Jagiełły, który całą swoją rodzinę miłował i miał słabość do niej, wielką pociechą było widzieć go przy sobie... Świdrygiello dziki, gwałtowny, cyniczny, na pół barbarzyńca, wcale mu miłości tej nie odplacał.

Postać to była wstrętna wszystkim, oprócz tych, których pociągała połobieństwem usposobień i obyczaju.

Ze wszystkich braci Jagiełlowych, w tym najwięcej poganina zostało, potomka tej krwi nieuchodzonej, wrzącej, która spokojnie w żyłach płynąć nigdy nie umiała, i wybuchami piętnowała wszystkie dni życia.

Więcej Rusin niż Litwin, obyczajem, językiem, wyznaniem (choć liczył się do kościoła rzymskiego urzędowicie), Świdrygiello miał w sobie spuściznę po tych kniaziach Rusi, którzy bez względu na związki rodzinne, na przysięgi i sojusze, dobijali się panowania bodaj morderstwą, gwałtami i zdradą.

Na Witoldzie, bracie jego Zygmuncie, na Korybucie, na innych litewskich książętach, wpływ cywilizacji i stosunków z zachodem, łagodzący, uśmierzający, był widocznym. Odzywały się w nich stare prądy niekiedy, lecz zwyciężał obowiązek i poszanowanie prawa, choćby pozorne.

Świdrygiello różnił się od nich wszystkich, jakby o sto lat spóźniony; był to człowiek prosty, dziki, namiętny, gbur wybuchający nieustannie i żadnego wrażenia nie umiejący pohamować...

Ale właśnie to co ludzi zachołu odłączało od nie-

go, na Rusi i w Litwie mnogich mu jednało zwolenników. Zabijał wprawdzie w gniewie, rzucał się, mordował, ale za stołem, przy biesiedzie można z nim było pić za panbrat i bluzgać słowy. Ze zbójem tym, na pół dzicy bojarowie byli śmielsi, swobodniejsi, niż z innemi książęty... Czuli w nim swego starszego brata.

Wiedział z dawna Jagiełło, że Świdrygiełło srogi miał żal do niego, urazę wielką... nienawiść, z którą się nie krył, za to, że nad niego przeniósł Witolda, że go trzymał na małej dzielnicy, odsuniętego na uboczu.

Spotkawszy się tu z nim król, tem czulszym i serdeczniejszym się chciał okazać, ale zamiast go sobie pozyskać dobrocią, wzmógł tylko butę Świdrygiełły.

Przybywszy tu, jak kruk czujący, że się pożywić będzie mógł, ani Witoldowi, ani Jagielle najmniejszego nie okazywał poszanowania, głośno się z tem przechwalał, że obu im zguby życzył, a swojej krzywdy nigdy przebaczyć nie mógł.

Nieraz za stołem, odwracali się wszyscy od niego gdy podpił, tak na każdego rzucał się i wywoływał sromotne rzeczy.

Przy pierwszym powitaniu zaraz, zmierzyszy dzi kim wzrokiem Jagiełłę, na jego dobre słowo odpowiedział bezwstydnem szyderstwem.

Przy stole, gdy Jagiełło i Witold, oba trzeźwi zawsze, pili wedle zwyczaju wodę, Świdrygiełło zalewał się miodem, winem, czem znalazł tylko i co miał pod rękę. Krwią mu nabiegła twarz, oczy zachodziły krwią, głos podnosił, zagłuszał wszystkich wrzaskami i krzykami niesfornemi.

Nie chodził inaczej jak otoczony gromadą bojarów mu podobnych, która temi jego zuchwalstwami uradowana, potakiwała, przyklaskiwała, a im król i Witold więcej się zżymali, tem większą z tego okazywała uciechę.

Nienawiść do Jagielly względem Witolda potęgowała się zazdrością, która przez długie lata rosła

i doszła teraz do szalu. Zdawało się, że przybył tu umyślnie po to, aby się uragać niedoszłej koronie, napawać zemstą, cieszyć upadkiem, a może w jakikolwiek sposób starać się skorzystać z niego.

Jagiello napróżno się go starał upamiętywać, miarkować, ugłaskać... dzika ta natura płaciła mu za jego łagodność odgrózkami i szyderstwem.

Gdy po pierwszym starciu biskupa z wielkim mistrzem, Witold musiał się wyrzec nadziei pokonania Oleśnickiego i koronacji.. nie było już co wstrzymywać w Wilnie całego tego orszaku kniaziów, ściągniętych umyślnie dla spodziewanej uroczystości.

Wszyscy z kolei, obdarzeni wspaniałe, żegnani poczestnie i serdecznie, rozjeżdżać się zaczęli. Dla biskupa było to najlepszym znakiem zwycięstwa, ale nie okazał wcale, jak mu rad był i dumny z niego. Oszczędzał o ile mógł miłość własną wielkiego księcia.

Ze wszystkich kniaziów przybyłych, Świdrygiello jeden nie okazywał ochoty do wyjazdu. Było coś dziwnego i podejrzanego w jego postępowaniu. Ukazywał się, znikał, robił wycieczki, gromadził około siebie tych, o których wiedział, że Witoldowi nie sprzyjali lub urazę mieli do niego. Donoszono w księciu, że konszachty jakieś miał z bojarami, po nocach ich sprowadzając do siebie.

Witold mówił o tem Jagielle, król bronił brata.

— Pijanica!—mówił—i po wszystkim!

Korzystając zaś z tego pobytu przedłużonego, Jagiello chciał się koniecznie zbliżyć, przejednać, zyskać go sobie. Świdrygiello siedział, ale tak szydził z Jagielly jak zawsze. Co dzień znajdował tu liczniejszych towarzyszków i przyjaciół. Co postrachem i grozą odepchnął od siebie Witold, cisnęło się do niego.

Na zamku podpiwszy, pod noc szedł zaproszony lub własnowolnie do bogatszych bojarów, do kupców ruskich, nawet do prostych mieszczan, i tam całe noce na krzykliwym biesiadowaniu spędzał.

Rzadko kiedy bez rozlewu krwi i bójki się obe-

szło, bo po trzeźwemu, gdy się uniósł, bił i policzkował łatwo, a pijany byle co, za nóż chwycił. Ale i drudzy byli nielepsi. Wytrzeźwiwszy się, pamiętano tylko, że kniaź był ochoczy i wesół.

Jagiello, dla wszystkich słaby, dla brata tego był do zbytku czułym i pobażającym. Świdrygiello obchodził się z nim zuchwale i dziko.

Jeździli czasem razem na łowy, z których stary pan powracał najczęściej znękany, upokorzony, ale nigdy się nie poskarżył. Co mu we cztery oczy mógł prawić Świdrygiello, domysleć się było łatwo z tego, co przy ludziach nie wahał się bluźgać.

Uspokojony nieco rozjechaniem się sproszonych gości, król oddychał swobodniej, gdy wcale niespodzianie, sam na sam, Witold rozpaczliwie znowu począł nalegać o koronę. Skłaniała go do tego żona.

— Na srom i pośmiewisko całego świata wydaliście mnie!—mówił Jagiello.—Szydzić ze mnie będzie Zygmunt, naigrawać się papież, i wszyscy książęta i panowie chrześcijańscy... gdziekolwiek doszło imię moje... cześć postradam!

Korony nie chcę dla ocalenia sławy mojej. Dajcie mi ją na dzień, na godzinę... złożę natychmiast, byłem mógł powiedzieć, żem włożył na skronie.

Jagiello wskazał na panów swoich.

— Zgódź się ty tylko, ja z nimi poradzę sobie—wołał książę.

Król, który więcej się może obawiał Zbyszka, niż brata swego, ciągle szeptał niewyraźnie jedno, że go-tów był zezwolić na wszystko, ale Zbyszek i Rada się nie zgodzą, a bez nich on mocy żadnej niema.

— Ten biskup wszechwładny tu... jego zjednaj, ja zezwolę.

Chociaż tylekroć wypróbowana, niewzruszona sta-łość biskupa, nowe pokuszenie się prawie próżnem czyniła, a najmniejszego widoku przełamania go nie było, Julianna nalegała tak, iż Witold wysłał raz jeszcze na biskupstwo do ks. Macieja (bo u niego

Oleśnicki mieszkał), dwóch komorników, polaków, Mikołaja z Sępna i Małdrzyka.

Księżna Julianna nie mogła pojąć, aby człowiek nie uległ ponęcie darów i skarbów, upierała się przy tem, że Zbigniewowi potrzeba było ofiarować tak wiele, aźby w końcu dał się przekupić.

Małdrzyk, lepiej znający Oleśnickiego, szedł wprawdzie posłuszny, ale nie mając nadziei, aby się poselstwo powiodło, zdał przemówienie na Mikołaja z Sępna, który pochlebiał sobie, że... dokaże swego.

Biskup przyjął ich obu z tą powagą chłodną, której nie nigdy naruszyć w nim nie mogło.

Zaczął Mikołaj od tego, iż księżę błagał go, prosił, aby on jeden nie stawał mu na zawadzie. Ofiarował w zamian cokolwiekby biskup zażądał. Witold otwierał mu skarby swe, aby w nich sam, jaki chciał wybór czynił, dla siebie, dla kościoła, dla rodziny... Obiecywał więcej nadto jeszcze nadanie ziem wielkich.

Być może, iż Mikołaj z Sępna rachował na to, że biskup starał się dla rodziny swej zbierać i bogacić ją... ale nie kosztem sumienia.

Odpowiedź Oleśnickiego była chłodna i rozważna. Przyznawał on Witoldowi raz jeszcze, że był godzien nosić koronę, ale Polska mu jej dać nie mogła. On zaś, za żadne w świecie skarby czei i sumienia nie mógł sprzedać.

Przez kilka godzin trwały prośby i dowodzenia próżne, iż Polska nie mogła stracić na koronacji Witolda, że on się ofiarował złożyć tę koronę, że jej żądał tylko, aby zmyć srom z siebie i t. p.

Biskup pozostał przy swoim chłodny ale niewzruszony. Posłowie musieli powrócić z rękami próżnemi. Usłyszawszy to Witold, wpadł w gniew i roznamietanie szalone, ks. Julianna płakała ze złości i rzucała się odgrajając.

Oboje chcieli tem mocniej postawić na swoim, im

zaciętszy był opór, a Jagiello ciągle jedno powtarzał, odsyłając do Złyszka.

Witold raz jeszcze wezwał do siebie Macieja, biskupa wileńskiego i przez niego znowu zaklinał, prosił o koronę, choćby na dzień... obiecując ją złożyć natychmiast.

Jaka myśl tajemna skłaniała go do takiej natarczywości, dziś odgadnąć trudno; to pewna, że nie sama chętka osiągnięcia tytułu królewskiego.

Posunął się nareszcie w. książę tak daleko, iż począł biskupowi grozić zemstą, zaklinając się, że wymoże, wybląga na królu, aby go z biskupstwa zrzucił jak Wysza.

Oleśnicki i tą pogroźką, zresztą niemożliwą do urzeczywistnienia, wcale się nie dał ustraszyć. Odpowiedź brzmiała jak zawsze, iż zezwolić nie może.

Natarczywość zajadła księcia i wszelkie jego zabiegi, rozbiły się o pierś kapłana opancerzowaną przekonaniem niewzruszonem, iż zbawienie kraju zawisło od utrzymania węzłów, które łączyły dwa narody.

Od dni kilku cierpiący Witold, po ostatniej tej rozprawie z biskupem zaniemógł mocniej... Złamał go ten bój, niepokoje, gorączka, z którą żył od zjazdu Łuckiego.

Przestraszona Julianna o niego i o siebie, nie wiedziała już co począć. Razem z tem przychodziły zewsząd wieści głuche, że Świdrygiello jawnie już do spadku po żyjącym Witoldzie czynił zachody i przygotowania.

Od kilku tygodni księżna widziała w twarzy męża zmianę, wyraz cierpienia. Krew napływała do głowy, boleści w karku i krzyżach stawały się nieznośne, na noc przychodziła gorączka.

Jednakże o życie obawy najmniejszej nie powzięto jeszcze, Witold pomimo wieku, silnym był i krzepkością przechodził Jagiellę.

Pomimo choroby kłaść się nie myślał. Boleści, których doznawał w karku, zmusiły go tylko pozostać

w izbie, w której Jagiello siedział przy nim, a księżna niespokojna, co chwila wpadała z nowemi radami i lekami.

Wrzód się robił na krzyżach, uznano to bardzo szczęśliwem, miał on wszystko złe wyprowadzić.

Po przegranej z Oleśnickim walce, zaszła jednak zmiana zupełna w usposobieniu Witolda, opadł na siłach ducha, wyrzekł się już starań wszelkich, jakieś przeczucie końca owiało go.

Jagielle siedzącemu przy nim, podawał dłoń.

— Zapomnijmy o wszystkim... Trzeba się wyrzec tego marzenia o koronie, mówił głosem osłabłym. Tak! wszystkich sobie ująłem, przełamalem grozą jednych, drugich kupilem złotem, tego człowieka niczem nie mogłem pozyskać... jego i Sonki! On mi nie dał korony, ona mi nigdy nie przebaczy.

Posłyszawszy o chorobie ciężkiej, Oleśnicki przyszedł do księcia, który przyjął go bez gniewu, z poszanowaniem.

— Ojcie mój—rzekł—zwyciężyliście.. O koronie już nie myślę... Zazdroszczę Jagielle takiego męża, a Polsce pasterza.

Przytomni byli rozmowie podkanclerzy Władysław z Oporowa i siostrzan króla Semko Mazowiecki. Obrócił się do nich Witold, powtarzając zaręczenie, że się korony wyrzeka.

Oleśnicki starał się go przekonać wymownemi słowami, że wielkość jego i sława na tem nie tracą.

Witold, którego wielkie bólesci nękały, dodał po chwili.

— Zdaje mi się, że inna korona mnie czeka, na świecie nie tym... Zbliża się koniec.

Przytomni przerwali mu, dodając ducha, i dowodząc, że nie było niebezpieczeństwa.

Księżnę jednak już opanowała trwoga i ta nieprzyjaciółka zawzięta Oleśnickiego, gdy wychodził od Witolda, spotkała go w progu, zaklinając, aby na chwilę rozmowy wstąpił do niej.

Cała we łzach załamała przed nim ręce.

— Ojcie mój—poczęła—ratuj mnie hiedną! Obawiam się o jego życie, on stary, niewytrzymać może, a ja, ja zostanę sierotą i ze wszystkiego mnie obędzie.

Świdrygiełło czyha tylko, ma po sobie ruskich bojarów, byle pan mój oczy zamknął, pochwycą wszystko, ograbią mnie. Zabierzcie z sobą skarbiec nasz do Polski, w waszych rękach będzie bezpiecznym.

Natarczywemu żądaniu temu zaledwie się mógł oprzeć Oleśnicki, starając się uspokoić księżnę, tem, że król nie dopuści grabieży, ani bezprawia.

Dnia tego w istocie choroba się powiększyła, rwanie i gorączka wzrosła. Przywołani lekarze niewiele mogli poradzić, natura sama musiała zwalczyć chorobę.

Troskliwy o niego król, nie odstępował prawie od łóża, z którego Witold zrywał się ciągle, a skłonić go do wypoczynku, do siedzenia w izbie, żona, ani Jagiełło nie mogli.

Wewnętrzna boleść oddziaływała na niego, słabł, ale siłą woli zaraz się dźwigał. Cieleśnemu cierpieniu uleż nie chciał, sromił się tego jak słabości, walczył z chorobą, jak przywykł był bojować życie całe.

Zbigniew biskup, przewidując już niebezpieczeństwo i zawikłania, chciał dłużej pozostać, ale sam król naglił, aby powracał z podkanclerzym i kilką senatorami do spraw królestwa.

Można było prawie posądzić go, że postanowiwszy już po Witoldzie oddać Świdrygielle Litwę, chciał usunąć co mogło stawać na zawadzie. Biskup dla tego jednego już byłby mu przeciwnym, że w nim katolika nie uznawał.

Oprócz biskupa i towarzyszących mu, dość liczny poczet zostawał przy królu, który z większym niż zwykle wybrał się dworem.

Oleśnicki nie bez pewnej obawy Wilno opuszczał

i Jagiełłę, chociaż przy nim zostawiał na straży ludzi, w których miał zaufanie.

Król wybierał się naprzód do Trok na łowy, potem lasami, powoli, miał ciągnąć ku Grodnu. Nie spodziewano się jeszcze, aby choroba życia księcia zagrożać miała.

Tymczasem Świdrygiello, mało co pokazujący się na zamku, kręcił się po okolicy, zbiegał ku Oszmianie i Lidzie, wracał, zaglądał tu tylko i ze swemi bojarami zdawał się wyczekiwać.

W dzień św. Jadwigi, który Jagiełło zawsze uroczyscie obchodził, rano miał, mszy wysłuchawszy u Franciszkanów na Piasku, do Trok wyruszyć.

Witold, pomimo prośb króla i zaklęć żony, uparł się mu towarzyszyć koniecznie. Chory nie dał się na wóz wsadzić, ale na koniu razem z Jagiełłą z zamku wyruszył. Księżna tuż jechała kolebką.

Zaledwie mały kawałek drogi ujechawszy, książę z bólu i zmęczenia tak osłabł, że ludzie go z konia musieli zdjąć i umieścić obok żony w kolebce.

Świdrygiello, który był razem, zobaczywszy to, zniknął. Mniej na to zwracano uwagi, bo choroba Witolda zajmowała wszystkich.

Zbiegłszy z orszaku, brat Jagiełły, nie prędko się już ukazał.

Dojechali z Witoldem do Trok, gdzie choroba znacznie się zaraz pogorszyła. Zniesiony na łożo, książę już nie wstawał z niego.

Jagiełło nie odstępował chorego ani dniem ani nocą. Tymczasem Świdrygiello na pewny już spadek rachując biegał po grodkach i dworach, po starych swych druhach i pomocnikach, przygotowując do gwałtownego opanowania księstwa, choćby wbrew woli Jagiełły.

Choroba Witoldowa przeciągnęła się. Nie było już dla nikogo tajemnicą, co Świdrygiello zamierza. Sam chory uwiadomiony był o tem przez żonę, która się o swoją przyszłość lękała.

Dano więc znać Jagielle, ale tu wyszła na jaw cała dziwna owa słabość jego dla brata, potajemna chęć wynagrodzenia mu za krzywdy, może obawa gwałtownego jego charakteru. Król wahał się z wystąpieniem przeciw tej samowoli. Naglony przez księżnę Julianę musiał w końcu posłać po niego.

Na ponowione raz i drugi wezwanie, w końcu kniaź przybyć musiał. Zamiast powstać przeciw niemu i zagrozić, Jagiełło zobaczywszy zasepionego i rozgniewanego brata, złagodniał i powitał go serdecznie a czule.

— Co ty tam poczynasz? — ódezwał się — tu na ciebie wszyscy! Oskarżają cię, że spiski knujesz, że ludzi sobie jednasz, jak gdybyś już Witolda widział na marach?

Pogardliwie wzruszył kniaź ramionami.

— Cóż ty myślisz?—odparł—że ja będę czekał na łaskę twoją? aż ty mi raczysz to puścić, co się mnie słusznie i dawno należy? Trzymał naszą ojcowiznę dosyć długo stryjeczny z twojego daru, a tyś nie miał prawa nią rozporządzać. Biorę to co moje i pytać się ciebie ani Polaków o pozwolenie nie będę.

Oślupiałemu królowi zamknął tem usta. Nie zaprzeczył mu, nie oparł się, dodał tylko.

— Patrzajno, abyś się nie popadł jeszcze w ręce Witolda. Chory leży, ale dla tego mocniejszy jest od nas obu.

Splunął Świdrygiełło.

— Nic z niego nie będzie—krzyknął.—Wrzód ten go zdusi, zje go żółć, którą mu korona po sobie zostawiła.

Rozśmiał się dziko.

— Nie boję się go. Na mnie przyszła pora, ja wam pokażę co mogę.

Jagiełło chciał go powstrzymać, ale mówić nie dał. Rozsiadł się na ławie naprzeciw niego, patrząc mu wyzywająco w oczy.

— Ty i on—wołał—obaście już zgrzybieli starce

do niczego. Kolej na Świdrygiełłę, który tu polskim pankom i papieskim biskupom gospodarować nie da. Król siedział zupełnie przybity.

— Czekażcie — wyjąknął — aby na ciebie przyszła ta kolej, a nie łap ryb przed niewodem. Nie znasz tej mocy, którą sobie lekceważysz.

— Znam! znam was wszystkich i moją siłę — przerwał Świdrygiełło. — Ty mnie rozumu uczyć nie będziesz.

I powstawszy nagle, nie patrząc na króla zmieszanego, który go chciał wstrzymywać, szedł precz. Panowie polscy ze zgrozą patrzyli na to, co się święciło.

Tymczasem choroba Witolda z dnia na dzień przybierała groźniejszy charakter. Lekarz Jagiełły postrzegł, że wrzód na krzyżach siniał i czerniał. Gorączka się wzmogła.

Miał jeszcze we dnie tyle przytomności Witold, że królowi zrozpaczoną żonę swą polecił i Litwę.

Ostatnich dni października, wielki ten mąż, życie w Trokach zakończył.

Było to hasłem dla Świdrygiełły, do opanowania wszystkiego na co czyhał.

Jagiello, którego zgon ten na Litwie zachwycił, w pierwszych chwilach po śmierci Witolda, oddalić się ztąd nie mógł, trzeba było rząd jakiś i ład wprowadzić. Jedyne go doradcy, któryby mu najlepiej mógł posłużyć, nie miał przy sobie.

Świdrygiełło nie pytając o nic, wcześniej przygotowany, z pomocnikami swemi zagarniał zamki, opanowywał gródki, załogi sobie pozyskiwał.

Nie przebrzmiały jeszcze dzwony pogrzebowe, gdy do Jagiełły, który znajdował się na zamku Wileńskim ze swoim orszakiem, nie podejmując nic i namyślając się co ma począć, wpadł butnie jak pan tutejszy, Świdrygiełło. W istocie skorzystał on z czasu pogrzebu, aby z jednej strony opanować Troki, z drugiej zamki Wileńskie ludźmi swemi poobsadzać.

Pałała mu twarz i oczy. Szedł nie jak podwładny, ale jako władzący już Litwą, nie jak do króla, ale do swego jeńca i więźnia. Garść Polaków nie mu nie znaczyła.

— Litwa moja — zawołał — czy po dobrej woli, czy siłą wezmę ją... Rozumiesz ty to?

Jagiello zamruczał coś niewyraźnie, a potem dodał.

— Ja sam nie mogę... Trzeba panów rady pytać. Ich tu niema.

— Ja ani ciebie, ani ich się pytać i prosić nie myślę—krzyknął kniaź.—Litwa nie była twoją, żebyś ty ją Polsce oddawał za żonę. Jam taki dobry następca po ojcu, jak i ty, prawo moje do dziedzictwa. Tej ziemi nie gorsze.

— Bracie!—chciał począć łagodniej Jagiello...

Posłyszawszy to imię kniaź, w uniesieniu gwałtownem, wybuchnął.

— Ktedyś ty mi bratem był? Teraz chyba ci się braterstwo przypomniało, gdyś się mnie zląkł! Ja się z tobą bratać nie myślę, ja ciebie nie znam! I pięść ściśniętą podniósł do góry.

Jagiello nie widząc innego sposobu, chciał go ułagodzić obietnicą puszczenia mu Litwy, ale nie na wiele się to przydać mogło.

— Jam ci chciał bez pogroźek a przymusu, sam Litwę puścić—rzekł strwożony.—Miejże pomiarkowanie i cierpliwość. Musisz tylko z Litwą jak Witold stać wiernie przy mnie i z Polską.

Śmiechem złym, przysiadając aż i zęby ukazując, obie ręce w boki wparłszy, zarychotał kniaź dziko.

— Nu! nu! zobaczysz jak wiernym ja ci będę! Zobaczysz... Ja nad sobą nikogo nie ścierpię. Tak dobry tu jestem, jak ty tam w Krakowie, a może lepszy...

Podniósł się potem, wyprostował, milcząc, znowu złożoną pięść prawie do twarzy przysunął Jagielle i drzwiami rzuciwszy, wyszedł z izby.

Sceny tej upokarzającej, panowie polscy choć nie

byli świadkami, zebrani w sąsiedniej komnacie, domyślili się z podniesionych głosów i krzyku.

Krew w nich wrzała, jeden drugiego wstrzymywać musiał, aby nie wpadli do izby.

Lecz jak tylko usłyszeli wychodzącego kniazia, natychmiast Głowacz z Oleśnicy, Andrzej z Tęczyna i Mikołaj Drzewicki, z tych co przy królu zostali, wbiegli i znaleźli Jagiełłę pod wrażeniem pogroźek, na poły struchlałym.

Dawno już oni przewidywali na co się zanosilo, pilno czuwając nad tem, ażeby na zamek wileński, który zajmowali, nie wpuszczać nikogo.

Do koła Świdrygiełłowa gawiedź krążyła, otaczała, wciskała się i odgrażała coraz zuchwalej.

— Miłościwy panie — odezwał się przybliżając Andrzej z Tęczyna — źle coś znam... Nas tu już podczas nie mają za nic, rozkazy wasze im jakby wiatr szumiał... nie chcą słuchać. Po mieście wszędzie Świdrygiełło strażę postawiał, bramy pozajmował. Troki i Witoldowie skarby w jego rękę, ludzi pełno, inne zamki jedne po drugich mu się poddają. Głosi już się wielkim kniazem Litwy i Rusi.

Zwolna głowę podniósł Jagiełło, zdało mu się, że najlepiej będzie bronić brata, a Polaków uspokajać...

— Niema w tem złego nic — rzekł zasepiony. — Świdrygiełło dawno miał przyrzeczenie odemnie, że mu Litwę puszcze po Witoldzie... Inaczej nie może być... Zresztą, co? Gdybym ja mu jej nie dał po dobrej woli, sam ją weźmie, gwałtem. Lepiej mu ją dać i w zgodzie żyć. Będzie rządził z mojej ręki...

Panowie Tęczyński, Drzewicki, Zaklika, Tarło, spojrzeli po sobie. Gorzko się im zrobiło, ale nie śmieli sprzeciwić się królowi, gdy rzeczy już tak daleko zaszły. Zapóźno było.

Jagiełło podrażniony, przygnieciony, siedział smutny, oczu podnieść nie śmiejąc.

— Trzeba Świdrygiełłę pozyskać, złagodzić — zamruczał—i to, co rychlej... co rychlej..

Obejrzawszy się po swoich, za innymi postrzegł stojącego Jana Mężyka z Dąbrowy, śmiałego człeka i zręcznego. Skinął na niego.

— Mężyku! pójdz sam tu.

To mówiąc oglądał się, jakby czegoś koło siebie szukał. A miał zawsze obyczajem swoim skrzynkę z klejnotami pod ręką, jeździła ona z nim wszędzie, bo był tak do obdarowywania skłonnym, że nikogo od siebie z próżnemi dłońmi nie odpuścił. Musiał mieć zawsze czemś przybywających obdzielać. Płacił hojnie za każdą usługę, żadnej prośbie odmówić nie umiał.

— Gdzie moja skrzynka? — zapytał nie widząc jej.

Drzewicki, który i pieczęć miał mniejszą i pieniądze królewskie, poszedł po nią. Stała ukryta w drugim końcu izby na policy. Przyniósł i postawił przed królem, który drżącemi rękami począł, otworzywszy ją, przebierać między klejnotami, a było ich tam już niewiele i co pośledniejszych, bo lepsze król porozdawał.

Znalazł się przecie na dnie duży pierścień z kamieniem zielonym, okazały, jakich naówczas biskupi i książęta używali.

Wziął go król i zawinawszy w jedwabnicę, której szmatka w pudle leżała, podał Mężykowi.

— Na, idź mi zaraz, idź — rzekł wahając się — idź do księcia Świdrygiełły, pokłoń mu się odemnie, a powiedz, że na znak panowania nad Litwą, pierścień mu ten posyłam.

— Miłościwy panie — ośmielił się odezwać Drzewicki — u nas na znak panowania zwykle się miecz daje, a pierścień tylko biskupom...

Jagiello się zżymnął.

— Co ty mnie będziesz uczył! Wszystko jedno...
Zadumał się troszynkę i dodał głosem smutnym.

— Co czynić? Lepiej samemu dać, niżby miał wydzierać! Nie można się ratować inaczej. Sami widzicie... wszystko ogarnął! Człowiek gorący jak ogień, gdy mu się głowa zawróci, gotów na wszystko...

Inaczej nie wybrniemy. To będzie najlepszy sposób... Zaraz złagodnieje, zobaczycie.

Dwór królewski spoglądał po sobie, ale nie było już Zbyszka biskupa, aby królowi mężstwa dodać i powstrzymać.

Mężyk się jeszcze, w rękę obracając jedwabny węzeł, ociągał z wyjściem, gdy Jagiełło zawołał niecierpliwie.

— A no, idźże mi zaraz, idź. Czem prędzej tem lepiej, aby się rozsierdzić nie miał czasu.

To mówiąc siadł poruszony i niespokojny, wody sobie podać kazawszy.

Nie chcieli go trwożyć więcej panowie przy nim będący, ale położenie króla, ich wszystkich, garstki Polaków stanowiącej straż a teraz na zamck spędzonej, było takie, iż równało się oblężeniu.

Od pogrzebu Witolda Świdrygiełło jawnie wszelką władzę pochwycił, względem króla i Polaków znajdując się tak, jak gdyby ich wyzywał i chciał drażnić. Służba jego i Rusini zapowiadali w głos, że ztąd i noga Lachów nie ujdzie.

Na gardło im zdala pokazywali.

Na rozum i pomiarkowanie Świdrygiełły, wcale rachować nie było można.

Przez pół dnia bywał pijany, a nagle zawładnięcie skarbami ogromnemi, które po Witoldzie pozostały, ludzie do niego garnący się zewsząd, urzędnicy i bojarowie, którzy w nadziei nagród poddawali mu się i kłaniali, wbili go w pychę niezmierną.

On i jego Rusini w żywe oczy szydzili z Jagiełły, z Polaków i umyślnie zbliżali się aż pod okna i sieni, aby ich wyzywać i łajać.

Jeden Jagiełło pochlebiał sobie, że ułagodzić go

i zagodzić potrafi; dwór się nie łudził, czując że czeka niewola lub co gorszego jeszcze.

Jedno słowo i mała bójka mogła napaść i rzeź wywołać.

Oczekiowano na powrót posłanego z pierścieniem Mężyka, który nierychło się przywłókł i królowi powiedział tylko krótko, że kniaziowi do rąk pierścień oddał, za który on sam miał przyjść dziękować.

Jagiello i tem się uradował.

— Widzicie! widzicie! — rzekł do swoich — albo nie mówiłem? Serce w tym człowieku dobre, krew tylko gorąca, a jeszcze ją tym miodem podlewa, aby się więcej rozpalala... Teraz on zaraz będzie inny.

Tymczasem Mężyk w drugiej izbie, swoim pocichu opowiadał, jak go z tym pierścieniem przyjęto.

Siedział Świdrygiello ze swoimi za stołem i pił, stół pięściami tłukąc, otoczony pijanymi, jak on, którzy każdemu jego słowu pokłonami, śmiechami, okrzykami i biciem w dłonie wtórowali.

Zobaczywszy Mężyka we drzwiach, zawołał namarszczony.

— A ten Lach, psia wiara czego tu lezie?

Dąbrowa wtedy pokłoniwszy się, począł żwawo poselstwo sprawiać i położył pierścień przed kniazem. Zobaczywszy go, ujął się w boki Świdrygiello i począł się zanosić ze śmiechu.

— Co to ja, baba? żeby mi pierścień z oczkiem słał? — zakrzyczał. — Albo to ja potrzebuję, ażeby mi ten dziad Litwę dawał, kiedym ja ją już wziął?

Mężyk stał, sądząc że mu opamiętawszy się, choć jakie słowo pocziwe da dla króla, ale się nie doczekał nic, oprócz gorzkiego szyderstwa.

Spytał co ma królowi odnieść.

— Powiedz mu co słyszałeś — krzyknął kniaź — a czego ty nie zechcesz powtórzyć, ja mu sam przyniosę.

Bojarowie parsknęli śmiechem, patrząc na Mężyka, w którym krew kipiała, poczęli różnemi słowy

zelżywemi rzucać, przedrwiewać go z polska, aż w końcu poseł pokłoniwszy się, musiał iść, nie było na co więcej czekać.

Król dnia tego spokojniejszy poszedł do łóżka, ale dwór jego wcale nie spał.

Andrzej z Tęczyna, który opatrzył na zamku wszystko do koła i widział niebezpieczeństwo nocnej napaści, rozkazał naprzemiany czuwać jednej części ludzi królewskich i straż odbywać około dworca u bram. Mało kto przypadł chwilę na sianie, a nie rozbierał się nikt.

Świdrygiełłowe sotnie, ludzie nowo pozaciągani, którym pieniądze garściami sypano ze skarbcza, pili i opasywali zbrojni garść Polaków, sroząc się i odkażąc..

Trzeba było świętej cierpliwości, aby zajścia uniknąć, gdy najmniejszy zatarg między ciurami i czeładzią, mógł zredzić wybuch i krwawe starcie, którego zdawano się pożądać.

Polacy mieli za sobą meztwo i lepsze uzbrojenie, ale liczba Świdrygiełłowej drużyny, w dziesięcioro ich przewyższała.

Z Litwinów, którzy królowi i księżnie Juliannie tak uciśniętej jak on, radzi byli służyć, większa część, obawiając się gwałtowności Świdrygiełły, znaku życia dawać nie śmiała.

Duchowieństwo łacińskie, którego kniaź nie cierpiał, choć ze chrztu katolikiem był i miał imię Bolesława, którego nie nosił, obawiało się także gwałtów i występować nie mogło.

Trzeba było ważyć się na coś, aby króla z tej toni ratować.

Radzili wszyscy. Stanęło na tem, że co najprędzej stać kogoś było potrzeba potajemnie do Polski, prosząc o pomoc.

Ale wszystkich ich tak strzeżono i opasywano, że nikt za mury zamkowe nie mógł wyjść bez opieki i zaczepki... Ścigano wychodzących póki nie wrócili.

Zaklika Tarło, Toporczyk, młodszy i śmielszy od innych na przygody wszelkie, zażył pod wieczór takiego kunsztu, gdy się ciury popily, że ruski tulub długi wdział, czapkę ich krojem, szablę przypasał taką jaką oni nosili i wysunął się o mroku, do Franciszkanów się chcąc dostać, aby z nimi naradzić jeszcze. Tu na Piaskach, jak za pogańskich czasów, znalazł drzwi zabite, strzeżone, że ledwie się dostukał, aby go wpuszczono.

Przełożony o wszystkim wiedział, a domyślał się łatwo, jak na zamku królowi i Polakom być musiało. Znalazł go Zaklika w smutku i niepokoju wielkim o króla.

— Modlić się będziemy dzień i noc przed Przenajświętszym Sakramentem — rzekł do Toporczyka — ale co my więcej możemy? kiedy tu sam król nie może nie?

Co rychlej trzeba gońców do Polski śłać i to nie jednego a kilku, bo ich po drogach łapać będą, do biskupa, do królowej, do senatorów, aby wojsko bodaj wysłali na obronę króla.

Swidrygiella znają wszyscy, że szalony jest. Nie może bratu zapomnieć, że się długo tulał a ponieważ; około niego sami tacy ludzie jak on... pijanice i zbóje.

Miejcie się na bacności dniem i nocą... My modlić się będziemy.

O ucieczce z królem ociężałym i starym myśleć nie było można.

Z klasztoru nie mieli kogo wysłać do Polski, musiał więc Zaklika obmyśleć z innymi, kogo z czeladzi i w jaki sposób wyprawić, tak, aby się to nie wydało i żeby go nie pochwycono w drodze...

Nazajutrz rano, gdy Jagiello, wciąż dobrej myśli będąc i sądząc, że wszystko ubił pierścieniem, oczekiwał podziękowania i odwiedzin; zajechał na zamek Swidrygiello z całym ludzi orszakiem, a sam wpadł

hałaśliwie do komnaty króla już po rannym obiedzie, pijany i czerwony cały.

Król śmiejąc się, witać go chciał dobrem słowem, gdy zaczął krzyczeć od progu.

— Co ty myślisz, stary grzybie, że ja na twoje słodkie słowa i pochlebstwa dam się wziąć, a kłaniać ci się będę?

Sądziysz, że ja już zapomniał, jakieś ty mnie przez dziewięć lat trzymał w niewoli więzieniem? Teraz na ciebie przyszedł czas, popadłeś mi się w ręce, pomszczę się krzywdy mojej, pomszczę.

Król podniósłszy głowę, osłupiały, uszom prawie nie wierzył.

— Tak! ty niewolnikiem moim jesteś — dodał książ. — Nie puszczę cię ztąd do młodej żonki, niechaj ona sobie wczasu zażyje z laszkami, płakać po tobie nie będzie...

Ja cię w dyby okuję...

Chciał się odezwać Jagiełło, ale mu nie dał pijanica, szydersko się wciąż naśmiewając z niego.

— Król, ty król! Ja się ani ciebie, ani królestwa twego, ani Lachów nie boję. Pójdą ze mną panowie Krzyżacy i Rusiny wszystkie, a może i kto więcej... Zapowiedzą Lachy wojnę, ja cię zaraz okuję, związę i do ciemnicy na chleb i wodę. Zdychaj!...

Jagiełło sparł się na rękę, oczy sobie zakrywając, nie odpowiadał nic.

Książ po izbie biegnąc, głośno wykrzykiwał, aż Polakom słuchającym w drugiej komorze krew buchała i ścinała się w żyłach naprzemiany, z gniewu i rozpacz. Andrzej z Tęczyna coraz to za miecz chwycił, a drudzy go trzymać musieli, aby nie wyskoczył i nie był nieszczęścia przyczyną, bo dość było jednego zawołania Świdrygiełły, aby ich wszystkich wykłuto i porznięto.

Byliby się jak lwy bronili, ale padliby do nogi. Jagiełło z wielką cierpliwością znosił obelgi, wy-

rzuty i znęcania się, wzdychając tylko. Na ostatek z piersi mu się dobyło.

— Sromajże się, co czynisz ze mną! Jam dziś bezbronny, w twoich rękach, ale pomszczą się na tobie...

— Ani ich zemsty, ani ciebie się ja nie boję — wrzasnął Świdrygiełło.

Zostaniesz w niewoli, a jeśli myślisz, że ja ci dopuszczę ztąd listy słać i skargi, to mnie nie znasz. Ani ptak ztąd nie wyleci. Do ciebie i od ciebie nie przyjdzie i nie wyjdzie nikt bez mojego pozwolenia... A poczniesz się ruszać, i ty i twoje Lachy głowami nałożycie...

I pogroziwszy pięścią, z hałasem i trzaskiem jak wszedł tak wybiegł nazad. W sieniach mu się pode-drzwiami nawinał Zaklika, którego od psów i ścierwa zaczął lżyć, że śmiał podsłuchiwać.

Zamachnął się go uderzyć, ale ten na bok się rzucił i zniknął.

Innych ze dworu królewskiego, co stali w sieniach i przed sienią, zląjawszy, siadł na koń z pomocą dwóch swych domowników i odjechał krzycząc.

Nie śmiał nikt potem, ani Andrzej z Tęczyna, ani Drzewicki do króla wniknąć, dopóki nie ochłonął.

Gdy podkanclerzy w końcu, niespokojny wśliznął się do komnaty, Jagiełło mu tylko rękami ukazał w tę stronę, w którą Świdrygiełło odjechał, słowa nie mogąc wyrzec.

— Miłościwy panie — rzekł Drzewicki — nam tu już darmo się czego lepszego spodziewać. Do królowej i do kilku panów potrzeba słać na gwałt, aby nas wyzwolono. My przepadniemy, to niewiele waży, ale was on zamęczy...

— Kogóż słać? jak? — spytał król bardzo cicho i bojaźliwie.

— Niech miłość wasza naznaczy — szepnął podkanclerzy. — Z nas każdy na usługę gotów, choćby i gardło ważyć przyszło.

Myślał długo Jagiełło. Żał mu było tych, których miał przy sobie i żadnego się pozbywać nie był rad, odroczył na później postanowienie.

Co żyło przy królu, na zamku do gromady się skupiało oręż przygotowywało i lękając się napaści, czuwać postanowiło ciągle. A że król sam do stanowczego kroku łatwym nie był, na podkancierzym, Andrzeju z Tęczyna, Dobku i Mężyku wszystko się oparło. Oni musieli obmyślać, jakby się wyrwać z tej niewoli.

Od dnia tego nie było już wątpliwości, że się, za jeńców uważać musieli. Straże swoje postawił Świdrygiełło u bram, pod samym prawie dworem, nikt go wpuszczać ani wypuszczać nie pozwalając.

III.

Z wielkim smutkiem i niepokojem dowiedziała się królowa Sonka o postanowionej podróży męża z Lublina do Wilna. Obawiała się mściwego Witolda dla siebie i dla męża.

To jedno ją pocieszało, że biskup go nie opuszczał i towarzyszył w podróży. Nie mogąc ścierpieć długiego milczenia, musiała ludzi swych wysyłać, porozstawiać, aby ciągle mieć wiadomości z Wilna. Na dworze Witoldowym miała starych życzliwych, przez których dowiedzieć się mogli jej wysłańcy, co się tam działo.

Chodziła jednak ciągle w gorączce, obawiając się i przeczuwając coś złego. Korona litewska, gdyby

była doszła Witolda, zostałyby jej synowi wydarta, ale nad tem czuwał mąż ów żelazny, Oleśnicki, który nie mógł oderwania się Litwy dopuścić.

Co kilka dni przybywał ktoś do Krakowa. Dowiedziano się tu o rozjechaniu książąt, o chorobie Witolda, a nim Oleśnicki, który przed śmiercią jego z Wilna wyjechał, powrócił do Krakowa, dobiegł tu goniec umyślny, oznajmując o zgonie przeciwnika.

Mogła królowa odetchnąć swobodniej, ale ogarnął ją jakiś smutek, żal nawet po człowieku, który niegdyś dla niej był przyjaźnym, przy którym z dziecka się chowała. Jedno niebezpieczeństwo minęło, ale komu teraz miała się dostać Litwa?

Z początku spodziewała się rychłego króla, powrotu, nie wiedząc jak Litwą rozporządzi, bo o Świdrygielle słyhu jeszcze nie było.

Sądzili niektórzy, iż król powoła Zygmunta Kiejstutowicza, brata Witoldowego, księcia spokojnego, który od dawna znaku życia nie dawał, królowi nigdy w niczem się nie przeciwiał, i Witoldowi nie był na zawadzie.

Ale po bracie bratu oddać Litwę, było jakby przyznać prawo dziedziczenia rodowi ich, a tego i panowie polscy się obawiali i król chcieć nie mógł.

Gdy powrót króla się opóźnił, coraz niespokojniejsza Sonka, słała ciągle potajemnie dowiadując co się z nim dzieje.

Jechali komornicy jej księcia, czeladź dworska, posłańcy różni, nagradzani hojnie, a królowej nigdy ich dosyć nie było.

Przez ten czas nawiązała całą siatkę około siebie sług wszelkiego stanu, i cały dwór niewidomy, który był na jej rozkazy. Ani ochmistrz dworu, ani urzędnicy nie wiedzieli o nich, stara Femka i królowa sama, wyprawiały i przyjmowały listy i doniesienia słowne.

Przynoszono czasem prawdę, często baśnie i plotki, ale to podsycalo i utrzymywało życie, a królowej

przymnażało służby i pomocników, których starała się mieć wszędzie.

Ostatni wysłaniec po Witoldowej śmierci, ledwie dobiegłszy do Grodna, spotkał się tu z wyprawionym przez króla człowiekiem, opowiadającym, że był w niewoli trzymany, i Świdrygiełło się z nim nieludsko obchodził.

Wieść ta już się rozsiewała po całym kraju, kiedy na Wawel dobiegła.

Królowę razila ona jak piorunem. Nie miała już chwili spokoju.

Natychmiast wyprawiła podkomorzego do biskupa, zaklinając go, aby do niej przybywał.

W śmiertelnej trwodze, drżąc, zapłakana, spotkała go w progu, do rąk się jego rzucając.

— Ojcze! ratuj! król w niewoli!

Oleśnicki wydawał się zupełnie spokojnym, odparł dosyć zimno, że przy pomocy Bożej, nic złego stać się nie może.

— Przecierpi król za niebaczną własną — mówił — za dobroć zbytnią i powolność dla rodziny... Zawsze mu ona szkodliwą była, bo się jej powodować dawał. Gwałtu jednak, nawet ten szalenie dopuścić się nie będzie śmiał, bo wie, że onby mu nie uszedł bezkarnie.

Uspokajając Sonkę dodał biskup, że nie zaniebdał nic, listy do Rzymu do papieża wyprawił, aby Ojciec św. słowem swem groźnem Świdrygiełłę upomniął... Wysłał też do króla Zygmunta i do innych panów chrześcijańskich zażalenie i skargi z prośbą, aby uciśnionemu Jagielle w pomoc przyszli.

— Widzisz, miłość wasza — dokończył — żem nie zaspiał chwili i czynię co mogę.

— Tak — odparła żywo królowa — ale po co nam wzywać pomocy cudzej, kiedy my sami króla ratować możemy... Wszystko coście uczynili, mój ojciec, byłoby wystarczającym, gdybyśmy z kim innym do czynienia mieli, a nie ze Świdrygiełłą, który ro-

zumu mało ma i zalewa go, a do Jagielly urazę dawno w sercu zachował i zemsty pragnie...

Biskup myślał chwilę.

— Mój Boże! wojsko zbierać — zawołała Sonka zrozpaczona. — Na odgłos, że ono idzie, Świdrygiello, jeszcze niemający sił zgromadzonych, musi się ulegnąć. Tu żadne listy nie pomogą... żelaza trzeba.

— Zawczasu je z pochwów dobywać i wojnę wywoływać — rzekł Zbigniew. — Bez zjazdu panów i szlachty, zkądże ludzi wziąć?

— Zjazd zwołajcie! — nalegała królowa.

Łagodząc ją, biskup po chwili dołożył, że na przódby posłów należało do Świdrygielly wyprawić i groźbą go przywieść do opamiętania.

Wszystko to królowej nie starczyło, zdawało się zbyt powolnem, ale nauczyła się tak ufać biskupowi, że w końcu uległa mu i na wszystko zgodzić się musiała.

Oleśnicki znajdował wiadomości przesadzonemi, niebezpieczeństwa nie widział jeszcze.

Tymczasem po całej Polsce z oburzeniem o niewoli mówiono, a wysłańcy królowej szlachtę poruszali... umysły rozogniały się zuchwalstwem człowieka, który śmiał się tak ze swym panem, z koronowaną obchodzić głową. Cały naród czuł się tym obelżonym.

Królowa głośnemi uzaleniami, skargami, nabożeństwami, umiała te uczucia rozniecać i niebezpieczeństwo wystawiać groźnem.

Hincza i dawni komornicy jej, będący na swobodzie, jeździli po dworach z jej rozkazu, powiadając w głos, że źle jest królestwu temu, którego głowę może lennik trzymać bezkarnie w niewoli, że srom spadnie na Polskę całą, jeżeli się nie ujmie za pana swego.

Szlachta łacno dająca się poruszyć, zjeżdżała się już kupkami po gródkach, odgrażając, krzycząc na se-

natorów, że mało o króla dbali, sami sobie przywłaszczając władzę.

Nie usypiała królowa.

Gdy się tu tak przygotowywano wrzawliwie stawać w obronie Jagiełły, i iść lawą, aby go odbić, w Wilnie stało coraz gorzej.

Trzymał Witold naówczas Podolskie zamki, do których Polska prawa miała i odebrać je potrzebowała. Na pierwszą wiadomość o zgonie księcia, nim ona doszła do Dowgierda, starosty kamienieckiego, Polacy, przywabiwszy go do siebie, zmusili, że zamek im poddał. Inne też gródki podolskie, na których Litwini siedzieli, Smotrycz, Skale, Czerwonogród i przyległe ziemie odebrali Polacy.

Wyniany Dowgierd przybiegł ze skargą do Świdrygiełły.

Król o niczem jeszcze nie wiedział, gdy rozwścieczony odebranem doniesieniem, wpadł kniaź na zamek do niego, od progu krzycząc, że śmierć czeka Jagiełłę i wszystkich co z nim byli, jeżeli mu Podola natychmiast zwrócić nie każe.

Świdrygiełło pienił się z gniewu, przyskakując, łącz króla, kajdany mu zapowiadając i męki.

Strwożył się Jagiełło, ofiarując przysięgę, że o niczem nie wiedział i nie wie.

— Nie dopuszczasz do mnie żywej duszy, wysyłać mi nie dajesz nikogo, zkądże chcesz, abym wiedział o tem i mógł zapobiedz?

Nieszczęściem, król pod pozorem odesłania do skarbu podarków, które mu Świdrygiełło ofiarował za życia Witolda jeszcze, wysłał z niemi dawniej Janka z Oleśnicy, przez którego ustnie biskupa o ratunek prosił.

Pisma mu żadnego nie dano, ale on go nie potrzebował, bo widział na oczy swe co się tu działo i Eierpiał razem z królem.

Kniaź posądzał, że Jan z Oleśnicy, mógł zawieść

na Podole rozkazy i wściekłość jego dochodziła do szalu...

Miotał się, pędząc po izbie jakby niewidomego wroga, to przystępował do króla i na niego złość swą wywierał.

— Zamki oddać mi każesz, albo ci głowę z karku zdejmę—krzyczał nad uchem starcowi.—Ty i te psy twoje co ci tu służą, wszystkiego nawarzyliście! Wywieszam Lachów, ciebie w dyby zabitego głodem zamorzę...

Zdechniesz w moich rękach!

Król ciągle usiłował go uspokajać nadaremnie.

— Dajże mi sposób, jak ja mam na Podole słać? nie mam nikogo? Sam jestem.

— Pieczęć przecie masz z sobą, bom widział, gdy nią twój sługa dla Macieja biskupa w Trokach przywilej pieczętował. Okłamać mnie nie możesz; dawaj list pod pieczęcią, lub zginiesz!!

Jagiello gotów był na wszystko.

Nagroziwszy jeszcze, klnąc, wybiegł Świdrygiello.

Zaledwie się za nim drzwi zamknęły, gdy Andrzej z Tęczyna wszedł, a z nim Drzewicki cały drżący.

Król błagając do nich ręce wyciągał. Podkanclerzy chociaż trząsł się, nie ze strachu wszakże, ale z gniewu. Sama ta myśl, że on mógł być zmuszony pieczętować list, który królestwo o stratę całej ziemi mógł przyprowadzić, w rozpacz go wprawiała.

— Ratujcie mnie—zawołał Jagiello.—To człowiek wściekły, jak mówi, tak uczynić gotów. I ja i wy zginiecie, życiaśmy niepewni.

Podole odbierzemy z pomocą Bożą, a żywota nikt nie wróci. Ratujcie mnie!

— Miłościwy królu — gwałtownie przerwał Drzewicki. — Czulbym się winnym zdrady i w sumieniu grzesznym, gdybym pieczęci użył do takiego listu.

Nie mogłem nie godzić się.

Rychlej pieczęć w studnię wrzucę i utopię.

Król się zerwał z ławy.

— Boga się bój!—zawołał—to jakbyś mnie razem do wody cisnął! On mi jutro kajdany nałoży i do ciemnicy wrzuci. Siepacze jego mnie w niej uduszą.

Los Kiejstuta przyszedł mu na pamięć może, wzdrygnął się.

— Nie będzie was śmiał tknać—przerwał Andrzej z Tęczyna.—Ża nami przecie cała korona stoi. Nie poważy się.

— On! albo ty go znasz?—zawołał Jagiełło.—Ja go pamiętam od dziecka, a wiem, że rozjadłszy się, nie zważa na nic. Swoje życie gotów dać i drugiemu je wziąć... choćby nie wiem kim był.

List mu trzeba dać, na Boga, aby się wyzwolić! List...

Drzewicki królowi do kolan przypadł.

— Nie można! miłościwy panie. Złóżcie wszystko na mnie, żem ja pieczęć zgubił, żem zatracił, żem winien. Niech mnie biorą na męki, niech głowę mi zetną. Życie dam, a kraju nie zdradzę...

Jagiełło przerwał mu jękiem.

— Twojem on życiem syt nie będzie—krzyknął—moje weźmie... Listy na Podole trzeba wysłać, któkolwiek je napisze, zapieczętuję główką od miecza... zamki mu trzeba dać, albo głowę!!

Na to błaganie królewskie, nikt już odpowiadać nie śmiał, popatrzyli na siebie uledez musieli.

— Pisz mi natychmiast list — zawołał król — rozkazuję. Ja będę winien, nie ty... Moja wola...

Zaklika z listem pojedzie, lepiej dziś niż jutro... Zaraz niech mi się do drogi sposobi. Michno Buczacki pewnie w Kamieńcu siedzi, ktoby inny jak nie on na to się ważył?

Niech zda zamki temu, kogo Świdrygiello naznaczy.

Tęczyński chciał się odezwać, Jagiełło rękami zamachnął nakazując mu milczenie.

— Pisz list, mnie życie miłe!

Po tej odprawie wszyscy co przy królu byli, przybici i upokorzeni, wbiegli do izby podkanclerzego.

Łamał ręce Drzewicki. Andrzej Tęczyński, rycerskiego serca człowiek, jeden mężstwa nie tracił. Burzyło się w nim, ale nadziei nie postradał.

Z każdym dniem gorzej koło nas—odezwał się—cierpieliśmy i milczeli, król w niewoli, my jeńcami, trzeba w ostatku myśleć o sobie, nim słońce wejdzie z Polski, rosa tu oczy wyje.

— Ale jakaż rada, jeśli z Polski nam nie wyślą odsieczy? Co my poczniemy z pijanicą i szalonym?—westchnął Drzewicki.—Siły nie mamy. Chyba Bóg.

— Pewnie Bóg, Bóg pomoże—wtrącił Tęczyński—ale my też o sobie myśleć musimy, bo nim odsiecz nadciągnie, po nas tu tylko kości zostaną.

Obejrzał się dokoła. Było ich w izbie z dziesiątek urzędników, komorników i różnej służby królewskiej, wszystko ludzie wypróbowani i wierni.

Położył palec na ustach i powoławszy ich do kupy, szeptać zaczął.

— Serca nam nie zabraknie, tu jedyny ratunek w mężstwie.

Krótko powiem, tego wściekłego człowieka potrzeba się pozbyć. Choć trzyma z nim dużo ludzi, więcej ze strachu niż z miłości, więcej dla grosza niż dla niego. Jak go zdusimy nikt po nim płakać nie będzie.

Wpadnie tak jeszcze raz, jak oto dziś na króla, co tu długo myśleć, jedni z tyłu drogę zaprą, drudzy się z tulichami nań rzucą i nim krzyknie, zgładzimy go.

Innej rady niema! niema!—gorączkowo powtarzał Tęczyński.

— Pan Bóg przebaczy, musimy w obronie króla stać!

Mężyk i inni słuchali nie okazując bynajmniej ani zdziwienia, ani oburzenia. Owszem zdawali się wszyscy widzieć konieczność i nikt się nie wzdrygał.

— No, a potem?—spytał Mężyk.

— Nim się opatrzą co się stało, zamek trzeba opanować, Litwinów z niego precz wysadzić, zamknąć się, obwarować i bronić, dopóki nie nadciągną nasi. Gdy Świdrygiełły nie stanie, inaczej bojarowie zaśpiewają.

Znowu milczeli wszyscy nie sprzeciwiając się, słuchali uważnie, oglądając się tylko, czy obcy ich nie szpiegują.

— Tego co ja myślę, oni się wcale nie spodziewają—mówił dalej—króla widząc przełękłym i gotowym na wszystko, nas też mają za trusiów.

Trudności więc, da Bóg, już tu żadnych nie przewiduję, trzeba tylko paść na nich zuchwale i znieńacka.

Sam jeden do izby zawsze wchodzi, prawie bezbronny, nas dziesięciu się może zasadzić, bodaj piętnastu, a ja pierwszy go tak za gardło ściśnę, aby mu nawet para z ust nie wyszła. Zbroi nie nosi, ludzi, co z nim przybywają w dziedzińcu zostawia. Nasza czeladź im da rady, a zamek... choćby na samym górnym, dolny porzuciwszy, trzymać się przyszło, ja w tem, że dostoi, póki odsiecz nie nadciągnie.

Zaklika z listem na Podole jedzie, to i dobrze. Tego nam trzeba. Ostatnimby niezdara był, gdyby z drogi, choćby go pilnowali, nie pchnął kogo do Krakowa, że już o gardło chodzi... Szlachta musi na konń sięść.

Śmiała ta myśl Andrzeja z Tęczyna, przypadła zropanczonym i znękanym, którzy nic do stracenia nie mieli, jak nadzieja wybawienia do serca!

Jeden Drzewicki trochę syknął na nią, bo mordem zdradzieckim się brzydził.

Trzeba go do tego przywieść przynajmniej — zawolał—ażeby się do którego z naszych porwał. Lżej będzie na sumieniu, a bezbronnego tak napaść...

— Alboż pana i króla bronić nie jest obowiązkiem naszym?—wtrącił Mężyk, który wraz z innemi, cał-

kiem już poślubiał wniosek Andrzeja z Tęczyna. — Choćby ginąć przyszło, raz z tego obrzydłego ucisku, w którym nas, gorzej chłopów trzyma, wyjść potrzeba. Lży, łaje, odgraża się. W podwórcu u nas żaden pokazać się nie śmie, aby mu Rusini szubienicą się nie przedrzeźniali, na której go powieszają... Jak Bóg miły, już tego dosyć. Człowiekby może zniósł, do Iran pańskich ofiarując, ale patrząc jak się nad starowiną królem znęca, włosy na głowie wstają. Dosyć już tego!

— Dosyć! Siła nadto! — poczęli potakiwać inni. — Święte słowa. Zdusić go!

Andrzej z Tęczyna sam się zdziwił tej niespodzianej zgodzie. Ochota do czynu jeszcze w nim wzrosła.

— A no, sza! — zawołał. — Król o tem wiedzieć nie ma, ani się domyślać, opatrzyć się potrzeba do brze, rozglądając po zamku, ludzi zwołać, gdzie który lepszy... a kupą się trzymać!

Ta pijana hałastra Świdrygiełły nam nie straszna, połowa jej uciecze a połowę wydusim... Na zamku, gdy się zaprzemy, zjedzą licha żeby nas dostali.

Drzewicki już się też nie opierał.

— A żywność? — zapytał.

Uśmiechnął się Andrzej z Tęczyna i dodał.

— Za życia Witolda jeszcze górny zamek dobrzem opatrywał i obchodził. Pokazywali mi, chwając się zasoby, które książę nieboszczyk, na wszelki wypadek zawsze gotowe miał. Staną one choćby na rok obleżenia.

Wszyscy głowami poruszali, oporu nie było.

— Więc ino do dzieła! a śmiało — zawołał Tęczynski. — Niech każdy idzie, sposobi się, patrzy, a o tem tylko myśli. Broń trzeba na kupę poznosić, bo teraz się wala po izbach tam i sam, zbroje pogotowiu mieć. Jeden drugiemu niech serca dodaje, nie odbiera. Bydlęciu temu koniec sprawimy, na jaki zasłużył. Zakolemy go jak wieprza.

Poczynali się rozchodzić powoli, naradzając z Tę-

czyńskim, a dla niepoznaki, dzielili się po dwu, po trzech i szli w różne strony. P. Andrzej sam został z Drzewickim.

— No, a z listem co zrobimy? — zapytał podkanclerzy.

— Ah! — westchnął Tęczyński — list to wasza sprawa.

— Dałbym z życia mojego lat wiele — zamruczał Drzewicki — abym mógł nie pisać i nie pieczętować!

— Nie ma na to rady, musicie! Rozkaz króla — rzekł Tęczyński. — Biedny stary przymuszony w niewoli, nóż, na gardle, pismo takie nie warte nic... Chce go Świdrygiełło, trzeba mu nim gardło zatkać, nim inaczej je zdusim...

Podkanclerzy po izbie się zaczął przechadzać, wzdychając i ręce załamując. Wisiał obrazek Chrystusa na ścianie, który on z sobą woził ciągle, zwrócił się ku niemu z duszną modlitwą.

— Gdyby się jaki środek znalazł? — zamruczał stojąc przed Tęczyńskim. — Gdyby Zaklika rozum i męstwo miał?

— O! — rozśmiał się Toporczyk — żadnemu z naszych Toporczyków Bóg miłościw ani jednego ani drugiego potrosze nie odmówił. Rodem kury czubate... Tyle tego, że jednym dał męstwa więcej, a drugim rozumu... Tarło nie głupi, a odwagi mu równej trudne.

— Daćby mu, choć w but albo w suknię wszywszy, drugie tajemne pismo do Buczackiego — szepnął cicho Drzewicki. — W niemby można mu powiedzieć, że król zmuszony rozkaz wysyła, ale oni go słuchać, ani zamków zdawać nie mają.

— Ba! dobryby to był sposób — uśmiechnął się Tęczyński — ale wiecie, że u nas żadnego nie wypuszczają z zamku, nie przetrząsłszy kieszeni, nie wymacawszy za pazuchą. I buty gotowi zdejmować. Posła królewskiego z listami nie odprawia, nie obszu-

kawszy go, ażali nie wiezie jakiej zdrady. Bóg wie, czy go samego puszcza? Pewnie mu przystawa dodadzą.

Zadumali się oba. Tęczyński smutno się uśmiechał.

— Miły Boże — odezwał się — wszystkiemu się w życiu spodziewałem, bo człowiekowi rycerskiemu wszelakie przygody jak rybce woda, a no takich kolei na jakie my tu przyszliśmy... jam nie śnił nawet nigdy.

Drzewicki, który jako podkanclerzy z woskiem do czynienia miewał ciągle, postrzegł w tej chwili, na stole swoim leżącą grubą świecę żółtą woskową. Wziął ją w rękę i zadumał się, obracając na wszystkie strony.

Tęczyński milcząc, spoglądał na niego.

— Co myślicie? — spytał.

— Co myślę? hm — odparł podkanclerzy — myślę, że gdybym tę świecę rozerznął, pismo w nią włożył, zlepił ją dobrze napowrót, aby znaku nie było, a Zaklice ją dał na drogę, aby sobie po gospodach wieczorami przyświecał — hm? co mówicie??

Andrzej z Tęczyna objął go z radości rękami obiema.

— Ja z woskiem do czynienia nie miewam i obchodzić się z nim nie umiem — zawołał — ale jeżeli pomoc moja potrzebna, mówcie! gotowem, choć zębami świecę gryźć.

Drzewicki nie czekając, już noża dobywał, świecę na wpół rozcinał.

— Zaklice jednak trzeba powiedzieć — dodał śmiejąc się — aby świecy bardzo nie palił, a do rąk ją samemu Buczackiemu oddał*).

Jeszcze nad stołem tak oba nachyleni stali, około świecy zajęci, gdy wszedł Zaklika.

*) Historyczne.

— No — zawołał od progu — mam już wóz i przewóz, wiem, że mieć będę towarzysza podróży i jakiego. Przysłał Świdrygiełło, aby pod gardłem na jutro listy gotowe były. Do boku mi dodaje takiego pijanicy jak sam, tylko tęższej głowy... kniazia Michajła Babę.

— No, a ty baby zawsze lubieś — rozśmiał się Tęczyński — dla ciebie to w sam raz. P. Bóg cię słusznie pokarał... Otóż tobie — baba!!

— Już mi go pokazywali — dodał Zaklika — i mówili o nim. Przez całą drogę chlać będzie okrutnie i pokoju mi nie da, bo słyszę, gada tyle co pije.

— Tem ci lepiej gdy pałkę zaleje — przerwał Tęczyński. — Przy pijanym trzeźwy panem zawsze, choćby ten i kniazem był.

— Pomoże ci kniaź Baba listu królewskiego strzedz — dołożył Drzewicki, zwracając się ku niemu. Możesz mu go nawet powierzyć, byleś mi moją świecę dowieźł całą.

— Świecę?? — zdziwiony spytał Tarło. — Co za świecę?

— Oto tę, którą ja ci na drogę dam — rzekł podkanclerzy pokazując — pamiętaj jej nie palić, a panu Buczackiemu co najrychlej do rąk oddać, nim... listy przeczyta... Rozumiesz.

Uśmiechał się Drzewicki; Zaklika spojrzał i zobaczył na stole sporo już wosku wyskrobanego ze środka, a otwór w niej zrobiony nie mały... Reszty się łatwo było domysleć.

— Nie bójcie się — rzekł — świeca dojedzie, bylebym ja żyw na miejsce się dostał... Będę ją przy sobie trzymał — choćby na sercu...

— Żyw i cały dojedziesz, nie bój się — rzekł Tęczyński — baba nad tobą czuwać będzie. Wiesz dla nich nadto ważne listy, aby cię w podróży nie pielegnowali.

Gdy Zaklika z Tęczyńskim wyszli, podkanclerzy izby na rygiel zamknął, przeżegnał się pobożnie, Bo-

ga na pomoc wzywając i siadł naprzód list tajemny do Buczackiego pisać, aby był gotowym i w świecy ukrytym dobrze, nimby mu przeszkodzono.

Zaledwie pośpiał dokończyć, gdy od króla wysłany zastukał komornik, dowiadując się, czy do Buczackiego rozkaz był napisany i zapieczętowany. Pilno mu zbyć się było... szalonego brata zaspokoić, a od prześladowania się uwolnić.

Podkanclerzy z westchnieniem dobył z woreczka pieczęci i ucałowawszy ją, jakby przepraszał, że do takiego aktu użyć jej musi, przycisnął na sznurze u pergaminu przywieszonym.

Jagiello czekał dopytując ciągle, niespokojny, znękany i strwożony.

Znał on nadto dobrze Swidrygiellę, aby pogroźki jego lekceważył. Dosyć było, aby do gniewu, który w sercu miał, starego dolał miodu i na zamek przybiegł rozjuszony, życia pewnym król od niego być nie mógł, a o zmowie swych obrońców nie wiedział.

Boleśnie mu było Podola się zrzekać, wiedział, iż srogie wymówki cierpieć za to będzie od biskupa i panów polskich, bo ziemia była miodem i mlekiem płynąca, obfita we wszystko, ale życie ratować musiał.

Przychodziło mu na myśl, jak zawinił sam, przedsięwzięcie tę podróż nieszczęśliwą, mimo prośb i ostróg żony... Naówczas obawiano się Witolda tylko, nikt przewidzieć nie mógł, że daleko sroższe katowanie czeka Jagiellę od brata, którego kochał, nad którym się użalał, przez miłość dla niego poświęcając mu Litwę.

Winił innych, ale obwinił i samego siebie, bo biskup odjeżdżając, namawiał go do powrotu, największy żal mając do panów polskich, że nie śpieszyli z oswobodzeniem i na łup go wydawszy, opuścili.

W tych myślach teraz biedny król na łowy nie mogąc jechać, bo by go z zamku nie puszczone,

a i zasadzki obawiać się było potrzeba, po całych dniach prawie na łożu leżał.

Z dworzan jego przychodził naówczas który, stawał przy nim i opowiadać musiał o wszystkim co słyszał, widział, a niekiedy użalaniem króla potakiwać.

Aby rozerwać znękanego, zrana, od pogody począwszy, od pola jakie się dla myśliwych zwiastowało, musiano mu ciągle powiadać co na myśl przyszło, co ludzie robili, co czeladź gadała, jaką przyszłość wróżono i t. p.

Nie ruszył się nikt, nie wyszedł, nie wrócił, ażeby król nie badał, nie przywołał i nie kazał sobie szeroko opowiadać o najmniejszych rzeczach. Zajmowało go wszystko, ale najmocniej Świdrygiełło i jego towarzysze, ich uczty, bójniki, gniewy kniazia i gwałty, które ciągle popełniał..

Wysyłał na zwiady, podślucho, ciekaw był, i to go rozrywało. Ze wszystkiego co posłyszał, po swojemu wyciągał prognostyki uspokajające.

Drugiego dnia jak zapowiedziano, Zaklika z kniazem Babą miał do Kamieńca wyruszyć. Przyszedł więc do króla z pożegnaniem, po pismo, które już uwinięte w jedwab czekało, a obok worek na drogę.

Widok odjeżdżającego przykre zrobił na Jagiellę wrażenie, choć śpieszył go wysłać. Mruczając oddał mu co dla niego przeznaczył, pobłogosławił na drogę i dodał w końcu.

— Powiedz Buczaickiemu na Boga żywego, niech zamki zdają, o gardło moje chodzi.

Tarło więc z pismem jednym jawnem, z drugim w świecy ukrytem, w towarzystwie kniazia Baby, wyruszył na Podole.

Musiał też być na pożegnaniu u Świdrygiełły, który sobie list z pieczęcią czytać kazał, a Babie surowo zalecił, aby pośpieszał.

Nie miał już dnia tego czasu napaść Jagiellę brat,

zostawiając go w spokoju, choć ciągle na czatach stojąc, spodziewano go się i oczekiwano.

Wieczorem jeden z czeladzi przybiegł z dziwną wiadomością, iż na sweje oczy widział z Polski przybywającego, dawnego komornika królewskiego Hinczę z Rogowa; ale go ludzie Świdrygiełłowi u bram zaraz porwali, strzęśli do koszuli szukając listów, i nie przy nim nie znalazłszy, zaciągnęli do samego kniazia.

Wspomnienie o Hinczy na chwilę zasępiło czoło królowi, ale razem obudziło ciekawość, zkąd się tu wziął i co robił. Słął więc niespokojny Jagiełło, raz w raz dowiadując się, co się z tym Hinczą stało.

Nie skłamali donoszący, bo w istocie Hincza z wielkiej miłości dla króla i troskliwości o niego puścił się na ochotnika, nietylko aby mu przynieść wiadomości z Krakowa, ale wioząc listy papieżkie do Świdrygiełły, które tajemnie miał oddać biskupowi. Tych on już nie miał przy sobie, gdy go w bramie trzesiono.

Po długiem oczekiwaniu i próżnych wysyłkach na zwiady, zjawił się w końcu Hincza na zamku, strasznie podróżą, a więcej może posłuchaniem u Świdrygiełły znękany.

Król gdy go wprowadzono, podniósł się aż z łoża, na którym leżał i usiadł.

— A ty tu zkąd? — począł prędko i niewyraźnie.
— Kto cię posłał? z czem? gadaj!

Hincza ledwie miał czas pokłonić się królowi.

Był widokiem jego poruszony, bo choć w Krakowie o ciężkiem położeniu wiadano, nie spodziewał się go znaleźć w takiej poniewierce i ucisku.

Westchnął ciężko.

— Al miłościwy panie! — zawołał — nikt mnie nie posyłał (przyznać się nie chciał do listów). Zaczęto u nas rozpowiadać, jako się tu na tej Litwie źle dzieje bardzo z królem naszym, ruszyłem więc na ochotnika, nuż się przydam na co. Ale, Boże mój

miłosierny! nie było mi w głowie, aby tu taka sroga niewola miała naszych spotkać.

Pochwycił się za głowę. Król patrząc nań ciekawie, wdychał.

— W Krakowie co się dzieje?

Hincza, choć tam był — i do tego się obawiał przyznać, aby o dworze mówiąc, znowu jakich podejrzeń nie zbudził. Odparł, że ze słuchów tylko wie, jako tam wszyscy zdrowi są, a pana tęsknie wyglądają.

— Gdyś tu przybył, trzęśli cię i pytali? — pytał dalej.

— Mało tego, że mi wszystko w sakwach poprzewracali — rzekł Hincza — zdawało się, że mi do wnętrzości chcą zajrzeć... tylko że brzucha nie rozzerźnęli. Potem poprowadzili mnie przed kniazia, abym wymyślał jego i łajania słuchał.

— Pytał cię sam? cóżes ty mu gadał? — przerwał król, przechylając się ku niemu, aby mógł lepiej usłyszeć odpowiedź?

— Przyciągnęli mnie na Gastoldowy dworzec — mówił zbliżywszy się Hincza. — Izba długa, stół przez nią całą, dzbanów las. Książ u jednego rogu, drużyna do koła, a wszedłszy chmiel tak czuć, że samem powietrzem upić się można. Począł książ od psów mnie czcic, grożąc że i mnie i wszystkich Lachów wywiesza, jeśli mu nie wyznam zaraz z czem ja posłany byłem i przez kogo. Ofiarowałem się choćby na ewangelię przysięgać, że sam z dobrej woli przybyłem, zasłyszawszy, iż król mało ma przy sobie, a byłem jego dawnym sługą.

Rzucali się ku mnie grożąc ciągle to dybami, to stryczkiem.

— Dybamil — przerwał król smutnie — co za dziw! i mnie już niemi grożono, nie lepszyś ode mnie.

— Z próżnego nikt nie należy — mówił dalej Hincza — nie mogłem się do niczego przyznać, nie

mając nic na myśli. Zaczęli potem badać co się w Krakowie działo.

Niespokojnie spojrział Jagiello na Hinczę.

— A ty, cóżes im mówił?

— Co jest i co prawda, że szlachta się zwołuje i wojsko gromadzi wielkie, aby iść na Litwę króla odbijać. A gdyby mu włos z głowy spadł, to tu kamień na kamieniu nie zostanie.

Król się strwożył mocno, aż ręce mu się zaciśnęły...

— I tyś mu to powiedział?

— A com nie miał mówić? — odparł Hincza — niechaj wie co go czeka! To nie chybi. Prawda rzucili się na mnie posłyszawszy to, krzycząc, rycząc, pięści mi pod nos podsuwając, jeden nawet potracił w kark z tyłu i poczęli wołać, że oni sami wprzód pójda na Polskę i całą w perzynę obróca.

Ale sam kniaź wąsy tylko zakąsił i potrząsając głową, po swoich się oglądał.

— Com im powiedział, to prawda, że szlachta się do Warty zwołuje, aby wojsko zebrać co prędzej — mówił Hincza odetchnawszy. — Złościli się, złościli, śmiali, drwili, ale w końcu im to jakoś do smaku nie było.

Poczęli się z sobą ucierać, a mnie precz za drzwi kazano.

Król się zamyślił głęboko, ważąc czy Hincza dobrze postąpił, grożąc wojskiem i czy tym postrachem nie powiększył niebezpieczeństwa. Przybyły stał spokojny, ochłonawszy już nieco potem co wycierpiał.

Na odgłos o przybyciu Hinczy i pan Andrzej z Tęczyna, Mężyk i Drzewicki i inni do izby się ciśnąć poczęli, dowiadując się z czem przyjechał. Tłumaczył się im wszystkim Hincza, iż z dobrej woli, zasłyszawszy o królu, w niebezpieczeństwie, stawiał się, aby mu służyć, lub z nim ginać.

Król, który sobie przypominał, jak go niesprawie-

dliwie w Chęcinach męczono, dłużnym się czuł w sumieniu i milczał, a potem zamruczał.

— Gdy Bóg da, z życiem uratujemy się z tej niewoli, ja ci wszystko wynagrodzę.

Nie przyznał się Hincza, gdy go badano, że w Krakowie bywał, opowiadał tylko jako słyszał o listach do Papieża wysłanych, na które jużby do kniazia Świdrygiełły upomnienie, lada dzień przyjść powinno.

Chwalić się z tem nie chciał, że on sam listy te w sukni zaszyte, na ręce biskupa Macieja przesłane, szczęśliwie przewiózł i nim się na zamku zjawił, oddał je ojcom Franciszkanom.

Dzień to był niezbyt wesoły dla kniazia Świdrygiełły, bo naprzód mu tego Hinczę przyprowadzono, od którego dowiedział się, że szlachta się uzbraja i wybiera ciągnąć na Litwę, a w kilka godzin potem biskup wileński Maciej zajechał przed Gastoldów dwór, dopominając się widzenia z nim.

Chciano go w początku odprawić z nieczem, bo Świdrygiełło duchowieństwa katolickiego nie lubił i obawiał się, ale biskup przez bojara oznajmić kazał, że ma pismo od Papieża do księcia.

Posłyszawszy to, Świdrygiełło zaraz się przetrzeźwił.

Hincza już dał mu wiele do myślenia, a tu poselstwo papieżkie przybywało, którego celu łatwo się domyśleć było.

Musieli się za Jagiełłą ujmować opiekunowie jego.

Wpuszczono księdza Macieja do kniazia, który z jadalnej izby, bo w tej ciągle przesiadywał, wyszedł do innej na przyjęcie jego.

Po kilku słowach dobył biskup pergamin z ołowianą pieczęcią, na którego widok twarz Świdrygiełły się wykrzywiła. Czytać nie umiał sam, zapytał co tam stało w piśmie otwartem, z udanem lekceważeniem.

— Napomnienie surowe od Ojca świętego — od-

parł biskup — abyście króla Jagiełły w niewoli nie trzymali.

Rzucił się Świdrygiello z krzykiem poczynając wołać, to co ciągle powtarzał, że Litwa jego była, że ona mu należała, a Polsce on, ani Papieżowi podlegać nie myśli; będzie miał swojego patriarchę i biskupów.

Na to, gdy biskup nawet odpowiadać nie chciał, książę się zmieszał, ochłonął i list porwawszy na stół go cisnął.

Potem plół o swoich krzywdach, o niewoli i ucisku, o tem co przez lat dziewięć od Jagiełły cierpiał, o przywłaszczeniu jego praw nad Litwą.

Ręce zaciśnięte do góry zrywał, rzucał niemi, ale biskup Maciej milczący, znający ludzi, cierpliwy, zniósł te gniewy wiedząc, że w bucie już rodziła się obawa, zwątpienie jakieś, wahanie się.

Nie wdając się w żaden spór z człowiekiem roznamietnionym, i na pół pijanym, usiłującym trwożyć tylko, ksiądz Maciej przez czas jakiś posłuchawszy powtarzanych narzekañ i pogroźek, pokłonił się i chciał odchodzić.

Zimna ta krew, milczenie, postawa nieokazująca najmniejszego zatrwożenia, więcej kniazia zaniepokoiły, niżby słowa biskupa mogły.

Nie śmiał go wstrzymywać i dał mu odejść, sam powracając do swych bojarów, których zastał tak jak porzucił za stołem, u kubków, ujadających się z sobą w pół żartem, w pół na prawdę aż do pięści.

Pomiędzy Rusinami było i Litwy dosyć, którzy Polskę i jej siły lepiej znali, Jagiełłę szanować byli nawykli, a Świdrygielle ze strachu tylko służyć musieli. Ci poczęli Rusinów, lekko biorących zajście z Lachami, opamiętywać i spór godzić, dowodząc im, że kniaziewi Świdrygielle źle usłużą, gdy mu narażą króla i Polskę.

Musieli jednak ostrożnie nawracać, bo z rozpasanymi sprawa nie była łatwa.

Szczeńciem dnia tego właśnie powrócił był Rusin, wysłany na zwiady co się w Polsce działo, który do Lublina dotarłszy, słyszał już tam także, iż szlachta się do Warki ściagała, wojsko zwoływano i posłów z groźbą do Świdrygiełły wyprowadzić miano.

Książę, od biskupa powróciwszy, gdy za stół siadł, zastał do koła rozhovor gorący bardzo.

Jedni Lachów wyśmiewali i za nic ich nie mieli, a obiecywali ich czapkami zarzucić, (stare to wyrażenie), drudzy oględniejsi, przypominali, że książę wojska pogotowiu nie miał, a gdyby rycerstwo polskie przyszło pod Wilno, musiałby je poddać i uciekać, bo ani ludzi, ani zamków nie byli pewni, gdzie wielu starych Jagiellów tajemnie sprzyjało.

Świdrygiełło sparty na ręku słuchał, pił, nie mówiąc nic, brwi mu się jeżyły, czoło fałdowało, ramiona drgały. Przez kilkanaście dni słyszeli go ciągle wykrzykującego, teraz milczał pośepnie. Zachwiał się nieco.

W duchu nie zmieniło się nic, ale zrozumiał, że pośpiechem mógł sobie popsuć wszystko.

Wieczorem późnym, na dobitkę nadjechał wcale niespodzianie aż z Wiazmy książę Siemion Holszański, Sonki rodzony stryj.

Świdrygiełło musiał go jak gościa przyjmować, bo Rusinów rad był sobie jednać i widział w nim jednego z przyszłych swych sprzymierzeńców.

Siemion daleko siedząc od Litwy, nie mieszał się do spraw tutejszych, człowiek też był nie młody, spokojny, ale ludzie wiedzieli, że mu w potrzebie, ani na męztwie, ani na rozumie nie zbywało. Nie rwał się on na zdobycze, do cudzego nie kwapił, ale to co trzymał, silną dłońią umiał dzierżyć.

Świdrygiełło zaraz na myśl przyszło, że stryj królowej, w sprawie Jagiellów mógł być posłany, ale gdzie z Krakowa do Wiazmy??

Stary Siemion, kłaniając się wielkiemu księciu litewskiemu, na wstępie mu powiedział, iż po to przy-

był do niego, aby razem z nim w sojuszu i dobrej zgodzie żyć, a naradzić się o obronie wspólnej i bezpieczeństwa.

— Jak byliśmy z Witoldem — rzekł — tak chcemy z tobą być i iść gdzie potrzeba... a oczów sobie nie wykałać.

Rad więc być musiał przyszłemu sprzymierzeńcowi Świdrygiello, a że ten gość dawał mu jedzenia i picia sposobność, znowu stoły zaczęto zastawiać i dzbany przynosić.

Kniaź Siemion twardej głowy, do prostego życia nawykły, jadł też rad dobrze i napoju nie odmawiał. Nigdy go nikt oszołomionym nie widział, choć cały dzień czasem z ludźmi za stołem siadywał i kubek po kubku wychylał. Pił powoli, więc choć ciągle a nieszkodliwie.

Świdrygiello, gdy w końcu stoła, nieco się od bojarów swoich odsunawszy, z nim zasiadł, nie mógł wytrzymać i począł zaraz opowiadać a chwalić się, jak to on tu, niedołężnemu starcowi, jeszcze za życia Witolda wszystko z rąk wychwycił, jak skarby, które księżna Julianna sobie chciała przywłaszczyć zagarnął, zamki sztuką i zdradą opanował, a teraz już się tu czuł tak mocnym, że się nikogo nie lękał.

To zwycięstwo, które mu przyszło łatwo i bezkrwawo, więcej od miodu upajało Świdrygiellę. Zuchwale nad miarę prawił o podbijaniu Rusi, o objęciu Podola i Wołynia i ziem ruskich, które Polacy trzymali. Zdawało mu się to tak łatwem, jak opanowanie Litwy bez dobytcia oręża, które winien był chorobie Witolda i dobroci a słabości Jagielly.

Siemion słuchał, bacznie mu się przypatrując, nie przerywał, nie sprzeciwiał się ani potakiwał, z tą wyższością jaką daje rozum spokojny nad roznamiętnieniem dzikiem. Świdrygiello nawykły do tego, że mu bojarowie gorąco potakiwali, i podnosili każde słowo, w końcu sam ostygąć już począł. Zląkł się tego niemego słuchacza, z taką powagą i krwią zimną

wyciągającego na słowa, na którym on, coraz bujniej wojując niemi, żadnego nie zdawał się czynić wrżenia.

— Słyszałem—rzekł w końcu Siemion—że wy tu króla Jagiełłę na zamku trzymacie?

Świdrygiełło głową potwierdził.

— Cóż z nim myślicie czynić?

Kniaź, tem wprost rzuconem pytaniem, gdy zdawało mu się, że swą nienawiść i pragnienie zemsty całe już był wypowiedział, zdumiony zamilkł.

— Cóż z nim zrobię? — zawolał. — A cóż? On mnie trzymał w niewoli! mnie... Dziewięć lat się męczyłem... jałmużną zbywali mnie... Witold zabierał wszystko, my mu służyć musieliśmy i kłaniać się, a on na mojej ojcowiznie gospodarował... Cóż? teraz ja tu panem i nauczę go rozumu... Niechaj siedzi!

Siemion najmniejszego nie okazał zdziwienia.

— Sposóbcięż się do wojny nie mieszkając — odparł sucho. — No! wojna to będzie niemała i nieleka, a pociągnie się pewnie długo. Słyszę, że się już do niej Lachy gotują. Papież listy przeciw wam rozesał, wszyscy już wiedzą, że Jagiełło w niewoli. Węgierskiego króla, który grosza jest żądny, Polacy kupią...

Świdrygiełło, któremu to na myśl przywiodło, świeżo odebrany list papieżki, z wielomównego stał się nagle milczącym.

— Kniaziu Siemionie — rzekł po namyśle, wyciągając rękę do niego. — Wy mnie bratem, Rusinem jesteście jak i ja... no radźcie, miłujcie, co ja mam poczynąć? jak lepiej?

I zawahawszy się nieco dodał.

— Jagielle dojadłem dobrze... naprawić tego trudno, ale go trzeba było nastraszyć... On taki! z nim grozą najłatwiej... Lachom szublenicami groziłem, trzymam ich w niewoli. Cóż, teraz ich puścić i pokłonić się! srom i wstyd... Jeszcze muszę dusić, póki Podola nie oddadzą.

Kniaź Siemion wiedział dobrze, że przekonywać słowy Świdrygiełłę próżno było; pokiwał głową i mówił dalej, jak gdyby wchodził w myśl jego.

— Co wam radzić? Zaszliście już daleko, w tył się cofać nie można... Nie dajcież się im gołą ręką wziąć. Do wojny się sposobcie, do wojny. Ani się opatrzyście, jak ona przyjdzie. A pewni jesteście ludzi waszych i załóg po gródkach??

— Wojny! ja się nie boję jej! — zakrzyczał Świdrygiełło, rękami rzucając. — Co mnie wojna!! a no, czasu potrzeba, żeby pułki pościagać! No tak! Bojarów i starszyzny co ze mną pójdą dosyć mam, a ludzi, kto ich wie? czy tutejszych można być pewnym! Z Lachami się kumali, trzymali, pili i jedli. Wojsko trzeba z Rusi ściagać, a załogi porozbierać i rozsądzić...

Dziś ani jutro tego nie dokazać. Boją się muie, bo morduję bez miłosierdzia, grozę muszą znać, ale co u tych Witoldowych w środku, kto ich wie!!

Potargał brodę Świdrygiełło...

Holszański wciąż słuchał bacznie, a dawał mu się wypowiadać.

— Polacy się także do wojny tak rychło nie przysposobią — mówił dalej kniaź — ja ich znam! Oni dużo gadać muszą i radzić, klócić się i sporzyć, nim co postanowią. Wojska u nich teraz dużo nie ma... a ja im na kark Krzyżaków puszczę...

Rozśmiał się zmruczając oko.

— To prawda — spokojnie rzekł Holszański — a no im o cześć chodzi, o starego króla utrzymanego w niewoli. Cały świat wie, sromać się muszą... Co ludzie powiedzą, gdyby hosudara swego nie bronili?

Tyle lat im panuje!

— Mów, oni jemu, a nie on im! — krzyknął Świdrygiełło.

— Właśnie za to go lubią i kochają — odparł Holszański. — U nas na Rusi obyczaj inny i ludzie. Miękkiego pana nie znoszą... bo sami twardzi są,

a Lachy wykretnie i gładkie, żelaznej ręki nad sobą nie znoszą... Jagiełło im miły... W Polsce, słyszę, wre i gotuje się...

Świdrygiello przysłuchiwał się coraz baczniej, miał już ochotę posadzać Siemiona, że mógł być posłany w sprawie Jagiełły, gdy ten dodał.

— Podole wy wszakże trzymacie? Tam trzeba mocno zamki wiernymi obsadzić. Chcecie ludzi pewnych, dam wam moich Rusinów?

Świdrygiellę ofiara ta ujęła znowu i rozprószyła posadzenie.

Ha! Podole! — zawołał namiętnie — te psubraty, Lachy mi je wyrwały zdradą... Dowgierda chwycili za gardło... i klucze puścił... Alem Jagiełłę, dybami grożąc nacisnął tak, że listy musiał wysłać, aby nazał zamki powrócili namiestnikom moim. Posłałem Michajła Babę. Muszą oddać zamki, inaczej im króla z kaźni nie wypuszczę...

— Król dał listy? — zapytał Holszański.

— Musiał!! — zakrzyczał Świdrygiello — musiał... Złakł się...

Przez chwilę milczeli. Siemion w kubku usta umoczył.

— No — rzekł — co się stało, to się stało, ale będzieli żyw i wolny Jagiełło, nie zapomni wam tej niewoli. Uczyniliście go sobie wrogiem na wieki... Jego jak jego, Lachów też. To już wieczny rozbrat z nimi. Jeżeliście z królem tak poczynali, pewnie z panami jego nielepiej... nie przebaczą oni tego! nie przebaczą!!

— Pluję na nich! — dziko zrywając się wołał Świdrygiello roznamiętniony. — Co mnie oni? co? No, a z Jagiełłą kniazia mój, ja najlepiej wiem, że się zawsze zładzić można... To człowiek takiego serca, że mścić się ani lubi, ani umie. Na razieby ubił mo- że, a drugiego dnia zapomni. Ja go znam. Mówią, że gdy Krzyżaków pobił na głowę, kiedy to im najstarszego mistrza i najlepszych wojów trupem tysiące

położono, to potem na poboiszczu modlił się nad nimi i płakał. Lachy i Niemcy gdzieś go w mleku ugotowali... Ja! jabym był na trupy patrząc skakał, radował się i nogami ich kopał!

Prowadził tak dalej rozmowę Olszański, iż Świdrygiełło nie nawracał, ani go uśmierzał, a pytał tylko czy się nagotował na to, co go czeka i obawiał się dla niego wojny... Tem go więcej podrażnił i poruszył, niżby sprzeciwiając się i grożąc mógł rozjatrzyć.

Spokojnie a zgodliwie Świdrygiełło nie umiał rozprawać. Nie było prawie dnia, by przy stole któremu ze swoich, gdy wszyscy się napili, nożem nie cisnął lub nie opuliczkował. Tu z kniazem Siemionem kłótnia była nie możliwa, a dojadł mu tem, że wciąż przypominał, iż do wojny gotów nie będąc, rwał się do niej. Ponieważ Holszański z Rusi jechał, a Świdrygiełło obawiał się Zygmunta Starodubowskiego, brata Witoldowego, aby się ten o spuściznę po nim nie upominał, o zagarnięte w Trokach skarby, zwrócił nagle rozmowę na niego i pytać począł, czy o nim nie słyszał.

— Zygmunt Kiejstutowicz na swojej dzielnicy siedzi tyle lat spokojnie — rzekł Holszański — że o nim ludzie zapomnieli. Nic nie słyhać! O niego nie macie się co troskać. Choć to Witoldów brat, ale on nigdy równym mu nie był. Z Mazowieckimi się ciągle kumał i od nich nauczył się w dziurze siedzieć spokojnie.

Pogardliwie skrzywił się Świdrygiełło.

— Ja jem, ani Juliannie jednej grzywny dać nie myślę z tego co w Trokach zabrałem... — zawołał. — To skarb litewski... Mnie samemu teraz siła potrzeba, bo chcąc ludzi mieć, każdego potrzeba złotem brać. Nasycić ich trudno — dawaj a dawaj! Pójdzie ten skarb prędko...

Znużony w końcu tem spokojnem biesiadowaniem kniaź, kubkiem o stół uderzył.

— E! kumie Siemionie — krzyknął — dosyć bied wywłóczyć, a tem sobie głowy zaprzętać czego niema, a może nigdy nie przyjdzie... Na polybel wrogom! Napijmy się!

Holszański nie odmówił, bojarowie zwykle służący Świdrygielle do tej zabawy przysunęli dzbany, zaczęto nalewać. Głosy się zaraz popodnosiły, zmięszały, wrzawa zrobiła wesolą... Przybyły gość wcale nią sobie przykrzeć się nie zdawał, dotrzymywał im, przysłuchując się ciekawie, uśmiechając półgębkiem. Zdawał się zupełnie podzielać i wesolość i myśli.

Do późnej nocy trwało takie ucztowanie, w końcu którego Holszański z za stołu trzeźwy wstał i Świdrygiellę z jego dworcem zostawiwszy jeszcze dopijających, poszedł do swej gospody.

Nazajutrz król zrana, biskupa Macieja o mszę świętą uprosiwszy, słuchał jej na klęczkach pobożnie.

Był to dzień piątkowy, więc i post z suchotami, który król bardzo zawsze ściśle zachowywał. O chlebie więc i wodzie śniadał po mszy, smutny na duszy, gdy mu oznajmiono, że książę Siemion Holszański przyszedł się pokłonić.

W osamotnieniu i niewoli, ten stryj żony, choć nie często widywany i zabyty trochę, był mu jak z nieba zesłany gość. Uradował mu się wielce.

Z rękami rozwartemi wyszedł naprzeciw niemu.

— Nul nul patrz kniaziul patrz! — począł żalobliwie — hej! na co mnie przyszło! Od kogo jeszcze, od rodzonego brata, którego kocham, któremu dobrowolnie Litwę pusiłem, choć wiem, że mnie za to Polacy głowę zmyją! Nu, patrz! Ja! król, niewolnikiem u niego!!

Holszański oglądał się, mówić nie śmiejąc, bo dwór królewski otaczał ich i słuchał. Poruszył tylko ramionami dwuznacznie. Jagiello na sercu ciężko było!

— Patrz! patrz! — powtarzał. — Nie jak króla,

nie jak brata, jak poganina mnie męczy i uciska. Stary jestem, nie zniosę nędzy tej i sromu...

I przerwawszy narzekanie, zawołał.

— Widzieliście go! mówiliście z nim?

— Jeszcze wczoraj — rzekł Holszański cicho, oczyma biegając dokoła. — Zawzięty jest i zapamiętały, a no, znacie go, sierdzi się niedługo, wytrwać nie umie, opadną te gniewy.

— Dałby Bóg — westchnął król.

Wtem podkanclerzy Drzewicki przystąpił i zwrócił się do księcia.

— Wasza miłość powinniście przemówić do kniazia Świdrygiełły — odezwał się. — Niewidziana to rzecz, aby kto pana swojego więził tak i nękał. Jeżeli to zemsta, niewczesna i niechrześcijańska, przecież mu król za to co cierpiał wynagrodził dając Litwę!

Jagiello i inni, obstąpiwszy Holszańskiego, poczęli z żalami i skargami zwracać się ku niemu. Książę słuchał i milczał. Z postawy jego tylko i słów niewiele domyslać się było można, że na przyszłość lepiej tuszył i zmiany się spodziewał.

— Ja tu jeszcze zostanę czas jaki — szepnął w końcu — no i za pośrednika służyć jestem gotów. Nie pojedę ztąd aż doczekam, że się to na lepsze obróci.

Uradowany król, powstawszy ścisnąć zaczął księcia Siemiona, który nie chcąc się podać w podejrzenie, wprędce go pożegnał i nazad z zamku do dworca Gastoldowego powrócił. Chciał przy Świdrygiełły stojąc ciągle, nowym gwałtem zapobiedz.

Przybycie to kniazia Siemiona, listów papieżkich, o których już wiedział, a nawet Hinczy z Rogowa, nieco Jagiellę w tym ucisku podźwignęło i dodało lepszej otuchy.

Świdrygiełło, który wprzód napadał go niemal codzień łajaniem i groźbami, nękał bez litości, nie pokazał się przez dni kilka na zamku.

Towarzyszący Jagielle Polacy korzystali z tego, myśl swą oswobodzenia króla, choćby morderstwem, potajemnie tak rozbierając i przygotowując się do wykonania, ażeby w chwili dogodnej, mogła przyjść do skutku. Andrzej z Tęczyna i Mężyk opatrywali wszystkie kąty, obchodzili podwórza, obliczali ludzi, rozporządzali wcześnie, gdzie kto stanąć ma i podzielić między siebie robotę.

Wszyscy zaprzysięgli, że gdyby ważył się znowu książę napaść na króla, złżyć go i odgrażać się, rzucać się na niego, zamordują i natychmiast hasło dadzą wyrzucenia z zamku niewielkiej załogi.

Gdyby Świdrygiełło przyjechał, jeden miał stać pod oknem i czekać znaku chustą, że Świdrygiełło nie żyje, aby z Litwą sobie radzić i zamek osadzać. Hincza, którego przypuszczono do rady i do czynu, całem sercem przystał do nich.

IV.

W niedzielę następną biskup wileński Maciej znowu w kaplicy na prędcie przy królewskiej komnacie urządzonej, odprawił mszę świętą.

Od owego piątku, ani Świdrygiełło, ani Siemion Holszański na zamek nie zaglądali. Głucho było.

Wieści żadne ze dworca Gastoldowego nie dochodziły, a cisza ta dziwna, niecierpliwość Polaków i niepokój ich o pana zwiększała. Obawiano się, ażeby Świdrygiełło podstępem jakim, lub przemocą króla porwawszy, nie wysłał go na inny jaki zamek w głą-

bi Litwy, i od dworu nie oddzielik. Nie odstępowali go na chwilę.

Przebakiwano o tem, że do Krewa, albo do Nowogródka chcą Jagiełłę wysłać, a Andrzej z Tęczyna, Mężyk, Hincza i inni przemysłiwali jak się oprzeć gwałtowi. Nieco jednak rachowano na kniazia Siemiona.

Po mszy świętej, biskup króla na osobność wiawszy, zwiastował mu nowinę, którą miał przez ojców Franciszkanów, że szlachta na zjeździe uchwaliła wszystkiemi siłami natychmiast zebrać się w Kijanach nad Wieprzem i nie mieszkając ztąd ruszyć na Litwę.

Świdrygiełło miał już o tem od wczoraj wiadomość i gdy goniec mu doniósł, wrzeszczano i wykrzykiwano tak na Gastoldowym dworze, że się ściany trzęsły.

Rwali się bojarowie po pijanemu, odgrażali, lecz Świdrygiełło obrachował się pono, i wasy tylko gryzł a kłął... Nie spodziewał się, aby tak prędko Polacy ruszyć się mogli.

Król uradował się i nastraszył, aby wiadomość o wojsku, nieco już uchodzonego nie rozjątrzyła Świdrygiełły.

Ks. biskup Maciej donosząc o tem, wynosił pod niebiosą wielką gorliwość i starania królowej Sonki, która nie miała spoczynku, dopóki zjazdu nie wyprosiła, a potem sama na nim nie wymodliła postanowienia zbierania się pośpiesznego wojsk, dla oswobodzenia króla.

Mówił, że cała Korona wiedziała, iż pośpiech ten był dziełem królowej.

Usłyszawszy to, zasromił się Jagiełło i oczy spuścił, czuł się winnym. Ks. Maciej upewniał go, iż wielkiej trwogi, boleści a niezmiernego trudu królowej, ci co świadkami byli, jak gorliwie zabiegała, wydziwić się i odchwalić nie mogli.

Ona jedna sprawiła to na zjeździe, iż się nie ocią-

gano do wiosny, ale póki jeszcze trzymała zima, wyruszyć postanowiono, korzystając z błot i rzek zamrzłych.

Stali tak rozmawiając u okna, gdy Jagiełło spojrzawszy w nie pobladł.

We wrotach, które widać ztąd było, zobaczył wjeżdżającego na koniu Świdrygiełłę. Szczęściem towarzyszył mu książę Siemion...

Dworzanie spiskowi zdaleka jadącego zobaczywszy króla, wedle danego słowa, natychmiast się obwołali, aby każdy stanął w miejscu wyznaczonym. Ruch się zrobił, biegali, sykali, za oręż chwyтали, a Andrzej z Tęczyna, Mężyk, Hincza i siedmiu najsilniejszych umieścili się podedrzwiemi komnaty tak, aby na dany znak piorunem wpaść do niej.

Króla ogarnął niepokój wielki, zażądał od biskupa, aby go nie opuszczał, w tej nadziei, że świadek obcy, osoba duchowna, może wybuch gniewu, do którego był przygotowany, pohamować.

Od dawna nie widywał inaczej Świdrygiełły, jak z wściekłością, groźbami i słowy zelżywemi wpadającego na zamek.

Cisza zaległa komnatę i u drzwi tylko pod którym stali spiskowi, uchyliwszy je tak, aby klamki podnosić nie było potrzeba, ciężkie oddechy słychać było. Andrzej z Tęczyna przeżegnał się westchnął do Boga i tulicha dobył. Inni poszli za jego przykładem... Na przedzie stało ich dwóch z Mężykiem.

Pod oknem chodził, hasła białej chusty czekając Bersacz...

Jagiełło wolnym krokiem wyszedł naprzeciw bratu, przygotowany na wszystko, co go spotkać mogło.

Świdrygiełło blady, z wargą zakąszoną i niespokojnie biegającymi oczyma, wszedł nie tak śpiesząc jak zwykle, do izby królewskiej. Zdjął kołpak z głowy, czego dawniej nie czynił nigdy.

Postawę i twarz miał zafrasowaną, nadąsaną, złą, lecz widać było, że się siłił pohamować.

Podszedłszy nieco, stanął naprzeciw króla. Namyślał się, niełatwo mu było zdobyć się na słowo.

— Nu, co? Lachy plotą, że ja ciebie trzymam w niewoli? Ja, ja chciałem tylko, abyś oddał podolskie zamki, które się Litwie należą, tak jak Witold je dzierżył. Jam niegorszy od niego. Dałeś listy, ja ciebie nie więzę. Bywaj sobie wolny... Jeszcze ci w podarku ze skarbu kazałem sto tysięcy rublów wydać, a dla twojego dworu soboli, kun i szub i jedwabnie tyle, aby im na całe życie stało.

Będiesz się jeszcze skarżył na mnie?

Wszyscy słuchali uszom nie dowierzając. Świdrygiełło jakby przymuszony, głos miarkując, mruzczał dalej.

— Jaka tu była niewola? jaka? Ja ciebie nie zamykałem. Nie puszczałem ino póty, pókiś nie zrobił co należało... Teraz jedź! Bogiem się świadczę, niech i kniaź Siemion słucha... nie trzymam. Wracaj do Polski.

Lachy mnie jakiemiś posłami grożą, ja z nimi gadać nie będę, nie potrzeba posłów... Na co? Wojskiem mnie grożą, albo ja wam wojnę wypowiadałem?...

Słuchającemu Jagielle twarz się rozjaśniała, wyciągnął ku niemu ręce obie, ale ich Świdrygiełło nie dotknął.

— Ja zaraz wyprawię do Polski — rzekł król — aby ani posłów, ani wojska nie wysyłano nadaremnie...

— Ale zamki podolskie moje! Każ mi je zaraz zdać! — dodał Świdrygiełło, już głos podnosząc namiętniej.

Król oczy spuścił.

— Wszak dałem listy.

— Nu! nu! Byle twoje Laszki nie szarpały się, nie rzucali a nie kusili się odbierać, bo naówczas wojna! — począł kniaź.

Nic mu już król na to nie odpowiedział. Nastąpiła chwila przykrego milczenia.

— Wracaj sobie do żonki — rzekł szyderczo Świdrygiełło. — O! ona tam słyszę rozbijała się, aby jej co prędzej męża z niewoli wypuścili.

Jaka tu tobie była niewola?

Ja ciebie do ciemnicy nie sadzałem. Na zamku siedziałeś jak pan, ty i Lachy twoje. Głodem was nie morzyli, dyb nikomu nie kładli. Teraz jeszcze ztąd srebra jak lodu wywieziesz dosyć, a i podarków się nie powstydzę.

— Nu, wrota otwarte, nie trzymam was... Z Bogiem, wracaj sobie do Polski...

Podrzucił głowę Świdrygiełło, i gdy król zbliżył się, aby mu podziękować, on kołpak nałożywszy, ani na niego, ani na nikogo nie patrząc już, do drzwi się zawrócił i wyszedł.

Kniaź Siemion pozostał.

Na dworze królewskim niewypowiedziana radość po niepokoju i trwodze nastąpiła. Jagiełło odżył.

Nie mając kogo uścisnąć, objął kniazia Siemiona, bo jemu przypisywał tę nagłą szczęśliwą zmianę.

Holszański się wypierał i szeptał cicho.

— Z Polski przyszły wiadomości o wojsku... Sonka przyspieszyła wysłanie. Jej podziękujcie.

Jagiełło ręce składał do modlitwy.

Andrzej z Tęczyna, Drzewicki, Mężyk, którzy tułichy pochowawszy, weszli do izby, poczęli króla po rękach całując nalegać, aby natychmiast do podróży się sposobić, dnia jednego nie ociągać, by człowiekowi szalonemu pod złą godzinę nie przyszła ochota króla zatrzymać.

Nie można było przewidzieć, co doniosą o podolskich zamkach, których poddanie się świeca wstrzymać mogła, a Świdrygiełło znowu rozjuszony, króla był gotów więzić. Należało więc korzystać z chwilowego usposobienia.

Król się zgadzał na wszystko, ale powolny zawsze,

znajdował, że najmniej dni kilka przygotowania zabrać musiały.

Tymczasem dla wstrzymania posłów i oznajmienia o odzyskanej swobodzie, gońcem przodowym ofiarował się nazad jechać Hincza.

Tak, nad wszelkie spodziewanie, w chwili, gdy zrozpaczony dwór gotował się do szalonej obrony króla, ważąc własne i jego życie, pękły cudownie okowy i zamiast prześladowania, obsypano ich podarkami.

Byli wolni!!

Poważniejsi nawet ludzie jak Drzewicki i Tęczyński, z radości się nie posiadali, Bogu dziękując za oswobodzenie.

W pierwszej chwili, nie wyjmując króla, wszyscy poszaleli. On tylko, korzystając ze szczęśliwej zmiany, dowodził już, że dziwak, porywczy, szalony brat, w sercu był dobrym i przywiązany do niego...

Na to milczeli inni; wiedziano bowiem i patrzano co dzień na tę dobroć, której ofiarą ludzie padali.

Drzewicki tegoż dnia listy do królowej i senatorów wygotował, donosząc, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło, a Jagiełło z niewoli powraca.

Gdy Hincza nazajutrz rano przyszedł się z królem żegnać, a ten go, wedle zwyczaju, po ramieniu klepał i pytał czem mu wynagrodzić za posługę, wierny Hincza podniósł głowę i całując rękę królewską, odezwał się.

— Miłościwy panie, gdybym to ja prosić śmiało?

— No proś, proś śmiało — przerwał Jagiełło.

— Ja niczego nie żądam, tylko — tu znów rękę począł całować — tylko żeby ten, co mnie spotwarzył i do Chęcin dał na wieżę, za swój język zmił pokutował. Pozwę go przed sąd.

Król się zmięszał i twarz mu się przeciągnęła.

— Na co ci to? — wybelkotał — na co?

— Abym czystym był w oczach ludzi. Strasz się

swobodnie chodząc przechwala, że królowę i nas bezkarnie oczernił.

— Nie pora z nim poczynać sprawę — odparł Jagiełło. — Wracajno do Polski.

Już Hincza odchodził, gdy król spytał.

— A Strasz ten gdzie?

— Siedzi u siebie w Białaczowie, a włos mu z głowy nie spadł.

Z twarzy starego pana widać było, że i jemu wspomnienie tej sprawy nieszczęsnej, gniew w sercu zagrzebany, rozbudziło.

Dodano dwóch z czeladzi Hinczy i poselstwo ruszyło.

Jagiello, czując się już bezpieczniejszym, chciał w lasy litewskie puścić się na łowy, za którymi był stęskniony, ale Andrzej z Tęczyna i Drzewicki uprosili go, aby tego nie czynił, co rychlej Wilno opuścił a do Polski śpieszył, gdzie na niego królowa i panowie niespokojnie oczekiwali.

Możeby się im nie dał tak łatwo sklonić do tego Jagiełło, gdyby tegoż dnia wieczorem, nie przyszedł książę Siemion przestrzedz poufnie, iż Świdrygiello po pijanemu znowu się odgrażał na króla, i jeśliby zamków podolskich nie zdano, niewolą i zemstą się odkazywał.

Dwór więc króla, już prawie go nie słuchając, wozy wytaczać kazał, ładować je, zbierać skrzynie, wiązać sakwy, konie kuć i na gwałt się do podróży sposobić.

Podkanclerzy i to miał na uwadze, że Jagiełło z tych stu tysięcy rublów, które mu brat ofiarował, z owych futer, szub, sukna i jedwabów, tak już na wszystkie strony rzucał podarkami i szafował, poczynawszy od Siemiona Holszańskiego, iż gdyby tu cokolwiek dłużej posiedzieli, pewnieby wszystko rozdał do denara.

Powstrzymać go nie było podobna, a czyniło mu to taką przyjemność, iż żał brał go jej pozbawiać.

Dzień już był do drogi wyznaczony, gdy Jagiełło zażądał koniecznie pożegnać brata, który sam do niego przyjść nie chciał. Wziąwszy więc z sobą Drzewickiego, Tęczyńskiego i trochę ludzi, pojechał do Gastoldowego dworu.

Tu po całych dniach i nocach biesiadowano, i jeżeli książę był w domu, zawsze, o wszelkiej godzinie, zastać go było można za stołem z podpiłymi bojarami, przy misach i dzbanach.

Nieinaczej też znalazł go Jagiełło. Widząc go wchodzącego książę nawet nie raczył powstać, bojary tylko ruszyły się z czołobitnością.

Świdrygiełło był dosyć dobrej myśli, choć się jej dowierzać nie godziło. Począł do króla wołać zdala.

— Jedziesz już! to jedź... jedź, a nie okłamuj mnie, że ja cię tu męczył i w niewoli trzymał. Nic ci się nie stało, cały jesteś, powracasz do żony... Z innym człowiekiem, nie zemną, nie takby ci łatwo poszło.

Król mu wtedy, przysiadłszy na ławie, dziękując za dary, łagodnie rady dawać zaczął, aby Polaków i tak już rozdrażnionych nie jętrzył, a z królestwem i z nim wiernie trzymał.

— Mam ja swój rozum, ty mnie nie ucz — przerwał mu Świdrygiełło — będę wiedział co czynić! Poznają mnie Laszkowie twoi... niech się tylko tu osiedze.

Któryś z bojarów, oględniejszy, znak mu dał, ażeby się tak z tem co myślał, nie wydawał, zamilkł więc, a potem żarty z króla począł stroić. Wreszcie nalawszy sobie kubek a jemu drugi, zmusić chciał Jagiełłę, aby z nim pił.

— Ty wiesz, że ja nie piję miodu ani wina nigdy — rzekł król spokojnie — wodą, jeżeli chcesz, przepiję do ciebie.

— Cóż ty... boisz się abym ja ciebie nie struł? — krzyknął książę. — Musisz zemną to pić, co i ja. Niegorszym ja od ciebie.

Jako żyw nie gorącego i chmielnego do ust nie biorę — powtórzył Jagiełło. — Nie mogę.

— Ale zemną musisz pić.

— Wodę.

— Nie... miód!!

Jagiełło milcząc kubek odstawił, bo, jak zapachu jabłek nie znosił, tak i napoju gorącego powąchać nawet nie mógł.

Świdrygielle już twarz zaczęła kraśnić, usta drgać, i porwawszy kubek gwałtem go Jagielle do ust tkał, aż Siemion Holszański nadbiegł go bronić.

Wpadł kniaź na niego i na króla w okrutną złość, poczynając łajać, a że w gniewie pomiarkowania nie znał i można się było obawiać gwałtu jakiego, bo się coraz zapamiętałszym stawał, chwycili pod ręce Jagiełłę Tęczyński z Mężykiem i z izby uprowadzili, a Holszański tymczasem miotającego się Świdrygiellę na ławie przytrzymywał, sam się spełnić ofiarując ile zechce kubków za króla. Zmusił go z sobą pić i tak się to skończyło.

Starcie to niespodziane, w chwili wyjazdu, tem boleśniej dotknęło Jagiełłę, że miało mnóstwo świadków, bo izba bojarów pełna była, którzy po pijanemu, ośmieleni zuchwałością kniazia, wyśmiewali i poszanować go nie chcieli.

Pierwszy raz Jagiełło uczuł się tem do żywa obrażony i wyjazdowi już się nietylko nie przeciwił, ale sam go chciał przyspieszyć.

Z rana nazajutrz, król z całym pocztem swoim, zajechał do OO. Franciszkanów wysłuchać mszy świętej, dokąd i biskup Maciej go przeprowadzał. Tu Jagiełło, obdarzywszy mnichów, weselszy puścił się w drogę, na prost zmierzając w Chełmskie.

Gdy w lasy wjechali, a powietrzem ich, do którego pierś jego tak była nawykła, odtechnął stary... dopiero mu życie wróciło i całą swobodę i weselość odzyskał. A że wszędzie po drodze spotykali go ludzie z poszanowaniem, cześć mu oddając, dotkliwiej

teraz rozpamiętywać musiał jak wielkiego doznał w Wilnie upokorzenia. Skarżył się też przed wszystkimi, i przypominając niewolę a obchodzenie się z nim brata, oburzał przeciw niemu.

Od granicy szlachta witając, zabiegała mu drogę. Z Krakowa dano wiedzieć, że królowa Sonka, biskup Zbyszek, wojewodowie: krakowski i sandomierski, kasztelan krakowski, marszałek wielki i innych dosyć panów, ciągną przeciw panu, który na zapusty z Tura miał przybyć do Sopoty i tam z żoną i z nimi się spotkać.

Sonka wiozła z sobą dwu synaczków, dla których właśnie zjazd naznaczył był nauczyciela i nadzorcę, Wincentego Kota z Dębna, kustosza gnieźnieńskiego i szlachcica Piotra Ryteńskiego.

W Sopocie zastał król wszystkich oczekujących już nań. Królowa z dziećmi zapłakana wyszła go witać. Starszyzna do nóg mu się kłaniała, biskup błogosławił i kropił wodą święconą, tłumy czapki podrzucały wywołując: Żywie!

Serce rosło staremu widząc jaka go tu miłość otaczała.

Nie przechwalała się z tem, ani nawet wspominała królowa, jak niezmordowanie, przez cały czas niewoli nawoływała, prosiła, nagliła o przyspieszenie odsieczy. Świadczyli o tem inni, mówił biskup, gdy odeszła, świadcząc, że nie miała spoczynku, dopóki szlachty nie skłoniła, aby się zbroiła dla skutecznej obrony osoby i czci pana swojego.

Jagiello też czulszym się stał i powolniejszym dla Sonki, dawne do niej przywiązanie wróciło; chociaż żyli teraz z sobą jako przyjaciele nie małżonkowie, a królowa tylko o dzieciach myślała; Jagiello znowu o łowach, lasach, a zmuszony i o sprawach państwa, których ciężar spadł na niego. Oblegano go z niemi, zalegało mnóstwo; on wszystkie sprawy do biskupa Zbyszka odsyłał.

W Sopocie nie zatrzymując się długo, ciągnęli

wszyscy na mięsopust do Sandomierza, dokąd szlachta była zwołana. Tu poprzedził dwór Hincza, który jako świadek naoczny, opowiadał o niewoli królewskiej, o znęcaniu się nad nim.

Wiedzano już z odgłosu co Jagiełło w Wilnie wycierpiał od brata, a choć samej prawdy dosyć było aby ludzi oburzyć, Hincza niejedno do niej dołożył, tak że króla w Sandomierzu jak męczennika witać się gotowano.

Zwiększyło i to gniewy szlachty przeciw Świdrygielle, że załogi jego z zamków pogranicznych, w Lubelskie i na Ruś na łupieżę wpadały, jakby wojnę wywołać chciały.

Kręcąc się tak przed przyjazdem królestwa obojga Hincza po mieście i na zamku, wśród tłumnego zjazdu szlachty, drugiego dnia spotkał butnie, z przyjaciół i bratem Czarnym przechadzającego się Jana Strasza.

Z początku mu się oczom wierzyć nie chciało, iżby on ważył się tu pokazać, o królowej wiedząc. Krew się w nim zburzyła.

Jan Strasz w przyjaciół ufając, których miał dosyć, sądząc że sprawa była ze śmiercią Witolda ubita, umyślnie przyjechał, aby nie okazać trwogi i zatrzeć do reszty zajścia tego wspomnienie.

Hincza nie dał poznać po sobie co zamyślał, ale w duchu rzekł, że teraz lub nigdy zemścić się musi i sąd wywołać na niego.

Ocierali się o siebie kilka razy, nie mówił nic Hincza, nie zważał nań, obojętnego udał, ale czekał na przybycie królowej.

— Sam Pan Bóg zrządził, że mi tu winowajca wpadł w ręce—mówił cicho—albo teraz lub nigdy.

Nadjechał król, witany radośnie i gorąco; przeprowadziły go tłumy na zamek górny, a gdy naza jutrz wyszedł do izb natłoczonych senatorami i szlachtą, witany okrzykami serdecznymi, dziękować począł, potem opowiadać sam po prostu, jak go tam męczo-

no, i co cierpiał... za grzechy swoje (wyraził się tak z pokorą), wołaniom i odgrózkom przeciwko Świdrygielle nie było końca.

Tuż za tronem siedziała królowa, przysłuchując się, a serce jej rosnać musiało, widząc jak się tu przywiązanie do Jagielly i do rodu jego objawiało wymownie.

Ona też królowi doradzała, gdy wychodzić miał, aby się skarżył i opowiadał, jak za naród swój cierpiał, aby tem serca jego skłonił ku sobie.

Wpływ jej przywrócony, wzrósł teraz i wzmocnił się, Jagiełło czuł, że w niej miał najlepszego doradcę.

Narady w Sandomierzu burzliwe były w początku, zwłaszcza z powodu Podola i Łucka, koronie należącego, które sobie Świdrygiełło gwałtem przywłaszczył.

Wysłano ztąd poselstwo do niego, wzywając na zjazd wspólny i układy, na co, jak przewidzieć było można, kniaź drwiąc odparł, że nie potrzebuje ani zjazdów odprawiać, ani się o nie układać, a to co trzyma z prawa krwi i spadku, tego nie odda nikomu.

Oburzenie przeciwko przywłaszczytelowi było już wielkie, ale wzrosło do najwyższego stopnia, gdy potem wysłanego z wyrzutami Lutka z Brzezia, rozłożony Świdrygiełło w twarz uderzył.

Nim zjazd Sandomierski się rozproszył, Hincza przez ochmistrza Malskiego do królowej z błaganiem i naleganiem zgłosił się, aby o sąd na Strasza króla prosiła, gdyż lepszej na to pory nie było, a winowajca w Sandomierzu się znajdował.

Już w Wilnie Hincza, jak wiemy, Jagiełłę o sąd ten prosił, teraz królowa myśl poddaną chwyciła gorąco. Napróżno ochmistrz, a z nim wielu innych, wznawianie odradzało, Sonka żądała koniecznie być jawnie oczyszczoną, król się opierał, wypraszał, przystał wreszcie. Królowa błagając, całowała go po rę-

kach, klękała przed nim, powtarzała, że inaczej nie obmyje się z tej plamy...

Stało na tem, iż sąd został wyznaczony rycerski, a zasiadać na nim miał Piotr z Widawy sędzie sieradzki.

Strasz nie mając najmniejszego przeczucia co go tu czekało, zabawiał się wesoło, bezkarnością długą ubezpieczony, gdy jak piorun z jasnego nieba pozwy nań spadły.

Znalazły go one wśród wielkiej gromady przyjaciół, krewnych, powinowatych, których Strasz zawsze hojnie podejmował i jednać sobie lubił.

I stał się niespodziany cud, że w oka mgnieniu izba i dom opróżnione zostały, pierzchło co żyło, wypierając się wszelkiego stosunku z nieszczęśliwym.

Jeden jedyny, wstydzając się go opuścić, brat rodzony Strasza, Czarnym zwany, wiernym mu pozostał. Oba rozumieli dobrze, iż z królową walczyć było trudno, i na srogą kaźń musiał się gotować. Nie wiedzieli co począć, i Jan głowę ratując, myślał zbiedz na Litwę do Świdrygiełły, lub do Czech między Husyty... ale i ucieczka trudną była, bo domu dokoła pilnowano, kroku już zrobić nie mógł.

Teraz Strasz dopiero przypomniał, że Hincę tu widział i spotykał, a pewnym był, że nikomu innemu tylko jemu winien był pomstę, jaką nad nim wywierano.

Całą noc spędzili dwaj bracia przy kaganku, naradzając się pocichu, jak bronić się mieli.

— Choćbym się odprzysięgł—rzekł Jan—nie pomoże to, a gdyby sędzia uwolnił i tak nie ujdę kary.

Poważni ludzie stawali ze strony królowej jako świadkowie i oskarżyciele. Na czele ich ochmistrz dworu jej Wojciech Nałęcz Malski, kasztelan łączycy, Mszczuj ze Ślęczynna, Klim Wątróbka ze Strzoleca, Piotr Kurowski, Jaśko z Koniecpola, Hincza z Rogowa i mnodzy urzędnicy, komornicy, a dworzanie.

Sąd na zamku był zwołany...

Z jednej strony stała cała ta gromada oskarżycieli, z drugiej Jan Strasz, samiuteńki jeden, bo mu nikt w pomoc nie śmiał przyjść, prócz brata. Wszystko co go wczoraj otaczało, pochowało się strwożone, niektórzy znajomości z nim się zapierali.

Potępienie oszczercy, przeciw któremu tyle głosów się podnosiło, nie mogło ulegać wątpliwości.

Stanął Strasz upokorzony, biedny, zdając się sędiego o miłosierdzie tylko prosić. Stracił postawę, głos, butę, drżał i oczów podnieść nie śmiał.

Na drodze, gdy z bratem na zamek szli, Hincza go spotkał, jakby umyślnie i drwiąco się pokłonił.

— Jeżeli pochlebiacie sobie — krzyknął — że odszczekaniem z pod ławy, jak Gniewosz z Dolewicz, zbędzicie się strasznej kary, mylicie się srodze!! Musicie zakosztować tego, co my z łaski waszej cierpieliśmy!

Świadczyli przed sądem z kolei, sam ochmistrz Malski, potem inni, że Strasz wieści kłamliwe po Krakowie rozsiewał, przed ludźmi dworskimi królowę czernił... Wiadomo też było wszystkim, bo sam książę Witold tego nie taił, że do niego Strasz jeździł do Wilna, oskarżając królowę, i z namowy jego książę przed królem obwiniał ją.

Wszyscy zgodnie zeznawali to na Strasza.

Winowajca na obronę swą nie umiał powiedzieć nic więcej nad to, że o niczem nie wie, że nie skarżył, że nie mówił nic.

Wszystkiego się zapierał.

Gdy świadkowie skończyli, Strasz nie mogąc więcej, podniósłszy prawicę, wyzywać ich począł na rękę, na sąd boży.

Lecz sądy to już nie były w obyczaju, i Hincza pierwszy odparł butnie.

— Żaden rycerski mąż, z człowiekiem obwinionym, bez czci, pod oskarżeniem takim zostającym

w szranki wyjść nie może, zmaszałby się z nierównym sobie i bezczesnym potykając.

Inni też powtarzali za nim, że z oszczercą nikt w pole nie wyjdzie.

Milczenie nastąpiło złowrogie.

Sędzia nie mogąc inaczej, kazał się przysięgą oczyścić Straszowi.

Chociaż jawnem było krzywoprzysięstwo, winowajca, życie ratując, musiał drżącym głosem wyprzeć się tego, czego ludzi poważnych wielu byli świadkami wiarogodnymi.

Nie oczyściło go to, ani mogło uwolnić od kary za krzywą przysięgę. Hincza z Rogowa stał już pogotowiu z rozkazem króla, aby natychmiast wydany został staroście sandomierskiemu i w wieży na dnie zamknięty. Ledwie mu się z bratem dano pożegnać, gdy odedrzwi ciury zamkowe pochwycili go i powlekli z sobą. Chciał Hincza, aby do Chęcin był odprawiony, lecz wieża Sandomierska nielepszą była od tamtej, w której siedział, a przewozić go nie było potrzeby...

Tak pomszczoną została, niewinnie spotwarzona królowa, chociaż nieprzyjaciółom jej ust to nie zamknęło. Królestwo oboje byli już w Krakowie, gdy pokrzywdzony Lutek z Brzezia, ledwie z życiem wyrwawszy się Świdrygielle, z Wilna powrócił, o pomstę wołając.

Zapowiadała się już otwarta wojna z tym bratem niewdzięcznym. Łamał ręce Jagiełło, nie wiedząc co począć, a czując iż sam winien był, powolnością swą Świdrygiellę uzuchwaliwszy w początku.

Oleśnicki i inni codzien mu to wyrzucali.

Na jedną z tych chwil goryczy i utyskiwań weszła królowa. Dała naprzód mężowi żale rozwodzić i narzekać długo, potem, gdy bezradny żalił się na dołę swą, mówić poczęła.

— Radzić potrzeba na to, dopóki czas, bo dalej trudno będzie. Słuchajcie mnie tylko. Jako niewie-

ście, samej mi do tych spraw mieszać się nie przystało, uczynicie wy co doradzę, nie mówiące, że to macie odemnie...

— Radź! — zawołał król, zwracając się do niej — aby skutecznie.

— Świdrygiello bratem ci jest — rzekła królowa — ale takim jakim Kain Abłowi był. Gdyby się nie obawiał pomsty, kto wie czy z Wilna byłby cię z życiem puścił. Nie chce on Litwy z rąk twoich dzierżyć i był tobie podległym, chociaż tyle o ile Witold był, a i ten się z lenności wyłamywał...

Zrzucić go musisz, a innego na jego miejsce postawić.

— Alem ja mu pierścień dał i uczyniłem go wielkim księciem?

— Tak samo mu to coś dał odebrać możesz...

— A jakże dokazać tego? — zawołał Jagiello. — Wszystko w rękę trzymam, Ruś z nim cała... Zamki opanował wszystkie... Wojnę bym prowadzić musiał.

— I bez wojny się go pozbędziesz — mówiła królowa ciszej. — Dostyć skinać na Zygmunta Kiejstutowicza, ten znajdzie chwilę sposobną i Świdrygiellę pochwyci lub wyżenie.

Siemion stryj mój, pośrednikiem będzie najlepszym w sprawie... Witoldów brat, człek spokojny, trzeźwy, poważny, a winien ci będąc księstwo, nie powstanie przeciwko tobie... On i na Rusi przyjaciół ma, Świdrygiellę obali łatwo...

Skiń nań tylko.

Słuchając, król zadumał się głęboko.

— Rozum masz, kobieto moja — odezwał się po namyśle... Rada twoja dobra, ale bez Zbyszka nie, jemu to powiedzieć potrzeba...

— Sam mu to mów — przerwała królowa. — Nie moja rzecz się w to mieszać. Mówić i działać wy musicie. Niewieście się nie przystało do spraw państwa wtrącać, bo nieprzyjaciół i zadrośnych sobie przyczynia, a tych i tak jest dosyć. Nawet gdy co

chce uczynić, musi przez innych... Niechaj mnie w tem nie widzi nikt, ani wie, że to wyszło ode mnie...

— A Siemiona ty jesteś pewna?—zapytał król.

— A któż go skłonił, aby on do Świdrygiełły jechał do Wilna?—odezwiała się Sonka, z uśmiechem, w którym duma się przebijała.—Ja się przecie sama musiałam starać o to, ale tak, aby nikt o mnie nie wiedział.

Zmilczał Jagiełło. Nazajutrz już na radzie potajemnie o Zygmuncie mówiono. Za nim było to właśnie, co od innegoby odstręczało.

Nie znał go bliżej nikt, niewiele o nim słyszano, tak przez czas rządów Witoldowych spokojnie na swej dzielnicy gospodarzył, nie dobijając się o nic więcej nad to, co mu dano...

I nie bez słuszności powiadano o nim to, cośmy już powtórzyli, że z Mazowieckimi księżniczkami się żeniąc, Mazowieckich książąt przyjął obyczaje, swojej ziemi strzegł, o cudze się nie kusząc, aby pokoju zachowywał...

Zbyszek biskup i wielu senatorów za nim było, choć wprzódby pewnie na niego nie głosowali, aby spadek po bracie dziedzictwem się nie zdawał.

Zrażało tylko wielu, że z Kiejstutowiczem potajemnie się umawiać było potrzeba i przywłaszczyciela pozbywać się cichaczem, zdradą. Do tego stryj królowej Siemion na rękę był jako pośrednik.

Musiano zgodzić się na to, aby Świdrygiełłę w jakikolwiekby sposób obalić i wygnać.

Pierwszą wzmiankę o Zygmuncie Kiejstutowiczu sam Jagiełło uczynił, lecz dla tych co go znali, było jawnem, że myśli tej sam z siebie nie wziął, bo niewdzięcznego Świdrygiełłę kochał zawsze, słabość do niego miał i nawet żrzucić go zamierzając, pomrukiwał, że mu coś na Rusi wydzielić przyjdzie. Zbigniew Oleśnicki, a z nim inni odgadli w tem radę królowej. Przyjęto myśl, a choć dobrą była, że od

Sonki wyszła, o wpływie jej świadczyła, wielu ku niej źle usposobiła.

Nieprzyjaciele rośli razem z potęgą i wpływem, który codziennie sobie jednała. Nie była to już bojaźliwa pierwszych dni Sonka, kraju i ludzi nieświadoma, pośród których żyć miała, ale niewiasta nieszczęściami i cierpieniem wypróbowana, zahartowana walką, silnej woli, matka stojąca u kolebki swych synów, o prawa ich troskliwa.

Potwarze, broń zazdrosnych, lały się nad odważną niewiastą ze stron wszystkich, pozory chwytając wszelkie, jak czasu burzy potoki płyną wszelkimi norami i rozpadlinami, wyrывая ziemię i nowe sobie torując drogi.

Korybut i czescy husyci, którzy do Krakowa na rozprawę o prawdzie chrześcijańskiej przybyli; zgromieni i wygnani przez Oleśnickiego, w mniemaniu niechętnych, Sonkę mieli za potajemną opiekunkę i doradczynię.

Gdy Jagiello zwłóczył z wystąpieniem i wyprawą przeciwko Świdrygielle, dla odebrania Wołynia, nie świadomi tego co królowa czyniła, jej przypisywali, że się ociągał, choć ona Zygmunta popierała.

Był to rok wojen i klęsk, bo w pomoc oszalałemu Świdrygielle rzucili się wszyscy Polski nieprzyjaciele.

Zniszczenie, pożary, mordy i łupieże szerzyły się dokoła. Król stary wojował na Rusi, Sonka sama jedna czuwała w Krakowie.

Kielicha goryczy, który jej był przeznaczonym, do dna jeszcze nie dopiła.

Na tym samym zamku królewskim, obok dzieci Sonki, chowała się Jadwiga, owa wnuczka Kaźmierzowa, na którą oczy wszystkich, Piastom jeszcze sprzyjających, były zwrócone.

Pomimo dobroci serca i rozrzutności, Jagiello sero sobie wszystkich kupić nie mógł. Po kilkudziesięciu latach panowania, widziano w nim zawsze obcego, przywłaszczyciela... Pocichu dotąd niektórzy poga-

ninem go zwali, królowę przezywano Rusinką, tęskniono za Piastami zniedołężniałemi.

Chociaż tej starszej córki Jagielly zrekowiny z Fryderykiem Brandenburgskim były tak jak zerwane, zawsze jeszcze trwały jakieś zobowiązania; przyjaciele Piastów spodziewali się na tronie widzieć Jadwigę, a przy niej woleli Brandenburczyka niż Litwina.

Z czego się to rodziło? dziś określić trudno. Duchowieństwo władało wszystkiem, nie mogło się uskarżać na upośledzenie swoje, częstokroć jednak z królem staczać musiało walki, znajdowało w nim opór i zachcianki samowoli.

I ztąd może ta niechęć do Jagielly i krwi jego płynęła. Nie zapomniano mu biskupa Wysza, ani w czasie wojny zajętych dóbr biskupich dla nakarmienia ogłodzonych; posądzano jego i rodzinę o tajemne sprzyjanie hussytom, to znowu o sympatyę dla wschodniego obrządku.

Winy Witolda, Korybuta, Świdrygiełły zrzucano na ramiona starego króla, a z nich część na królowę spływała.

Ciekawie, zdala, skrycie spoglądano na ten kątek zamkowy, w którym, jak zakonnica odosobniona, tęskne dni spędzała królowa Jadwiga.

Pokładano ciche na niej nadzieje, że kroplę krwi Piastów miała na tron przywrócić.

Sonka miała dwóch synów i mogła się spodziewać, że korona na kądziel nie zejdzie. Posądzano ją więc... o nienawiść, o pragnienie pozbycia się Jadwigi, która też do tronu miała prawa.

Nowa potwarz miała karm gotową. Gdy król wybierał się jeszcze na Litwę i przejazdem był w Krakowie, spojrzawszy na swą starszą, znajdując ją smutną i bladą, pytał niespokojny co jej było?

Starsze panie, jej piastunki, dwór, spuszczały oczy, nie chcąc i nie umiejąc odpowiedzieć... Szeptali, że chorą była.

Wezwany mistrz Henryk, popatrzywszy na królową, zawyrokował, że to była choroba młodości, z której sam wiek ją uleczy. Wzrost nagły wycieńczył królową, dojrzewanie wyczerpało.

Ale stare kumoszki i złośliwe baby, sądziły inaczej. Gdy królowa błędnąć zaczęła, rumieńce gasnąć, kaszel suchy z piersi się dobywać, szeptały do uszu sobie: otruta!

Ten wyraz na wiatr wyrzeczony przez złośliwe usta, z potwarzy nazajutrz stał się prawdą, pewnością, dowiedzioną rzeczą. Wszakże pierwsze to wypowiedziały te, co tam najbliższej były, co najlepiej wiedzieć mogły.

A któż mógł zatruć królewskie dziecko, jeżeli nie ta, której potomstwu ono groziło odebraniem korony? Mówiąc o truciznie, nie ważono się mianować trucieli, ale z ukosa, znacząco... spozierano w tę stronę, gdzie Rusinka mieszkała.

Księża wzdychając podszeptywali po łacinie: *Is fecit cui prodest.*

Nikt się nie spytał, czy posądzenie było na czym oparte. Królowa w oczach niknęła... bladła, kaszlała, słabła... więc zadano jej truciznę.

Gdy słabość Jadwigi coraz jawniejszą być poczęła, wymyśliły sługi, że w przytomności narzeczonego jej, małego Fryderyka, po wypiciu czegoś dostała mdłości, a potem zaraz poczęła się ta nieuleczona choroba. I... ciągnęła się rok cały... co najlepiej dowodzi, jak ta nikczemna potwarz głupim była pomysłem.

Odpierać jej nikt się nie ważył.

Królowa czuła ją w powietrzu, choć nikt nie śmiał jej o tem uwiadomić. Nie mogąc sama zbliżyć się do chorej, aby posadzoną nie była, bo wiedziała jak jest znienawidzoną macochą, posyłała lekarzy, modliła się do Boga, ażeby cios ten od niej odwrócił.

Ale królowa gasła w oczach.

Chodziła jak cień smutny po zamkowych komna-

tach, ścigana ciekawemi oczyma, oplakiwana zawczasu jak ofiara.

Ofiarą tej fatalności była wistocie królowa Sonka, której los nową boleść gotował, któż wie? może nawet w sercu ojcowskiem najokrutniejsze posądzenie.

Biednej niewiedzie danem było doznać wszystkich męczeństw i wszelkich potwarzy. Potrzebowała męstwa i siły nadludzkiej, aby je znieść, przeżyć i nie upaść pod niemi.

Tej siły tajemnicą były... dzicci. Zbroiło ją macierzyństwo.

Sierotami porzucić ich nie mogła, żyć dla nich musiała.

Jakby dla przedłużenia męczarni, choroba królowej przewlokła się przez rok cały, a były w ciągu niego chwile złudzenia i nadziei, zdające się zwiaśtować ocalenie.

Jadwiga odzyskiwała rumieńce, wracała jej wesołość dziecinna. Uśmiechała się do swych służebnic, chciała żyć i zrywała się do życia.

Ale te ostatnie prądy sił młodych przepływały prędko i uchodziły. Bładła znów królowna, kaszlała i słabła. Trwoga wracała, lzy ukrywane, modlitwy potajemne, przeczucia złowrogie.

Królowa rzadko widywać ją mogła, bo dziewczę niechętnie szło do niej, powracało rozgorączkowane. Wszczepiono jej tak silną nienawiść dla macochy, że nawet łagodność i dobroć Sonki, zwały się obludą i zdradą.

Stare piastunki w oczach królowej czytały wyczekiwanie śmierci, gdy się pytała o zdrowie, mówiono, że się niecierpliwiła, aby jaknajprędzej doczekać końca.

Śmierć też nieubłagana nadchodziła. Musiała się położyć królowna. Cierpiąc biedna, powtarzała może to co słyszała szeptało około siebie.

— Otruto mnie! otruto!

Piastunki co same myśl tę poddały, potem jako

z ust Jadwigi pochwycone, świadectwo, oskarżenie, roznosiły po świecie.

Jednego wieczora stara Femka zapłakana przysła do królowej, ale pytana, przyczyny łez, wyznać nie chciała.

Narzekala tylko na dzień i godzinę, która je tu przyprowadziła, na tę koronę rozpaloną, którą jej pani włożono na skronie.

— O bogdajbyśmy były nie widziały kraju tego, grodu tego i ludzi tych o językach węzów i zmij! Łzami polewamy drogi nasze i poić się musimy łzami.

Femko moja? cóż się stało? — zapytała królowa.

Z gniewem zerwała się, z osychającemi nagle oczyma stara piastunka.

— Niepocziwe te Lachy! Śmia mówić, żeś ty ją otrula! Powtarzają, że ona sama cię obwinia, że to z ust jej własnych słyszały. Brakło nam tego jeszcze!

I załala się łzami. Królowa już nawet płakać nie mogła. Dawniej umiała się wyszlochać i to jej ulgę czyniło, teraz łez brakło... paliły się gdzieś we wnętrzu i piersi jej piekły żarem. Spojrzała pogrążona w myślach na swą starą i poszła do okna z załamanemi rękami.

Dwaj kanonicy krakowscy, ksiądz Adam Świnka i ks. Jan Elgott, codzień prawie odwiedzali królową.

Pierwszy z nich zabawiał ją czytaniem pobożnem, drugi był jej spowiednikiem, doradcą i pocieszycielem. Obaj do niej przywiązani byli wielce.

Ks. Elgotta znała królowa, na myśl jej przyszło, dopóki żyła Jadwiga, odwołać się przez kapłana do jej sumienia, i uzyskać świadectwo, że o otruciu jej nie posądzała.

Lecz dziewczę, w którem żywiono i podsycano nienawiść ku macosze, będzie-li chciało dać świadec-

two prawdzie?? Uwierzą-li ludzie, nawet gdyby je wydała?

Król się jeszcze znajdował w Krakowie. Codzień dowiadywał się troskliwie o swą starszą, donoszono mu, że źle była... i wzdychał smutny. Sonka ukrywała przed nim łzy swe i niepokoje, było ich i tak dość zawsze. Przychodził niemal codzień Oleśnicki, prawie za każdym razem przynosząc gorzkie wymówki i straszne groźby.

Pewien władzy swojej nad królem, biskup go nie oszczędzał. Karciał zdzieciniałego starca jak wyrostka. Czasem krew Litwina na chwilę się zburzyła, oparł się, ofuknął, pogroził, ale nazajutrz upokorzony, przeproszał. Królowa nadto potrzebowała jego potęgi na dziś i na jutro, aby nawet w obronie męża, śmiała przeciw niej wystąpić.

Otoczona nieprzyjaciołmi, w jednym Oleśnickim znajdowała opiekę i obrońcę; w nim pokładała nadzieję, że synów jej przy tronie utrzyma.

Biskup nawykłym był do rządzenia, chciwym władzy, jeśli nie dla siebie, to dla kościoła, a opieka nad małoletnimi i królową, zapewniała mu panowanie na długie lata.

Ale ufając Oleśnickiemu, idąc za jego radami, skarżyć mu się nie śmiała nawet na tę potwarz nową, od pierwszej może straszniejszą, której twórcy ani dośledzić, ani go ukarać było można.

Biskup odgadnąć musiał jej myśli, bo sam rozpoczął rozmowę o Jadwidze.

— Ojcie mój — odpowiedziała królowa ze łzami w oczach — nie o niej nie wiem, oprócz że jest chorą, zbliżyć mi się do niej nie godzi, bom macocha, i jestem posądzaną...

Biskup domyślał się reszty... zadumał się trochę.

— Wezwij, miłość wasza, kanonika Elgotta do siebie — rzekł — mąż zacny, on na to poradzić może, aby królewna sama dała świadectwo prawdzie.

Rada taka była zgodną z myślą samej królowej, utwierdziła ją w tem co zamierzała.

Kanonik Elgott i Świnka byli jedynymi z duchowieństwa, najbliższymi Jadwidze, obudzał w nich liłość żywą ten kwiatek na królewskiego szczepu łodydze, rozwinięty ledwie, a już wiedniejący. Obaj byli ludźmi wielkich zdolności i odznaczała się już wówczas między mistrzami, w bujnie rozrastającej się akademii krakowskiej. Pierwszy z nich, Elgott, więcej teologią, drugi poezją się zajmował łacińską i z niej słynał. Królowa nazajutrz prosić do siebie kazała Elgotta.

Chociaż pobożna i wszystkie obowiązki religijne spełniająca gorliwie, królowa, posadzana o to, że więcej wschodniemu sprzyjała obrządkowi, niezbyt lubianą była przez duchowieństwo łacińskie.

Spozierano podejrzliwie, gdy się żegnała wchodząc do kościoła, bo byli ludzie co utrzymywali, że się żegnać po katolicku nie nauczyła.

Kanonik Elgott bardzo rzadko ją widywał, na zamku się pokazywał tylko dla Jadwigi, zresztą nie miał tu żadnych obowiązków.

Wezwaniu królowej jednak natychmiast zadość uczynił. Chciała mówić z nim na osobności.

— Ojcie mój — odezwała się, gdy weszli do bocznej komnaty — zwracam się do was, jako do ojca duchownego w sprawie tak ważnej a bolesciwej, żebym jej nikomu w świecie zwierzyć nie chciała.

Widzicie postępowanie moje, patrzycie na stosunek mój do królowej Jadwigi... Stoję zdala, aby nie dać powodu do obmowy, a jednak złośliwi ludzie obwiniają mnie, że pragnę jej śmierci, a nawet żem ją zadaniem trucizny przyspieszyła. Powtarzają na dworze, jakoby sama Jadwiga, czując się gasnącą, mnie o to oskarżała...

Bóg świadek, unikałam pozoru... kochałam to dziecko męża mojego, gwałtem je odemnie odepchnięto, w młodem jej sercu szczepiąc nienawiść.

Ojcie mój, zaknijcie ją, jako stróż sumienia, jako duchowny ojciec, niechaj powie, czy może mnie posadzać? Niech z grzechem tej potwarzy nie idzie na sąd boży?

Kanonik cały się wzdygnął z oburzenia, słysząc co królowa ze łzami mówiła.

— Miłościwa pani — przerwał gorąco — ja z ust królownej, która jest aniołem dobroci i cierpliwości, nigdy nie podobnego nie słyszałem.

— Proścież jej, żądajcie niech powie jawnie, że mnie nie posadza, niech ze mnie zdejmie ten ciężar. Przy was w przytomności biskupa uczynione żeznanie ulży jej duszy, a mnie oczyści.

— Pewny jestem, że królowna to uczyni chętnie — rzekł Elgott, poruszony blaganiem. — Dusza to czysta, którą może dla tego pan Bóg chce odjąć ziemi, że na niej, wśród zepsutego świata, życieby jej męczarnią się stało.

Być może — dodał kanonik — iż otaczające ją, rozżalone, a nierozumne niewiasty, obyczajem pospólstwa, niedorzeczności plotą, ale onal!

Westchnęła królowa.

— Niestety — odparła — nie dali mi się zbliżyć do niej, ani poznać jej lepiej... Stawiono umyślnie zapory między nami, ją do mnie zniechęcając, mnie odstręczając od niej.

Elgott powtórzył jeszcze.

Spełnię rozkaz miłości waszej, chociaż sędzę, że takiego świadectwa i oczyszczenia nie potrzebujecie.

— Gorszi są ludzie, niż sądzicie, mój ojcie — odpowiedziała królowa — a ja, więcej mam wrogów niż przyjaciół, choć zła nie wyrządziłam nikomu.

Pożegnawszy królowę, kanonik Elgott pod wrażeniem rozmowy tej, szedł wprost do królowej Jadwigi.

Ta już z łóżka nie wstawiała prawie. Ubierano ją codziennie w białe szaty, trefiono długie jej, piękne

włosy, sadzano potem na łożu, obstawiając wezgłowiami.

Woskowo blada, z oczyma wielkimi, okolonemi obwódka ciemną, uśmiechała się jeszcze czasem do życia, zapominała o cierpieniu, to wpadała w smutek, obawę i zwątpienie o sobie. Pół dnia modliła się sama lub z którym z kapelanów. Białe jej rączki, z długimi chudemi palcami, żadnej już roboty utrzymać nie mogły, najmniejszy wysiłek o młodości ją przyprawiał.

Dwór ciągle otaczał łożę, mieniały się sługi dzień i noc, starając się rozrywać i zabawiać.

Spowiednika swego Jadwiga powitała uśmiechem, dnia tego czuła się lepiej. Kanonik, przemówiwszy słów kilka, dał znak kobietom, aby się oddaliły.

Zdarzało się nieraz tak, że im dla spowiedzi odchodzić kazano.

— Pani moja miłościwa — odezwał się kapłan — dzisiaj przyszedłem do was, aby skłonić do spełnienia świętego obowiązku.

Nastraszona tym wstępem niezwykłym, lekko się zarumieniała.

— Czysta dusza twoja niczem obciążona być nie powinna — mówił dalej. — Ludzie źli dręczą królowę tem, że ją pomawiają o umyślne przyczynienie się do choroby waszej, gorsi jeszcze kłamliwie śmiają twierdzić, że z ust waszych słyszeli to obwinienie...

Byćże to może?

Jadwiga zapłonęła złąkniona i cała drżeć zaczęła, lzy napęłniły jej powieki.

— Nie, nie! — odezwała się głosem, w którym płacz czuć było. — Ja! ani jej, ani nikogo nie obwiniam... Bóg chciał...

Spuściła oczy i zamilkła.

— Miałeś kiedykolwiek powód posądzenia? — rzekł Elgott — bacznie się w nią wpatrując.

Jakby szukała czegoś w pamięci, królewna się ociągała z odpowiedzią.

— Nie! nie! nigdy! — zaczęła mówić prędko.

— Ażeby wyrwać żądło potwarzy — dodał Elgott — należy, abyście to wyznanie powtórzyli w obecności biskupa i mojej.

Jadwiga rzekła cicho.

— Dobrze — mój ojeze — uczynię wszystko co mi każecie.

Nadto przykrym był przedmiot, a udręczenie na twarzy chorej zbyt widoczne, aby kanonik natychmiast go nie zmienił, rozpoczynając mówić o Bogu, o niebie i szczęśliwości wybranych pańskich.

Z rozkoszą zdawała się słuchać, zwrócona ku niemu pilnie dziewczeczka, zapominając o smętnem życiu swoim na ziemi.

Drugiego dnia kanonik Elgott przywiódł z sobą biskupa, a Jadwiga cichym ale śmiałym głosem powtórzyła przed nim wyznanie, że królowej posadzać nie miała powodu.

Wieść o tem rozeszła się po dworze, bo niektóre z kobiet, stojąc u drzwi były przytomne temu i słuchały.

Mogła więc swobodniej odetchnąć Sonka, ale co znaczyło to świadectwo, nie wszystkim znane, obok już rozpuszczonych i zadawnionych pogłosek, które zawsze im poczwarniejsze są, tem więcej zyskują wiary u tłumu.

Niższe zwłaszcza duchowieństwo, nie rozumiejące takich ludzi, jak Oleśnicki, widząc go w ciągłych z królem sporach, strofującym, narzekającym, nabierało wstrętu jakiegoś do Jagielly i jego rodziny. Szerzyło wieści natchnione nienawiścią, nie tylko przeciwko królowej, ale przeciw mężowi jej, którego o obojętność dla swej pierworodnej posadzano.

Zawsze i wszędzie lud bierze stronę słabych i uciśnionych, i tu też całe współczucie zwracało się ku umierającej w kwiecie wicku królcwnie... Tłumy zbiegały się pod zamek dowiadywać o jej zdrowie,

okazywano miłości dla niej więcej, teraz gdy żyć nie mogła, niż gdy żywą była i zdrową.

Na dwa dni przed Niepokalanem Poczęciem, we czwartek lekarze zapowiedzieli zbliżającą się chwilę zgonu. W katedrze na Wawelu i u świętego Michała nieustannie odprawiały się modlitwy. Nieodstępny przy chorej siedział Elgott, a wyręczał go Świnka.

Leżała już obezwładniona, oddychając ciężko, rączką uciskając piersi, rwiąc na sobie sukienkę i nakrycie, ale usteczka jej jeszcze powtarzały za kapłanem modlitwy.

Pokarm wlewano jej w usta, ocierano skronie, godzina ostatnia się zbliżała. W sobotę, w sam dzień Najświętszej Panny, gdy na jutrzni *Te Deum* śpiewano, czysta jej dusza do lepszego uleciała świata...

Na zamku płacz i żal ozwał się głośny, oznajmując królowej i Jagielle, że Jadwiga nie żyła.

Uderzono w dzwoły, duchowieństwo, senatorowie, wszyscy mniej królowej przychylni, nieprzyjaciele jej i rodu Jagiellońskiego, okazwali strapienie wielkie, jakby ostatniego tracili potomka, któremu tron należał... Potwarcy znajdowali, że ojciec i macocha za mało śmierć tę uczuli, że lży nie wylano nad tą mogiłą... Ludność miejska za to cisnęła się ze łzami, narzekaniem, współczuciem do ukwieconej trumienki, którą obok zwłok matki złożono.

Kanonik Świnka zapisał na jej kamieniu grobowym: „Tyś była smaragdem czystym, liliją białości śnieżnej, fiołkiem niebieskiej woni, hyacyntem co wdziękiem gasił róż rurpurę... Gdzie dziś ta piękność twoja? gdzie lica wdzięcznego uroku, gdzie z czoła jasnego promieniejące blaski?... „Spoczywaj dziewico zacna, pod tych kwiatów wieńcem, których zima nie zwarzy, skwar nie spali słoneczny, ani oddechem paszczy krwawej ozionie zapieniony dzik z kłębem krzywym.”

Bogu tylko jednemu wiadomo, co ten srogi dzik ze swą paszczą krwawą miał oznaczać na grobie...

V.

Ciężkie były lata ostatnie króla starzejącego, bezsilnego, w walce ze zbuntowanym Świdrygiellą, z Rusią, z korzystającymi z pory pogodnej dla nich wiarołomnymi Krzyżakami, a w ostatku z panami i duchowieństwem, które cisnących się pod opieką Polski Czechów, dla kacerstwa ich odpychało.

Nauka ta nowa, którą głosili z fanatyzmem dzikim czescy reformatorowie, oręczęm ją i krwią swą popierając, dla takich umysłów jak Jagiello i świeżo nawróconej jego rodziny, dla Rusinki Sonki, dla nieodjrzałego a spragnionego czynu Korybuta, miała wiele powabu. Doniosłości jej wszystkich następstw tego rozbratu z Rzymem, oderwania się od spółki jednego Kościoła wiernych, nie mógł widzieć ani poczuć zestarzały Jagiello. Czescy kapłani gorąco mówiący o Chrystusie, zdawali się głosić czyste słowo boże, ową ewangelią prawdziwą, którą później reformatorowie XVI wieku wywołali rozłam chrześcijańskiej społeczności na dwa nieprzyjacielskie obozy.

Korybut, może potajemnie Jagiello sam, może milcząca królowa mieli współczucie dla tych ludzi, co w zrozumiałym dla nich języku domagali się swobody sumienia, nie znając granic, do których ona doprowadzić miała.

Im uśmiechało się też pewnie i zapowiadane przez husytów wyzwolenie z pod władzy duchowieństwa i Rzymu. Nie widzieli daleko.

Oleśnicki znając usposobienia Jagielly, nieustannie nad nim ezuwać musiał, który jawnie Czechów zachęcał do pojednania z Rzymem, a pocichu litował się nad niemi.

Korybut, który już skąpał się w tej gorącej łaźni

rokoszu religijnego, był jego rzecznikiem przed królem i apostołem w Polsce. On i jego Puhala, zdobywali tu już prozelytów w tych, którym ciążyły dziesięciny, zachciewało się dóbr kościelnych lub bezkarnego plądrowania.

Były to więc dni walki gorzkiej, czuwania nieustannego, obaw i rozdrażnienia obustronnego. Stary Jagiełło pod tem brzemieniem coraz opadał na siłach. Królowa czuwać musiała, patrząc posłuszna w oczy biskupa Zbigniewa.

Jawnie czynną być nie śmiała. Starania jej i zachody zdradzają skutki, lecz nie widać ich nigdzie.

Pokrywa je milczenie i umyślne ciemności. Wszystko się dzieje podszeptem, tajemnym prądem, zabiegami skrytymi.

Im bardziej starzał król, tem pilniej potrzeba było zapewnić synom jego następstwo... Jagiełło nie myślał o tem, ociagał się jak zawsze, odkładał, królowa pobudzić go musiała, aby na święty Wojciech zwołał walny zjazd do Sieradzia. Nie przeciwił się Oleśnicki.

Wybrali się królestwo oboje, bo samego króla Sonka puścić nie mogła, zabrali z sobą synaczków obu...

Król zasiadł na tronie, stanęła przy nim matka z chłopiętami swemi, przed zgromadzonemi z całej Polski panami i szlachtą, prosząc za dziećmi wejrzeniem i uśmiechem.

Siłą a przemocą zawsze w Polsce ciężko było co otrzymać, ale ze serca chwytając, wszystko łatwo przychodziło.

A matka z nieletniemi pacholetami tak wymowną była milczeniem swem pokornem!

Kłaniał się stary król, królowa, ich dzieci, a ci co w Łęczycy posiekali pargamin w kawałki, gdy Jagiełło chciał moc swą okazać, teraz uroczyście, z pokłonem zapewnili pana swego, że spadek tronu krwi jego nie minie.

Sonka z dziećmi wyszła naprzód dziękować i królewicze kłaniali się od ust śląc pocałunki sędziwym panom, a widok tych niewinnych robaczków, kazał zapomnieć na czas, że w nich krwi Piastów nie było.

Włodek, starszy, ośmioletnie chłopię, podobne do ojca z twarzy, miał już prawie rycerską postać, a pięknym był jak niegdyś matka i miecz mu już u pasa nie ciążył. Obiecywał, że wodzem być potrafi.

Szczęśliwie obszedł się ten zjazd w Sieradziu, jechał potem król z żoną i dziećmi do Poznania, aby sobie Wielkopolan zjednać i tu zamiast w Krakowie, wyprawił wesele córce ulubionej siostry swej, żony a wdowy dziś Ziemowita Mazowieckiego, którą dał Bogusławowi książęciu na Słupi.

Emilkę tę, król sam wypiastował na kolanach, rosła w jego oczach, sprawiał jej ochędóztwa różne, cieszył się nią, bo Olga, — Aleksandra albo z dziećmi do króla przyjeżdżała, lub on do Płocka przybywał, przesiadywał tam długo, lubił gościć. W Płocku było mu swobodniej i mógł o troskach królowania zapomnieć.

Królowa nie opuszczała teraz małżonka, a miała słuszne do tego powody. Wiedziane już o nadciągających posłach czeskich, pragnących pozyskać Jagiełłę. Ofiarowali mu oni posiłki przeciw Krzyżakom, aby go z Korybutem pojednać i sprawie swojej zjednać.

Królestwo Czeskie, w tych warunkach, co Litwa, cisnęło się pod skrzydła Polski, pragnęło się z nią zjednoczyć.

Królowa stała w cieniu, nie widać jej tu było, ale czterech biskupów, a w ich liczbie Wojciech arcypasterz gnieźnieński, nie odtrącali Czechów, którzy dowodzili, że ich dotąd ze społeczeństwa chrześcijańskiego nie wyłączono, że z Kościołem pojednać się mogli.

Za tymi czterema biskupami, do których nie na-

leżał bystrzej widzący, sądzący ostrzej Oleśnicki, za wielu panami świeckimi, którzy tylko na pomnożenie państwa i sił patrzeli, stała może królowa, która skłoniła Jagiełłę, że Czechom pozwolił jechać do Krakowa.

Spodziewano się potężnego oporu od Oleśnickiego ale czterech biskupów stało przeciw niemu z prymasem na czele, a król sądził zapewne, że jeden Zbyszek im nie podoła.

Zawrzała przewidywana walka i rozjątrzyła się do tego stopnia, iż mężnemu a nieustraszonemu biskupowi zagładą grożono.

Tarnowski ostrzegł go o spisku na jego życie. Radził mu mieć się na baczności, lub uchodzić.

Biskup mężstwem i zimną krwią, którą pokonał Witolda, zwyciężył i husyckie groźby. Podziękował Tarnowskiemu.

— Bóg zapłać za życzliwą przestrogę — odparł spokojnie — zwyczajów moich zmieniać nie myślę, ani uciekać. Jak co dzień pójdę do mojej sypialni na spoczynek, a gdy na jutrznią do kościoła udać się zecheć, wezmę z sobą jak zawsze, jednego księdza i jedno z latarką pachole. Głowy przed siepaczami nie uchylę. Jeżeli ofiara krwi mojej ma być Bogu miłą, niech ją przyjmie.

Rozbiło się wszystko o tę odwagę niezachwianą.

Widoczniejszym był udział królowej w naznaczeniu tajemnem Zygmunta Kiejstutowicza na przyszłego Litwy księcia, bo Siemion Holszański z jej ręki był tu czynnym.

Napadnięty w Oszmianie Świdrygiełło, żonę porzucawszy, sam uszedł na Ruś, u której miał mir wielki, oderwał ją od Litwy i długą walką Polsce groził.

Królowa ciągle nad mężem czuwać musiała, a teraz gdy dla podeszłego wieku i osłabionego wzroku na wyprawach wojennych groziło mu niebezpieczeństwo, ona czuwała nad tem, aby go oszczędzano. On sam byłby chętnie szedł na wojnę, jak jeździł na ło-

wy, ale drogie dla dorastających synów życie osłaniać musiała Sonka.

Nie poszedł też przeciw Krzyżakom Jagiełło, zastąpili go wyznaczeni polscy wodzowie. Siedział w Koninie, ciągle prawie żonę mając przy sobie, pociągnął potem do Sieradzia, gdzie, korzystając z oddalenia Oleśnickiego, czescy wysłańcy się przybliżali.

W ciągu tej podróży, zabawiając się jak mógł stary pan, przypuszczał ich do stołu, sadzał przy sobie i dawał publicznie apostołować czeskim kapłanom.

W dobrej wierze, mówiących z zapalem o religii, Jagiełło słuchał, nie umiając w niej kacerstwa dopatrzyć. Nierozumiałe były dlań różnice pojęć, a Czesi tak pięknie o braterstwie ludzi i miłości Chrystusa opowiadali. Jemu zdawało się, że tak dobrych chrześcijan Rzym nie powinien był odpychać.

Oleśnicki gniewny, znowu gromić musiał, czynić wymówki i oświecać. Wszystkiem już teraz u schyłku panowania był ks. biskup krakowski. On miecz, oznakę władzy w imieniu króla i Polski oddawał nowemu w. książęciu Litwy, jego w sprawie z Krzyżakami wysyłało na sobór w Bazylei. W chwili wyjazdu, niespokojny o przyszłość Oleśnicki, musiał królowi wyrzucać znowu jego winy, z których największą była starość i zwątłone siły.

Gwałtowną napaść biskupa król odparł niemal ze łzami, ale obraził się śmiałością i odezwał z tem, że większe prawo upominania go miałby arcybiskup gnieźnieński, niż biskup krakowski.

Ale ten biskup miał za sobą wszystkich, król nikogo. Sam nawet arcybiskup Wojciech Jastrzębiec nie śmiał występować przeciwko potężnemu Oleśnickiemu w obronie starca.

Jagiełło, królowa, biskupi, panowie słuchać musieli tego człowieka żelaznej woli i męztwa, ale zarazem gwałtownego i dającego do zbytku czuć, że on tu jeden miał rozum i władzę. Razi niemal to nie-

ustanne Oleśnickiego narzucanie się z gotowością męczeństwa i wstąpienia w ślady Stanisława Szczepanowskiego...

Odetchnął król, gdy ten nieublagany stróż oddalił się, sposobiąc w podróż do Bazylei.

Święta wielkanocne spędził król z królową w Krakowie (1434).

Nadchodziła wiosna, zazieleniać miały lasy. Wielki ich miłośnik starzec, już nie mógł usiedzieć w murach swojej stolicy. Napróżno go tu starała się utrzymać królowa, mająca nad nim więcej władzy, lecz nieśmiejąca zmieniać starego trybu życia, za którym tęsknił Jagiello.

Pozoru do tej podróży w lasy na Ruś dostarczył zjazd w Haliczu ze Stefanem mołdawskim hospodarem.

Ciągnął więc król do swojej ulubionej Medyki powoli, a sprzyjało podróży łagodne powietrze i zdradliwie przyspieszona wiosna.

Lecz, gdy przybył na miejsce, powiało mrozem nagle. Rozwinięte już liście, kwiaty, podrosłe zboża ściał i zwarzył chłodny wiatr północy.

W połowie maja, co się u nas często trafia, wróciła na krótko zima, oziębiło się powietrze, a choć potem błysnęło słońce, ciepło rychło powrócić nie mogło.

Króla jednak, w jego dworcu w Medyce towarzyszący mu panowie, czeladź, komornicy, powstrzymać nie umieli. Rwał się im i prosił do lasu.

W głębiach puszczy chłód nie wszystko zwarzył; ulubione Jagielle słowiki zawodziły pieśni, przypominające staremu jego młodość, Litwę, lepsze czasy.

Już nie na łowy, bo pora nie była po temu, a sił do nich nie starczyło, jechał król tylko siaść gdzieś na kłodzie, wśród gąszczów i słuchać ptactwa, któremu wiosna śpiewać kazała. Tu on mógł i o wiarygodnym Świdrygielle i o biskupie co go tak karmił, o wszystkich niewdzięcznościach i zawodach zapom-

nieć. Marszałek, łowczowie, wierna czeladź, napróżno ostrzegli go, że w lasach wiosenną porą siedzieć niezdrowo.

Niewiele miał już do stracenia, a słowiki śpiewały tak ślicznie.

Dnia jednego pojechawszy z południa w lasy, nie dał się z nich wyciągnąć aż nocą. Noc była przejmująca chłodem, król w jednym swoim starym kożuszką wytartym.

W powrocie dreszcze go porwały, ale na to było jaki ciepły napój mógł poradzić.

Nazajutrz musiał król ciągnąć do Gródka, dokąd na dzień naznaczony posłowie od hospodara przybyć mieli. Zwłóknął się biedny z posłania, i choć zmęczony, a niezdrowy, pojechał... Siadł tam jeszcze z Mołdawanami do stołu w nieopalanej izbie chłodnej, gdy wśród obiadu zimnica strasznie trząść go zaczęła.

Nie można już było na zjazd pewnego dnia naznaczyć, musiał się położyć Jagiełło.

Znana choroba, na którą lekarstw jest tysiące, leczą ją baby, każdy ma na nią niezawodny środek. Nie tracono więc nadziei, że król pomimo wieku swojego wyzdrowieje.

On sam pierwszych dni nie trwożył się wcale. Pojono go bobownikiem i goryczką, zadawano jako lekarstwo wino korzenne. Wszystko to wzmagało gorączkę, ale zimnica uparta wracała.

Sily wreszcie starca opuszczać zaczęły. Strach teraz ogarnął towarzyszących mu... Liczono lata i trudy... Po lekarzy wysłano na wszystkie strony.

Nie było już ratunku.

Znużony życiem, on pierwszy poczuł, że się ono wyczerpało. Dawno mu było tęskno za spoczynkiem.

Zażądał spowiedzi i kapelan Mikołaj kilkakrotnie go spowiadał. Pobożnie przysposabiał się do śmierci, a z wielkim pokojem ducha.

Prosty a dobronaszny, nigdy przed sobą win swych

i słabości nie tał, znał je. Nie czynił się wielkim, pragnął być czystym.

W ostatniej godzinie, ten co tak szczodłą dłonią sypał dobrodziejstwa wkoło, jednym się tylko niepokoił, czy jakich krzywd niewynagrodzonych nie pozostawił po sobie.

Zwracał się ciągle do spowiednika przypominając mu, zaklinając go, aby na duszy jego nie ciążyły łzy ludzi.

— Pożegnaj żonę i dzieci, pobłogosław je ode mnie... Módlcie się za duszę moją, wszystkim wszystkim ko przebaczyłem.

Chciał spocząć potem. Była to noc ostatnia, rozeszli się ci co go pilnowali znużeni. Jeden Janek Słabosz, łączniczy stał przy nim jeszcze, to poprawiając wezglowia, to układając okrycie... a popłakując za dobrym panem, który każdy swój gniew i popędliwość chwilową, sownie opłacał.

Nagle poruszył się król niespokojnie.

— Janek! Słabosz! pójdź sam tu—odezwał się głosem słumionym.

Wierny sługa schylił się ku niemu.

Król drżącemi, bezsilnemi rękami niespokojnie przebierał. Usiłował nadaremnie ściągnąć z palca pierścień, który nie opuszczał go nigdy.

Była to ślubna Jadwigi obrączka.

— Weź ten pierścień—rzekł—najdroższa to dla mnie ze wszystkich pamiątka. Nigdy jej nie zrzucał z ręki. Oddasz pierścień ten Zbyszkowi biskupowi krakowskiemu; niech on ją po mnie zachowa, a niech mi przebaczy, jeśli przeciw upomnieniom jego w uniesieniu opór stawiał. Jeśli go obraził, niech mi zapomni. Jemu polecam pamięć o duszy mojej, królestwo, wdowę, synów... zwłaszcza starszego... oddaję mu w opiekę wszystko, niech pomni, że mu też łask mych nie szczędził.

I znużony, ale uspokojony przymknął powieki.

Noc się zapowiadała wczesnie ostatnią, a była

dni majowych poślednią. Śpiewały jeszcze umierającemu słowiki w drzewach dwór okalających... Izba znowu napelniła się cicho napływającymi ludźmi. Każdy pragnął spojrzeć na dogorywającego i pożegnać go jeszcze. Słabnącymi oczyma on też po jednemu żegnał wierne sługi swoje, niekiedy niewyraźnym jakimś odzywając się do nich słowem. Łzy wszyscy mieli na powiekach, jakby tracili ojca.

Księża odmawiali ostatnie przy konających modlitwy, poruszanie ust okazywało, że je za nimi powtarzał.

Przez okna wciskał się pierwszy brzask dnia, gdy król wyzionął ducha spokojnie, jakby po długich usypiał trudach.

W izbie panowała cisza, przerywana łkaniem przytomnych. Uklękli księża, pierwszy odmawiając Anioł Pański za duszę jego.

Tak skończył marzeniem słowiczej pieśni król ten czystego serca, prostego ducha, który ciężarowi panowania nad siły, nad państwem ogromnem, niejednoczoności jeszcze podolać się starał—i nie mógł. Męczennik biedny, dziecko puszczy, tęskniące za lasami, za swobodą, musiał być niewolnikiem obowiązku, skuty złotą obręczą, która czoło jego opasywała.

Śmierć tego człowieka, który królem już był tylko z imienia, jak grom pełen groźb rozległa się po osieroconym kraju.

Jeden biskup Zbigniew mógł teraz polować ciężarowi bezkrólewia, a ten był w drodze do Bazylei.

Szczęściem i on i kanclerz Koniecpolski zatrzymali się byli w Poznaniu. Tejże nocy gońce biegli do królowej i do niego.

W Krakowie nie dozwalało nawet przeczuwać wieści, która miała spaść na wdowę, król opuścił ją zdrów zupełnie a wesół, bo całe swe życie spędziwszy w nieustannych podróżach po kraju, w drodze tylko czuł się swobodnym, a mógł małymi podarkami i ludzi i siebie cieszyć. Wiosna zapowiadała się piękną.

na, królewicze ze swym mistrzem i dozorcą siedzieli nad książkami lub zabawiali się ochoczo w podwórcach. Sonka cieszyła się nimi.

Nagle po mieście jakby drzenie przebiegło. Głos jakiś niewiedzieć z kąd, niewiadomo przez kogo przyniesiony, rozlegał się—król umarł!

Szeptano sobie z trwogą do uszu tajemniczo, niedowierzając. Kupki ludzi zbiegały się w rynku i rozpraszały po domostwach. Nie można było dośledzić, człowiek czy wiatr przyniósł żałobną nowinę.

Jeźdźców kilku przemknęło się przez miasto ku zamkowi.

W chwilę potem uderzyły głucho dzwony.

Nigdy znaczenie jednego człowieka, w którym naród złożył wszystkie swe nadzieje i losy, który sobą uosabia państwo, silniej się czuć nie daje, jak gdy nagle wodza tego narodowi zabraknie. Może on za żywota nie mieć władzy, stracić moc, przelać ją na innych, w chwili zniknięcia i zgonu zdaje się jak gdyby pękło ogniwo, które wszystko jednoczyło i trzymało.

Królowa Sonka spokojna zajęta była chłopcami swemi, którzy w dolnej komnacie zamkowej przy otwartem oknie siedzieli jeden za księgą z Kotem, drugi z Ryterskim zabawiając się na pół szabelką małą, na pół wielkimi głoskami, które mu ten ukazywał i tłumaczył.

W godzinach nauki królowa przychodziła tak często czuwać nad dziećmi, rozpytywać nauczycieli i słuchaniem uczyć się sama. Księgi i nauki obchodziły ją żywo, знаła ich ważność dla swych synów, a ciągle pobyt wykształconych cudzoziemców na dworze, wpoił w nią potrzebę nauki języków i oświaty w ogóle.

Z boleścią nieraz postrzegała, że Niemcy szczególnie z barbarzyństwa się polskiego wyśmiewali, chociaż u nich też nauka więcej rozpowszechnioną nie była i zamykała się w ciasnem kółku duchownych,

kleryków, pisarzy kancelaryjnych i obcowaniem z nimi wykształconych magnatów.

Postawić synów swych na równi z ludźmi najoświecenijszymi owej epoki, i wogóle krzewić oświatę, której ogniskiem była żywo się rozwijająca akademія krakowska, stało się zadaniem ulubionem królowej, od chwili, gdy dzieci dorastać zaczęły.

Dobroduszna prostota Jagiełły, który musiał się ciągle posługiwać drugimi, wielu rzeczy nie będąc świadomym, budziła w niej pragnienie, aby Włodek i Każko samoistniejszymi być mogli.

Ponieważ wszelka ówczesna mądrość płynęła i zasadzała się na znajomości pisma świętego, a dotąd nie było przekładu jego na język polski, królowa pierwsza, dla siebie i synów z biblij słowiańskiej i czeskiej polskie tłumaczenie kazała przygotować.

Dla niej też wymowny ks. Paweł z Zatora rozpoczął co niedziela kazania miewać na Wawelu po polsku do ludu mnogiego, przysłuchującego się im z uniesieniem.

Gdy który z profesorów akademii potrzebował drogiego rękopismu, udawał się przez ks. Kotą, nauczyciela królewiczów, do Sonki, pewien, że mu ona nie odmówi pomocy.

Naostatek, ażeby zaskarbić sobie u ludzi miłość dla swych dzieci i z litościwego serca, królowa dozwalała, aby ubogie pachołeta z miasta przychodziły śmiało do synów jej po tę jałmużnę dla nauki, która później weszła w obyczaj w Krakowie. Pauprowie z garnuszczkami chodzili od drzwi do drzwi i żywili miłosierdziem pocziwych mieszczan krakowskich.

Lecz zwyczaj ten zrodził się po raz pierwszy na zamku królewskim, pod oczyma królowej, pod jej opieką, za pośrednictwem jej synaczków.

Dopuszczano umyślnie pachołeta na zamek, pod okna tej izby, gdzie Włodek i Każko abecadła się

uczyl, a królowa przez ręce ich rozdawała biednym suknie, bieliznę, obuwie, jedzenie...

Szczególniej sieroty z dalekich stron dla nauki do Krakowa przychodzące, znajdowały tu opiekę, dzieci biedne Szlązaków, Pomorzan i sąsiednich krajów...

Zwykle się gromadka takich obdartusów, na pół bosa, nędznie odziana, skupiała pod znajomem oknem; królewicze uśmiechali się temu biedactwu, a ks. Kot wychyliwszy się do nich, słuchał potrosze egzaminu, aby się przekonać, że to byli istotnie studenci, a nie żebracy uliczni.

Trudno-bo było z powierzchowności rozeznąć paupra od nędznego włóczęgi, tak większa część ich biednie wyglądała, a niejeden przecież z nich doszedł później nauką i pracą do najwyższych dostojęństw. Jak niegdyś w Paryżu, chciwa nauki młodź, w ulicy na słomie legała, byle słyszeć mistrzów sławnych, tak naówczas już w Krakowie tłumy się schodziły, zasłyszawszy, że się tu źródło otworzyło, z którego czerpać mógł każdy.

Szkołki przygotowawcze istniały już po wszystkich kościołach i parafiach, a szczególnie w Krakowskiem było ich mnóstwo. Zaledwie skończywszy w nich początkową naukę, boso, o głodzie ciągnął biedny pauper, do tej „*alma mater*“, która nie odpychała nikogo.

Tu... na bruku, zasypiało się gdzieś pod kościołem, pod murem, u płota, a we dnie z garnuszkciem szedł chłopak wypraszać trochę strawy i weiskał się tak na ławę szkolną, w prostym kubraku i chodaczkach.

Czasem stary jaki ksiądz wziął do posług, przyjąto do bursy, żywiło się jak mogło, byle uczyć.

Pomiędzy temi pauprami były i blade chłopięta, zaledwie wychodzące z dzieciństwa i draby pod wąsem, opóźnione na drodze...

Była to nowa ludność uliczna krakowska, dawniej

nieznana, a teraz się codzień pomnażająca, z którą wkrótce szczególnie nieszczęśliwi żydzi rachować się musieli, bo od nich się studentom kozubales należał...

Ilekoć paupry gromadniej się zbierały pod oknami królewiczów, królowa zawsze wychodziła, każąc nieść za sobą przygotowaną odzież, obuwie, jadło i inne podarki, nawet najdroższy ze wszystkich papier i tabliczki do pisania rozdawano ubogim, ale ks. Kot wprzód słuchał katechizmu i czytania.

I tego dnia wiosennego, królowa Sonka miała przyjemność przypatrywać się obrazkowi ślicznemu rozdawania jałmużny gromadce.

U okna stało z dziesiątek chłopaków, z odkrytymi głowami, niebardzo starannie przyczesanymi, w połatanych kubrakach, sznurkami powiązanych chodakach na nogach, z garnuszkami na sznurkach przewieszonymi przez plecy. Niektórzy z nich jak tyczki od fasoli chudzi a słuszni, inne pędractwo małe, oczy i ręce mieli wszyscy ku oknom zwrócone.

Ks. Kot z królewiczem Władysławem siedział w jednym oknie, Ryterski z mniejszym Kaźmirzem w drugim...

Królowa też stała zdaleka ze sługami, zwykłą niosącymi jałmużnę.

Niektórych pauprów znał już ks. Kot i oni jego, innych zaczepiał, śmiejąc się królewicz. Odpowiedzi na zapytania płynęły z ust gromadki żywo, wszyscy się wyścigali z niemi, śmiejąc, zbliżając śmiało, bo pewni byli dobrotliwego przyjęcia.

Nauczyciel królewiczów dowiadywał się o ich potrzeby. Jedni pokazywali podziurawione opończe, drudzy nogi bose, dobywające się z podartych chodaczek, innych twarze znędzniałe same powiadały, że ich nakarmić trzeba było...

Wyszła stara niewiasta z misą ogromną i łyżką garnuszki im napełniać, a że królewska kasza i kłuski smaczne były, głodne dzieci cisnęły się z garnka-

mi, jedne przed drugimi — a mnie! a mnie! — wołając.

Odzież sami królewicze z okna podawali tym, co jej potrzebowali.

Radość była niezmierna, okrzyki wesołe... a królewiczom też serce rosło, gdy się tak miłosierdzia uczyli, choć mieli je ze krwi ojca, i dla nich nie było szczęśliwszej godziny nad tę, gdy rozdawać mogli...

Już się rozchodzili pauprowie, podskakując i ciesząc z obłowu, a niektórzy po drodze garnuszki swe opróżniać zaczęli, królewicze wracali do nauki, a królowa Sonka weszła do swych komnat, których okna także na podwórce patrzyły, gdy postrzegła zamęt na nich jakiś niezwykły.

Ludzie się zbiegali, kilku konnych wjechało i opodal z koni zsiadłszy, rozpowiadali coś nadchodzącym. Czładź podnosiła ręce i chwytiała za głowy. Ze wszystkich drzwi zaczęli się wysuwać komornicy ciekawi i skupiali w gromady...

Inni ledwie tu schwyciwszy coś od przybyłych, pędem powracali na zamek...

Nie usłyszała jeszcze królowa nic, lecz serce jej uderzyło jakimś przecuciem, zakryła sobie oczy.

Wewnątrz szeptał głos jakiś natarczywy, okrutny.

— Król umarł!

Stała tak osłupiała oczekując, pytać nie śmiejąc, drżąc, nie przywołując nikogo. Wolala tę chwilę niepewności przedłużyć, niż wyrok usłyszeć straszny, którego się lękała.

Po korytarzach zamkowych tętniało bieganie, szepoty i wykrzyki ją dochodziły, ale drzwi stały zamknięte i do niej nikt nie przybywał.

Serce coraz żywiej biło w piersiach królowej.

Zdawało się, że wszyscy ją odbiegli, zamiast się skupić koło niej.

W podwórcach gromadziło się coraz więcej ludzi, szmer coraz się wzmagający je napełniał. Królowa

musiała wesprzeć o krzesło, bo ustać dłużej osłabła nie miała siły... Zdawało się teraz, że z dziecińców przez okna otwarte, z wiosennym powiewem, płynęły głosy powtarzające:

— Król umarł!

Ręce miała załamane, spuszczone, głowę na pierśi zwieszoną, jak winowajca oczekujący głosu sądziego.

Otworzyły się drzwi nareszcie, blady, wzruszony ochmistrz dworu jej, Nałęcz Małski, wszedł i jakby się przybliżyć nie śmiał, został u progu.

Królowa chciała go spytać i już otworzyła usta, gdy z niedomkniętych drzwi ukazał się występujący śmielszym krokiem kanonik Elgott, ale i na jego twarzy wyryta była boleść i przestrasz.

— Woli Bożej i zrządzeniu Opatrzności poddać się musi wszelkie stworzenie—rzekł głosem drżącym. Módlmy się za duszę pana naszego; król umarł!

Słaby okrzyk wyrwał się z ust Sonki. Oczyma potoczyła dokoła, jak gdyby szukała dzieci. Właśnie ks. Wincenty Kot, obu chłopców do izby wprowadził. Strwożone i zapłakane królewiczą szły ku matce... Starszy łzy cisnące mu się połykał...

Obu ich jednym uściskiem objęła królowa, przytuliła do piersi i dopiero wybuchła jękiem i płaczem.

Mistrz Wincenty kazał uklęknąć wychowańcom, ukląkł sam i za duszę króla modlitwę głośno odmawiać zaczął. Padła na kolana królowa i twarz ukrywszy w dłoniach, szlochała milcząca...

Wtem na Wawelu i po mieście całym zaczęły bić dzwony.

W godzinę potem, z oschłemi, nabrzmiałemi oczyma siedziała Sonka z dziećmi w głębokich myślach pogrążona.

Męstwem wielkiem musiała swą żalność i ból opanować, aby czuwać i bronić dzieci, zyskać im opiekunów, zapewnić spadek po ojcu.

Wszystko od niej zawisło, na jej ramionach ciążyło...

Uchwały szlachty, jej obietnice, nadzieje, mogły się rozbić o jeden zjazd burzliwy, ulecieć z jednym namiętnym okrzykiem.

Ona tu stała osamotniona, obca, wpośród tłumów obojętnych, wśród zażartych nieprzyjaciół, z niewielką garstką ludzi, na których liczyć mogła. Lecz na czele tych, co jej przyrzekli koronę dla starszego syra, stał przepotężny biskup Zbigniew...

Z nim i za nim szli rodzony jego Jan marszałek koronny, stryj Dobiesław, Jan stryjeczny, Topory i Leliwy spokrewnione, Koniecpolscy i Tarnowscy, cała niemal Małopolska i znaczna część Wielkiej Polski...

Goniec pędził i ztąd do Poznania do Zbyszka biskupa — Weź wszystko w swe dłonie, ratuj!!

VI.

Pędził gościńcem orszak rycerski, ku Rytwianom zmierzając, wiosennego wieczora czerwcowego, tak jakby szło mu o gardło z pośpiechem...

Koni było wszystkich z dziesiątek, a ani one, ani ci co je dosiadali, nie odznacжали się wielką wytwornością stroju i uzbrojenia...

Zbierana to była naprędce drużyna i pod owe czasy, gdy na gościńcach i gonitwy za podróżnymi i zasadzki na nich nie były rzadkie, można było po-

sądzić gnających w tumanach kurzu, ladajako zbrojnych jeźdźców, że za jakimś łupem pędzili.

Na czele ich, niestary jeszcze, słusznego wzrostu, straszliwie blade i wynędzniały, skóra a kości, biegł szalonym cwałem człowiek z oczyma płonącemi ogniem, na którego spojrzawszy, pomyśleć było można, że wstał z grobu... Na twarzy miał wypiętnowany szal jakiejś żądz, pomsty, chciwości, pragnienia nienasyconego...

Pomimo wychudzenia, schorowania, ta koścista postać rycerza, na którym zbroja wisiała, mimo kaftana luźno, i zsuwała mu się z rąk i piersi, ogromną siłą była obdarzona, bo ludzie co za nią w ślad gnali, ledwie podolać mogli jej w pędzie, a koń smagany zdawał się pod razami i ostrogami ostatnich dobywać sił, by starczyć woli okrutnej jeźdźcy.

Rytwiański zameczek już widać było, brzegi Czarnej, i miścinę gdy dwóch ludzi spokojnie na koniach jadących przeciw sobie spotkał czwający pan.

Byli to dworscy słudzy pana Dersława na Rytwianach Jastrzębca, synowca arcybiskupa gnieźnieńskiego Wojciecha.

— Jest pan doma? — rozległo się gromkim głosem przy spotkaniu z nimi, i jeździec zwolnił nieco koniowi.

Dwaj młodzi a strojni bardzo wykwinie komornicy Dersławowi stanęli. Jeden z nich krzyknął głośno bardzo:

— Niema!

Cała gromadka, która ogromny tuman kurzu pędziła, zatrzymać się zaczęła. Chudy i bladej jej przywódzcy, rozpaczliwym, wysiłonym głosem, zwracając się do stojących, zawołał:

— Gdzież się dziewa u kata?

Dworzanie dziwnie spojrzeli po sobie, milczeli zrazu, nie wiedzieli spełna, czy odpowiadać mieli. Coś ich wstrzymywało.

— Gdzież jest? gdzie? mnie go na gwałt potrze-

bal! — powtórzył nagle jeździec, którego koń dychał ledwie i rozparł się, jakby już dalej iść nie chciał.

Jeszcze dworzanie patrzeli po sobie, i zdawali się chcieć naradzać, gdy nieznany ów mąż, z wielką jakąś namiętnością konia zmusił, aby się zbliżył do stojących, natarł i groźnie wołać zaczął.

— Mówcież! Co wam gęby zamalowało! Pana waszego przyjacielem jestem nie wrogiem, widzieć go potrzebuję, muszę... Dobędę go, gdziebykolwiek był.

Domaganie się było tak natarczywe, że śmielszy z dwu, popatrzywszy na towarzysza, odparł wreszcie:

— Pan nasz w Orzelcu jest!

— W Orzelcu! — powtórzył, oczyma błędnemi wodząc do koła jeździec — w Orzelcu...

Spojrzał na konia swego, na tych co jechali z nim na szkapach równie zhasanych, i westchnął ciężko, mówiąc do siebie:

— Licho go do tego Orzelca poniosło!!

Ręką się chwycił za włosy, ramionami dźwignął i nie spojrzawszy nawet na dworzan, którzy mu się z nadzwyczajną przypatrywali ciekawością, wolno, stępią powlókł się ku miasteczku.

Dworzanie pana Dersława stali jeszcze na gościńcu, gdy kupka jezdnych, która ich zatrzymała, oddała się i za wierzbami nad groblą znikać zaczęła.

Tuż niedaleko była miejscina, a ponad nią nowo zbudowany gródek na pagórku. Wiedząc, że pana nie zastanie w dumu, popędliwy ów podróżny wprost szukał gospody w mieście, a była tylko jedna. w której z biedy konie pokarmić i wiązkę siana pod głowę dostać było można. Rzadko kto wówczas z rycerstwa i szlachty gospody potrzebował. Stawiano je dla chłopów i włóczęgów. Szlachcie, pan, wprost do dworu mierzył, pewnym w nim będąc gościny, duchowny zajeżdżał na probostwo. Szlachcieci też zasiąść za stół tam, kędy chłopstwo uczęszczało i la-da jaka gawiedź, nie godziło się.

Z konia się zsunawszy podróżny ani nań spojrział, ani się troszczył o ludzi co z nim jechali, krokiem jakimś chwiejnym wyszedł przed gospodę, której wrota na obszerną, pustą dawały targowicę. Pasło się na niej kóz kilka i chuda krowa. Zdala dzieci bosych w czarnych koszulinach widać było kilkoro kryjących się za węgly.

Nie było się tu eżemu przyglądać, lecz w dali niewielkiej, za miasteczkiem drogę i wrota do zamczku miał przed sobą.

Drogą tą właśnie jechał jak on zbrojny mężczyzna, kilka koni mając za sobą. Wydało się to może dziwnem patrzącemu, że z zamku, w którym pana nie było, wyjeżdżał ktoś pańsko dosyć i strojno.

Ten też najrzawszy zdala zbrojnego mężczyznę w gospodzie, wpatrywał się w niego jadąc, ale kroku nie przyspieszając. Oba byli sobie ciekawi.

Z zamku jadący miał butną i dziarską postać. Człek był młody jeszcze, ogorzały, rysów twarzy pospolitych, ale rycerskiego i zuchwałego wyrazu. Wąs mu się jeżył w górę, a oczy siwe, duże, lśniły odwagą.

Drgnął patrzący nań, rękę przyłożył do oczów. Właśnie tamten, wolno jadąc się zbliżył.

Stojący przed gospodą zawołał nań głosem zmęczonym.

— Kuropatwa!...

Zatrzymał się powołany, oczy w niego wlepił i dodał:

— Jaszko z Łańcuchowa, służby powolne! a któż wy?

— Nie poznaliście mnie?

Kuropatwa głową pokręcił.

— Na Bogal Jan Straszł ja jestem!... Jan Strasz. Łańcuchowski pan stanął zdziwiony i zszedł z konia prędko.

Straszł — I zbliżywszy się począł mu się przypatrywać.

— A co? prawda? — wyjąknął Strasz — widzisz! widzisz! co się ze mną stało! Co oni zrobili ze mną!! Czym podobny do żywego człowieka, czy do trupa? Trupem już byłem i z tamtego świata powracam...

Stali chwilę przeciwko sobie milczący, głowami potrząsając. Bolesć nie mogła długo tłumiona w piersi Strasza się zamknąć. Wybuchnął znowu namiętnym głosem.

— Strasz jestem... czy cień Strasza... Trzymali mnie zbóje na dnie wieży w Sandomierzu, czekając rychło li ducha wyzionę. Jan z Czyżowa dobrym starostą grodowym!! Głód, chłód, smród, wszystko przeciw mnie obrócił, abym tam zdechł. Nakoniec z wielkiej łaski, gdy były najcięższe mrozy, przysłał mi kociołek węgla na dno wieży... a węgle mnie o śmierć niemal przypawiły. Dobyli potem z wieży skostniałego, ledwie cudem do zdrowia powrócił.

Podniósł chudą, kościstą dłoń do góry.

— A no żyje Strasz! żyje! a gdy się na królu nie może pomścić, bo go niema już, pomści się na królowej za kaźń swoją, na dzieciach jej, aż do...

Głosu mu zabrakło, zadławił się złością swoją.

Kuropatwa słuchał zimno.

— Toś ty pewnie do Dersława jechał, czując w nim sprzymierzeńca? — zapytał.

— Nietylko z nim ale z djabełmbym się związał dla pomsty! — krzyknął Strasz.

Krew mu chudą twarz zalala i stał się straszny namiętnością.

— Gdzież Dersław? W Orzelcu? — spytał.

— Mówią że w Orzelcu — odparł Kuropatwa chłodno. — I jam go szukał. My też myślimy z drugimi, o których pewnie wiesz, przeciw klechom i temu biskupowi, co tu nam na głowach chce kolki ciosać, wystąpić...

— Ja z wami! ja z wami! zmiłuj się Jaszko — namiętnie począł Strasz. — Dawajcie co robić! mówcie gdzie iść. Głowę poniosę... byle pomstę mieć.

Spokojniejszy Kuropatwa słuchał tych wybuchów dosyć obojętnie.

— Mnie się widzi, że my tu oba do tych Rytwian i do Derśława darmośmy się śpieszyli — rzekł ciszej. — Juściż nie przeczę, pójdzie on z nami, ale tego człowieka prowadzić trzeba i...

To mówiąc obejrzał się Kuropatwa i dodał:

— Wnijdźmy gdzie pod dach, trzeba się rozmówić. Ty niedawno z wieży, tyle tylko wiesz, żeś zemsty głodny, a gdzie jej i jak szukać, nie obmyślałeś. Zdasz się nam i my tobie. Droga mi niepilna. Chodźmy gdzie do izby.

Ludzie Strasza, nawykli pewnie do tego, już dla swojego pana komorę jakąś oczyścili, wyrzucili z niej gospodarza, rupiecie jego, dwoje dzieci i właśnie na pościel siano nieśli, gdy Kuropatwa ze Straszem na próg wstępowali.

Przybyli rzucili się na siano. Strasz kazał podać podróżną baryłkę, bo był zmęczony i spragniony, a Jaszko mówić zaczął.

— Króla nie stało w samą porę, Zbyszek w drodze był do Bazylei...

— Tak — przerwał gwałtownie Strasz — właśnie miał z Koniecpolskim nazajutrz puścić się w podróż i bylibyśmy mieli prawdziwe bezkrólewie, gdy lichy nadało, że go z Grodna goniec z wiadomością o śmierci króla napędził.

— Toć wiem — zawołał Kuropatwa.

— A tego nie wiesz, co chytry klecha uczynił. Ja ztamtąd jadę! — rzekł rzucając się po sianie Strasz. — Jednej godziny nie stracił. Śmierć króla, to na jego młyn woda! Małoletni królik, matka posłuszna... czego żądać więcej?

Zwołał natychmiast w Poznaniu zjazd ze swoich i uwinął się tak, że już tam, na razie, nie pytając Krakowian, bo on ich wszystkich ma w garści, ogłosił dziecko królem i naznaczyli dzień koronacyi!!

Strasz się zerwał z siana równemi nogami.

— Co mybyśmy byli warci, żebyśmy na to pozwolili? — krzyknął. — Zwołali oni zjazd do Poznania ze swoich, my się postaramy o inny, a dzieciom tej Rusinki nad sobą panować nie damy!

Nie damy! nie damy! — coraz głos podnosząc wołał Strasz.

Kuropatwa nań patrzył uważnie.

— Dałby Bóg — rzekł. — Nam nie o te dzieci idzie, czy one nam, czy tam jakie inne panować będą, ale o daleko większą i ważniejszą sprawę. Patrzajcie na Czechy, co się z pod biskupów i klechów, z pod dziesięcin i panowania rzymskiego wyzwoliły. Dosyć oni nam przewodzili... Kto u nas panem? Ani król, ani senatorowie, ani szlachta, tylko księża, biskupi z papieżem... a czem my? niewolnikami. Nie! nie! my musimy u siebie ten porządek zaprowadzić co Zyska i Prokopy w Czechach!!

Strasz nawzajem tego wyznania wiary busyckiego tak obojętnie słuchał, jak Kuropatwa jego mściwych pogroźek. Łączyło ich widocznie jedno tylko, że oba przeciwko królowej, jej dzieciom i biskupowi, co się niemi opiekował, równie byli rozsierdzeni.

— Cóż Dersław? — zapytał Strasz — będzie on z nami?

— Pewnie — odparł Kuropatwa — i jam jechał do niego, aby się o tem ubezpieczyć, ale ja na długi czas nie rachuję byśmy go z sobą mieli. Szalona pałka — mówił dalej — a na takich, jak on ludziach, polegać nie można.

— Dla czego? — spytał Strasz.

— Tyś na dnie wieży siedział — ciągnął Kuropatwa — a co Dersław dokazywał, mało do ciebie doszło.

Poruszył ramionami.

— Rozmawiał on się w ślicznej Ofce, córce Bolka księcia mazowieckiego i szaleje za nią. Dla niej na wszystko gotów, a reszta dla niego nie znaczy nic. Dziewka prawda jak anioł piękna, no i księżniczka,

ale gdyby prostą była chłopianką, szalećby za nią warto. Derśław rozum stracił... majętności jakie miał wszystkie poszły na tę miłość, ale arcybiskupa mając w rodzie, który umie grosz do grosza ściągać i skąpi kościołowi, aby swój ród dźwignął, nie zabraknie Derśławowi...

Śmiać się począł Kuropatwa.

— A wiesz co on w Orzelcu robi?

— Kat go wie. — odparł niechętnie Strasz.

— No, i ja też wiem — mówił Kuropatwa. — Orzelca mu arcybiskup nie puścił przecie, a on go zajął, wiesz dlaczego?

Tu Jaszko z Łańcuchowa za boki się wziął i ze śmiechu mówić nie mógł. Musiał długo zachodzić się tak, na co Strasz dziwne oczy robił, nim dalej opowiadać począł.

— Stary arcybiskup skarby ogromne zebrał, to wszystkim było wiadomo, ale gdzie je chował, o tem wiedziało dwóch tylko... Jednym z nich był ten uko-chany synowiec... Wojtuś w Orzelcu piękną fundował kaplicę na zamku, wrzekomo na chwałę Panu Bogu, a w istocie dla swoich grzywien złota i srebra... Gdy się Derśławowi przebrało do ostatniego denara, a Ofki nie dostał i dalej musi dworować koło niej... pomyślał sobie, że jużci staremu arcybiskupowi stryjowi zakopane skarby na nic, a nikomu one przeznaczone tylko jemu. Otóż Orzelce zajął, posadzkę w kaplicy wylupił i grzywny dostał.

Strasz ramionami ruszył.

— Żebyż ich choć na dobrą sprawę, a nie dla tej dziewczki użył — zawołał.

— Mówili mi — dodał Kuropatwa — że arcybiskup dziś miał ciągnąć z wojskiem swem Orzelce dobywać, a Derśław się zaprzysiągł, iż gotów zamku bronić do upadłego.

Po chwili milczenia, której zadumany i w sobie pogrążony Strasz nie przerywał, Kuropatwa dokończył.

— Widzisz, że z tego Dersława my pociechy wielkiej spodziewać się nie możemy. Stanieć on z nami, choćby na przekorę stryjowi. ale ja mu nie wierzę. Arcybiskup się z nim przejedna, wezmą go na jaki lep, i jeszcze do nich przystanie.

O wiarę mu nie chodzi, o to kto królować będzie, niewiele, by mu Ofkę dano i pieniędzy dużo... A Ofki on nie dostanie i pieniędzy, gdyby sto tysięcy grzywien złota mu dać dziś, prędko je puści.

Zżymnął się Strasz.

— Jak nie Dersław, to któż z nami? — zapytał.

— Ja, choć łbem o ścianę, pójde dokąd każecie, ujadąć się będę, a tych pacholąt Sonki nie puszcze królować. Ja wszystko dam, żywot położę... ale ja jeden, wy, a choćby i Dersław trzeci, mało nas na Zbyszka.

— Jest bo więcej — odparł Kuropatwa. — Ja niewiele zrobię, wy, gdyście z gardłem gotowi, może więcej, przecie inni też nasi coś warci.

— Jacy? — zapytał Strasz.

— Myślisz, że Abram (Zbąski) sędzia poznański — mówił Kuropatwa — mało znaczy i w kaszy go łatwo zjeść? A Spytką z Mielsztyna, a Janką z Rogowa, Działoszę?

Strasz się strząsnął.

— A ten nam na co? toć to tego łajdaka Hinczy powinowaty?

— Ale dlatego pójdzie z nami — mówił spokojnie Kuropatwa. — A Jana Mężyka Dąbrowę za nie liczysz, a wojewodę Sędziwoja z Ostroroga, a Piotra Korczboka...

— Aż tylu! ho! ho! — weselej przerwał Strasz. — Aleście ich pewni?

— Jeszczem Mikołaja Kornicza nie dołożył — kończył Kuropatwa — a ten dzielny jest i nie ułęknie się.

— Ja z wami! z wami! — począł Strasz zamyślony. — Rozumiem to, że wam o co innego niż mnie

idzie, ja tego plemienia nie chcę, ja tej królowej rad-
bym krwawe łzy wycisnąć, wy się potykacie z kle-
chami... ale mi wszystko jedno, bylebym miał sprzy-
mierzeńców.

Wyciągnął chudą rękę Kuropatwie, który ją ujął
i potrząsnął.

— Nasza sprawa święta — odezwał się Jaszko
z Łańcuchowa. — Dobijaliśmy się ciężko swobód dla
siebie, za króla Loisa, przy wstąpieniu na tron Li-
twina, za panowania jego, gdyśmy w Łęczycy par-
gamin rozsiekali, a to się wszystko na nic nie zdało...
Klechy prawa tak pisały, że im się tylko swoboda
i panowanie dostało, a nam dziesięciny i niewola...
Czechy nam przykład dały... Raz trzeba się z jarzma
ich wybić.

— A królowa ze swojemi..... niechaj rusza z ką-
d przybyła — dokończył Strasz.

— I biskupa Zbyszka jej dodać za opiekuna —
rzekł Kuropatwa...

Strasz po izbie żywo się przechadzać począł.

— Z tym człowiekiem sprawa będzie trudna —
rzekł. — Zmógł on wielu, boją się go.

— Do czasu dzban wodę nosi — wtrącił Kuro-
patwa. — Z dobrodudem Jagiełłą łatwo mu było...
z nami przyjdzie trudniej, tamtemu Rzymem groził
i papieżem, a my się ich lękać nie będziemy.

— Rzym przecie całem chrześcijaństwem włada —
zamruczał Strasz...

— Was jeszcze na naukę słać trzeba do Czechów
rozśmiał się Kuropatwa. — Znać, żeście w wieży sie-
dzieli, a nie wiecie co się w świecie dzieje. Husy-
tacy dobrzy chrześcijanie, jak i ci co papieża słu-
chają.

Zatopiony w myślach Strasz, nie do rzeczy za-
kończył.

— Byle królowę precz wypędzić, a Hincę z Ro-
gowa powiesić, róbcie sobie zresztą co chcecie.

Siedli na sianie wygadawszy się, spokojniejsi już,

ale Kuropatwa gorący zwolennik hussytów, choć rozmowa wyczerpaną była, apostołować nie przestał.

— Patrzaj ino — mówił — gdybyśmy my dziecięcin nie dawali, a te ogromne dobra biskupie, kanonice, klasztorne pozabierali, nie byłoby nam lepiej? Duchowieństwo prawi o ubóstwie, niechaj żeby nas nauczyło przykładem, jak się postem i jałmużną żyje.

Strasz się skrzywił, nie chciał się w dysputę wdać i zamknął powtarzając swoje.

— Byle Rusinka ze swemi dwoma pędrakami szła precz.

— Ty jedno to masz na myśli! — rozśmiał się Kuropatwa.

Noc się zrobiła, wstał Jan z Łańcuchowa, przeciągnął się, oknem wyjrzał i pokiwał głową.

— Chyba do dnia podnucuję z tobą — rzekł — bo dalej w drogę po ciemku mi się nie chce. A ty dokąd ztąd myślisz?

— Do Dersławam ciągnął — odpowiedział Strasz — a widzę, że tu robić nie mam co... Pojadę gdzie każecie, gdym się raz z wami na jedną służbę wpisał. Wszystko mi równo dokąd, byle przeciw królowej i Zbyszkowi, a tych dzieciaków niedopuszczyć.

Zamyslił się Kuropatwa.

— Zbyszek zwołał do Poznania zjazd i tam samowolnie króla nam narzucił, my musimy drugi ściągnąć. Szlachtę wielkopolską i Małopolan trzeba żgać, aby się biskupowi wodzić za nos nie dała. Jedź z tem po ludziach!

— Ja jeden! — spytał Strasz.

— Nie będziesz sam, przyjdą w pomoc inni — mówił Jaszko z Łańcuchowa — ale ty się też przydasz, boś człowiek gorący i nie dasz się niczem ująć.

— Tego pewni być możecie — zawołał Strasz — jakom żyw i pókim żyw, zemsty im mojej nie podaruję.

Gwarzyli tak do rana prawie, a gdy się zdrzem-

nęli zaledwie, zbudziło ich wołanie, wrzawa i skrzypienie wozów przed gospodą. Strasz, który się nie rozdziewał i ciągle był w gorączce jakiejś, wybiegł do wrót.

Dniało już, a gościńcem podle gospody. wiodącym na zamek ciągnęły wozy ładowne i ludzie zbrojni, trochę podpiłi, zagrzani, śmiejący się, jakby wyprawa się bardzo powiodła pomyślnie.

Za szeregiem całym wozów, na których widać było skrzynie, wory i sprzęt różny, jechał w orszaku kilkunastu towarzyszków Dersław z Rytwian, którego Strasz poznał zdaleka.

Łatwo go było wśród wielu rozeznąć, bo postawą i twarzą nie miał sobie równego naówczas, choć młodzień wychowana inaczej, cała była rzeźką i kwitnącą. Celował wśród niej sławny ze swej męzkiej urody Jastrzębczyk, chłop tęgi, silny, jasnowłosy, niebieskooki, tak pięknych rysów twarzy, iż mu się dziwowali wszyscy, a napatrzeć nie mogli. Miał w sobie coś szlachetnego, pociągającego, ale też i szalenie butnego a śmiałego. W stroju rycerskim porównywano go do obrazów św. Jerzego bojownika. Wiedział on pewnie o tem, próżnym był tą pięknoscią swą i stroił się z prawdziwie pańskim przepychem, a secinami grzywien zbroje francuzkie i hiszpańskie, suknie szyte, ozdoby dla siebie i koni swych przeplacał.

Wszystek też jego dwór zawsze musiał być do miary z nim przybrany wytwornie, na co kosztu nie żałował.

Przyczyniało się do tego zamięłowania w zbytku, staranie o względy pięknej Ofki księżniczki mazowieckiej, której już znaczną część majątności poświęcić musiał... zabiegając o jej łaski, a nie chcąc się nikomu dać zaćmić... weszło potem w nałóg to życie pańskie, otaczanie się dworem licznym, sadzenie na koniec na drogie suknie, coraz inne i wspanialsze a wytworniejsze coraz.

Cała gromada powinowatych, uboższych Jastrzęb-
czyków z Mazowsza, otaczała go i składała dwór, na
wzór pańskich ułożony. Miał marszałka, podkomorze-
go, podczaszego, łowczego, koniuszych, a nawet kle-
chę, który pisał za niego i listy mu układał. Był
i cytarzysta i śpiewak nadworny.

Chociaż się jeszcze z księżniczką nie ożenił i roz-
sądni ludzie powątpiewali, czy mu ją dadzą, mimo
że miał stryjem arcybiskupa, już po książęcemu wy-
stępował. Był przy tem zuchwalstwa i śmiałości nie-
słychanej, a w naturze to miał, że im mu się co
trudniejszym wydawało, tem uparciej się za tem
uganiał.

Jechał Dersław na koniu pod kapą, jakiej drugi
chybaby na uroczysty dzień zażył, kosztowną i piękną,
z ręką w bok, podniesioną głową, uśmiechnięty i try-
umfujący.

Ponieważ zaledwie dniało, a pod wrotami gospo-
dy niedobrze było można Strasza rozeznąć, i chudą
tylko jego postać dojrzał Dersław przypatrującą mu
się pilnie, podpędził konia tuż, pochylił się i wy-
krzyknął.

— Upiór czy żyw! Strasz...

— Jam jest, a zaprawdę nie wiem sam, czym ży-
wym czy upiorem, bo oto z grobu tego w sandomier-
skiej wieży się wydobyłem...

— Cóż tu robisz?

— Przybyłem do was!

— I w gospodzie stałeś! Zabieraj się a żywo na
zamek do mnie... Ja cię odkarmię!

Rozśmiał się powtórzywszy—Bywaj rychło—konia
ścisnął biegnąc ku zamkowi.

Strasz wnet rozbudził Kuropatkę, i kazawszy ko-
nie na zamek prowadzić, sami pieszo za Dersławem
zdążali.

Zameczek był nowy prawie, mały, ale bardzo
pięknie zbudowany. Znać w tem było rękę arcybi-

skupa, który co tylko czynił, wykonywał z myślą o przyszłości i dbał, by dla oka było piękne.

Gotyckiej budowy, z komnatami niezbyt wielkimi, ale pięknie zasklepiionemi, malowanemi i złoconemi, wyglądał jak cacko, bo Dersław go dla siebie z przepychem przyozdobił.

Marnotrawny panicz nie żałował na to stryjowskich oszczędności sam na nie pracować nie potrzebując.

Tam gdzie malowań nie było po ścianach, wsporniale okrywały je opony, a wszędzie gdziekolwiek police i szafy stanąć mogły, gromadziły się przepyszne złociste, srebrne, miedziane i cynowe naczynia. Jedna izba na zbrojownię wyglądała, cała zawieszona orężem, w innej szkarlatem, aksamitem i złotogłowy okryte siedzenia, na koniec i rzędy sadzone były ustawiane.

Gdy Strasz z Kuropatwą weszli na zamek, służba liczna a przygotowana na przyjęcie pana, już stoly zastawiała. Dersław zrzucając zbroję i zmieniając suknie, w stroju cudzoziemskim, wytwornym jak wszystko cokolwiek nosił, na wpół siedział, wpół leżał w krześle wyciągnięty, kręcąc węża i wydając rozkazy. Towarzysze jego stali dworując mu dookoła.

Nie ruszył się na powitanie Strasza i Kuropatwy, ręką tylko dając im znaki.

— Wracam z tegiej wyprawy i rozprawy—począł śmiejąc się do nich—i choć nawykłem do niewczasu, ale wszystkie kości w sobie czuję.

To mówiąc ręce podniósł.

— Musieliśmy do wojsk stryja arcybiskupa, którym bodaj on sam dowodził, dać ognia! Była to fatalna konieczność. Nie mogłem go wpuścić do Orzelca, bo by mi skarb swój wydarł, a ja go zaprawdę lepiej niż stary ten grzyb, użyć potrafię.

Daliśmy więc z jednego działła, strzał pusty, na postrach... i arcybiskup z całem wojskiem swem, z pod murów własnego zamku, pierzechnąć musiał. Widziałem

go jak stojąc na wozie, ręce podniósł i oczy sobie zakrył potem... Nie kusili się już o odzyskanie Orzelca...

Ale ja go stryjowi oddam, bramy zostawiłem otwarte, teraz gdy dobyłem z gniazda złote jaja!!

W Rytwianach grzywnom jego weselej będzie, niż pod zimną posadzką w orzeleckiej kaplicy.

I rzucił a śmiał się pan Dersław.

— Powiedzieć nie tęgom się ja spisał? nie dobrze postąpiłem? Szczuryby były grzywny rozniosły, a ja ich tak bardzo potrzebowałem...

— Powinszować — przerwał kłaniając się Kuro-patwa — obłowileś się dobrze, będzie za co weselić przy pięknej Ofce! Wszystko to dobre, a jednak, gdybym ja na waszem miejscu był, nie cieszyłbym się bardzo. Ma arcybiskup pewnie dwa albo i trzykroć tyle co w kaplicy zakopał, i na krewniakach mu nie zbywa, musicie się ze spadkiem po nim pożegnać! Szkoda!

— Oh! com wziął to moje — śmiejąc się dodał Dersław — jutra człowiek niepewien, a starowina nie rozgłosi wypadku, bo mu wstyd będzie. Utrze się cała sprawa, i ja się z nim przejednam...

Wnoszono już misy, i Dersław się podniósł z siedzenia, przechodząc do stołu, do którego zapraszał gości.

Straszowi jeść się nie chciało, ale pić był gotów.

— No—odezwał się niecierpliwym—macie skarbiec pełen, na ochocie nie zbywa, czas nam zacząć inną wojnę z biskupem Zbyszkim i królową. Jam z tem do was przybył. W Poznaniu już koronację naznaczyli... a my powinniśmy tego rodzaju... niedopuszczyć do panowania nad nami. Dość go mieliśmy przez długie panowanie Jagiełły!! Wojna przeciw Jagiełłowiczom... pędraków tych precz... Piasta sobie znajdziemy...

— Bolka! ojca Ofki na tron! — gorąco zakrzyczał

Dersław—to dopiero myśl złota. Ja mu koronę dam, on mnie córkę.

— Niech Bolko panuje, niech Dersław, kto chce, byle nie synaczek Sonki — zawołał Strasz. — A więc gospodarzu miły, wy z nami przeciw nim!

— O to i pytać niepotrzebowaliście, bo się zbieram nie na żart; i ja i wielu ze mną. Klechom nad sobą panować nie damy, dosyć ich już mieliśmy.

Kuropatwa odechrząknął.

— Tak, tak—rzekł—na tem waga cała. Nowy porządek zaprowadzić trzeba. Precz z dziesięcinami, dobra im poodbierać, słudzy boży nie potrzebują tych światowych marności. Włosiennicę i dyscyplinę im zostawimy nienaruszoną!

Dersław śmiał się.

— Wojna przeciw klechom!—zawołał kubek podnosząc do góry.

— Przeciw królowej—poprawił Strasz.

— Tobie ona tylko w głowie — przerwał gospodarz.

— Popatrzże się na mnie — odezwał się Strasz—nie będziesz się dziwował nienawiści... Ząb za ząb. Hinczę z Rogowa powiesić...

Gospodarz słuchał w około się uśmiechając.

— Aby wojna—rzekł—zawsze dobrze... biskupowi Zbyszkowi, jego rodzinie i przyjaciółom berło potrzeba wyrwać z rąk. Bili nas niem dosyć po łbie... Dobra biskupie naprzód zajechać i pożywić się. Co będzie to będzie, pierwsza rzecz, ograbić ich, jak ja mojego stryjaszka... Spokornieją zaraz...

Tu zwrócił się do Strasza.

— Co do królowej i tych jak ty ich nazywasz pędraków, o imię się sprzeczać nie będę, choćby jeszcze gorzej brzmiało, trudniej nam przyjdzie z nimi bodaj, niż z biskupem.

— Ho! ho!—wykrzyknął Strasz—a to dlaczego?

— Ba!—odparł Dersław—gdy kamień czterdzieści lat leży na jednym miejscu, to sobie łożysko wyrobi

i uściele. Tak samo Litwin też ludzi sobie i rodowi swemu pozyskał. Posłuchaj no tych, co po drodze widzieli ciało nieboszczyka prowadzone do Krakowa, co oni o tem opowiadają.

— A no? — spytał Kuropatwa — cóż tam się za cuda działy?

— Od samego Gródka, słyszę—mówił Dersław—po całej drodze tłumy ludu zapłakanego towarzyszyły zwłokom do Krakowa. Około dębowej trumny, przyozdobionej koroną i oznakami królewskimi, cisnęło się co żyło... wysypywały się wioski i miasta na spotkanie. Duchowieństwo z chorągwiami, z krzyżami, z relikwiami stało po całej drodze. Nieustannie musiał się pochód zatrzymywać dla nabożeństw i mów żałobnych, dla natłoku ciżby, która się do trumny choć przybliżyć pragnęła.

Szlachta, panowie, księża, nawet lud prosty ze szlochaniem wszędzie mary królewskie spotykał...

Bodaj umarłego pokochali więcej niż żywego niegdyś—dodał Dersław—aliści pewna, że się przywiązanie i do rodziny i do pędraków wzmoże przez to... Nie tak łatwo będzie wymieść Litwinów precz...

Strasz burezał słuchając...

— Co to wszystko znaczy? — odparł dziko. — Co lud rozumie? jemu, aby w dzwony uderzono, a chorągwie powiały, biedz gotów... Tak samo się będzie cieszył, gdy ich precz wyżeniemy, jak teraz płacze chowając starego niedołęgę...

Kuropatwa głową pokręcał.

— Nadto wy łączem wszystko widzicie—rzekł.—Trzeba naprzód od cienkiego zaczynać końca. Duchowieństwo trzyma Jagiellończyków, uderzmy na duchownych wpierw, zmieni się wszystko, a mają Jagiellony czy Litwa panować koniecznie, weźmiemy Korybuta, który husytą jest w duszy...

— Mamy Piastów—zawołał Dersław—po co szukać cudzych Bogów.

— Litwa przepadnie — kręcąc głową dodał Kuro-
patwa — a jużci jej szkoda.

— Co ma przepadać! — przerwał Dersław — albo to
Bolko nie urodzony z Litwinki!! Właśnie w nim dwo-
je krwi razem... Ja Bolka poprowadzę.

Strasz wychylił kubek i mocno nim o stół ude-
rzył...

— Prowadźcie kogo chcecie, byle się królowa wy-
prowadziła...

Z tego uporu Strasza zaczęli się wszyscy uśmie-
chać, co go bynajmniej nie mieszało.

— Wy wszyscy, wielu was tu jest, tej kobiety
nie znacie — rzekł — i dlatego ją sobie lekceważycie.
Nie było jeszcze na tronie w Polsce jej podobnej...
Patrząc na nią, gdy dumna a chłodna stoi w koście-
le, albo na zamku, spokojna, obojętna, nie odgadłby
nikt, że ona w małej ręce wszystko trzyma.

Ani Zbyszek nawet co się Witoldowi oparł, jej
się nie obronił. Robi on to, co ona chce, bo jego
własny interes zaprzęga do swojego wozu, przebiegła
niewiasta...

Zdala wydaje się tak, jakby ona do niczego się
nie mieszała, nie wiedziała o niczem, słabą była i bez-
silną... A gdzie niema jej ręki i oka? czego ona nie
dokaże, gdy zechce?

Tylko nigdy sama, jej nie widać za drugimi.
Robi za nią ksiądz, wojewoda, jakiś człeczek niewiel-
ki jak Hincza, jakiś duchowny, urzędnik, po za niemi
ona stoi. Trzeba jej było synów, ma ich, zawadzała
Jadwigę, musiała umrzeć. Odda rządy biskupowi na
czas małoletności i jego druhom, byle dla syna korony
dostać...

Potrzeba jej żeby ją kochali, potrafi sobie miłość
kupić, będzie pokorna, ani poczuje jej nikt... a rękę
jej na karku wszyscy dopiero uznamy, gdy już tchnąć
nie będzie można!!

Strasz mówił gorąco, z zapalem niezmiernym,
a słuchali go wszyscy zrazu uśmiechając się, później

coraz poważniej, w końcu głowami dając znaki potakiwania.

— Widzisz — rzekł Dersław, gdy Strasz skończył — że z taką niewiastą jakąś ty ją nam ukazał, i królową jeszcze, nie tak łatwo będzie jak się tobie widzi... Zbyszka też biskupa lekceważyć się nie godzi... Po za nim też gromada siłaczów.

— Tak jest—począł Strasz—ale i my też siły mamy... Trzeba swój naród znać. U nas jeden taki śmiały człek jak biskup ciągnie za sobą tysiące... Odwagę tylko potrzeba mieć i głos donośny. Jak szli za pogrzebem tłumami, tak pójdą przeciwko królowej, byle się znalazł kto ich poprowadzi.

— Na powodyrach nie zbędzie—wtrącił Dersław. Sędziwój Ostroróg, Spytek z Mielsztyna, Abram Zbąski... a w ostatku i my też..

To mówiąc podniósł się dumnie... Skończyła się narada, bo płochemu a gorącemu gospodarzowi już było dosyć mówić o tem. Wrócił do swej przygody z arcybiskupem, którego miał jeszcze na sercu i pamięci. Napróżno Strasz i Kuropatwa chcieli na nim wymódlz, aby coś zawczasu postanowił i obmyślił co czynić potrzeba. Dersław ich odsyłał do Spytki i Odrowąża, na jedno się godząc tylko, aby jak najprędzej zjazd szlachty zwołać, opodał od Krakowa, tam się zgromadzić i na nim postanowić albo wybór nowego króla, lub przynajmniej odłożenie koronacyi.

— Nadewszystko temu zapobiegajcie, aby na zjazd Zbyszek biskup przybyć nie mógł, bo nam szyki pomieszać gotów.

Niech Strasz jedzie do Poznania, do Krakowa, kędy chce... a nawołuje, by się szlachta co rychlej zgromadziła pod hasłem: koronacyi nie dopuścić.

Tymczasem my Piastowi przygotowujemy ludzi, okrzyknjemy go, i ukoronujemy.

Wszystko to Dersławowi teraz, gdy on sam to wymyślił, zdawało się łatwem, jak gdyby już kraj cały miał w ręku.

Kuropatwa a nawet Strasz inaczej się zapatrywali na to, ale wiedzieli, że z Dersławem rozprawić było próżno. Upewnić się, iż pójdzie z nimi, naznaczyć mu bodaj najtrudniejszą rzecz do spełnienia, starczyło. Zagrzany mógł być pożytecznym, lecz pokierować nim musiał ktoś inny... Za to najszaleńszy poryw, pewnie on najlepiej mógł dokonać.

Strasz z Kuropatwą podzieli między siebie roboty i pierwszy z nich, jako lepiej obeznany z Krakowem, miał się tam udać potajemnie, dla namawiania do zjazdu, na którym i Małopoleanie znajdować się musieli, drugi obowiązał się jechać do sędziego poznańskiego i do wojewody Ostroroga, aby ich pobudzić do działania...

Zjazd musiał nastąpić jak najrychlej... zwołanym być nagle i odprawionym tak śpiesznie, aby przeciwnicy udziału w nim wziąć nie mieli czasu.

Tegoż dnia Strasz niezmordowany, gdy szło o zemstę, którą żył i dyszał cały, wyruszył do Krakowa.

Śpieszył tak, że nim powoli ciągnący pochód pogrzebowy dostał się do stolicy, on już go wyprzedził. Wjeżdżając, choć się teraz niczego lękać nie potrzebował, nie chciał być poznanym i śledzonym, obawiając się, aby go zwolennicy królowej nie szpiegowali, lub na niego jakiej nie uczynili zasadzki, umiał więc wśliznąć się niepostrzeżonym, a przy ulicy Grodzkiej miał swą starą gospodę u pickarza Wirszowca, w której bezpiecznym się czuł jak u Boga za piecem.

Wirszowiec, pochodzeniem Czech, skrycie sprzyjający husytom, nieprzyjaciel duchownych i wszystkiego, co się połączeniu Polaków z Czechami sprzeciwilo, ze Straszem był oddawna w stosunkach, równie jak z temi co biskupowi i królowej stawali skrycie na zawadzie. Człowiek był zamożny, przebiegły, na pozór nie mieszkający się do niczego, ostrożny wielce, ale gorliwy bardzo...

Nie widział on Strasza od czasu jak go uwięziono, przeraził się, zobaczywszy go tak strasznie zmie-

nionym. Przyjął go troskliwie, umieścił bezpiecznie, i zaraz w pierwszej chwili zdał mu sprawę z tego, co się w Krakowie działo.

Strasz nie tał z czem przybywał. Wirszowiec głową potrzasał.

— Dla zmarłego króla okazują miłość bardzo wielką, bodaj że ją tak rozpalają umyślnie, aby wdowa i dzieci przy niej się przygrzały. Zobaczycie jutro... gdyż zwłoki właśnie tu przybywają.

Działo się to we czwartek, w dzień św. Małgorzaty, a dnia następnego w piątek przywiezienie zwłok zapowiedzianem było...

Z rana już miasto całe na ulice wyległo, a Strasz tak się przyodziawszy, ażeby go poznać nie było łatwo wyszedł też z innemi.

W uroczystem milczeniu czekały tłumy. Piękny, jasny dzień czerwcowy oblewał blaskiem wiosennym ten obchód żałobny. Na twarzach wszystkich widać było przejęcie smutkiem, który rodził i żal po królu i niepewność losów, jakie teraz kraj spotkać miały.

Strasz zdala mógł się przypatrzeć, z guiewem w sercu, jak w żałobnych szatach królowa z dwoma synaczkami, wyjechała na spotkanie mar królewskich. Błade jej lice zalewały łzy, ale mężnie podnosiła głowę i piękne zawsze lice, prawdziwie królewskim majestatem i powagą napiętnowane...

Zwolna zbliżał się wóz żałobny, otoczony dworem niosącym pochodnie... Królowa wiodąc synów, z płaczem się rzuciła ku niemu i zawisła nad trumną. Oba chłopcy za jej przykładem płacząc i szlochając podtrzymywani przez ks. Kota i Ryterskiego, pochylili się nad zwłokami ojca... Nie można już było ich i Sonki oderwać od wozu i z nim razem, w obliczu tysięcy postępowala królowa i dzieci przez miasto...

Strasz patrząc na to, ze złości rwał odzienie na sobie.

W tej chwili ze wszystkich kościołów przy biciu

w dzwony zaczęły wychodzić procesye z chorągwi-
mi, długie szeregi zakonników, bractwa, cechy, po-
kutnicy... Ludność miejska cisnęła się także, i ogólny
żał tak jak powszechna radość zaraźliwy, dał się
czuć wszystkim. Przypominano sobie dobroć Jagiełły,
jego zwycięstwa, pokój i swobodę panowania, a za-
pomniano wad i słabości człowieka...

Naprawdę Strasz szukał tu sobie kogoś, z kimby
mógł swą niechęć dla królewskiej rodziny podzielić,
każdy ubolewał nad jej bólem i radby był go osło-
dzić.

W tydzień potem odprawił się pogrzeb królewski
z całym przepychem i ceremoniałem zwyczajami uświę-
conym.

Wszyscy niemal polscy biskupi ze swym pryma-
sem na czele, niezliczone zastępy duchowieństwa,
zbiegły się dla oddania ostatniej posługi zgasłemu
panu.

W licznym orszaku niewiast przybranych żałobnie,
otoczona dworem, dwoje pacholąt splekanych trzy-
mając przy sobie, stała przez cały czas smutnego
obrzędu królowa, lejąc łzy ciche, na oczach zgroma-
dzonych panów i mnogiego ludu, obudzając współczu-
cie powszechne.

Mistrz Paweł z Zatora, wyszedł na kazalnicę, pol-
ską mową, wszystkim zrozumiałą i dostępną, poru-
szając serca całego ludu. Żądała tego po nim i pro-
siła o to królowa, pragnąc, aby nie tylko wybrani,
lecz wszystek ten tłum mnogi posłyszał słowo natchnio-
ne i wziął je do serca. Płacz rozlegał się w ko-
ściele...

Z trzaskiem wpadli na koniach chorążowie, kru-
sząc drzewce u trumny, i padając przy niej sami.
Zdawało się w tej chwili, że nie panowanie jedno,
ale losy całego kraju szły z temi zwłokami do grobu.

VII.

Niepróżne były zabiegi Jana Strasza i jego sojuszników. Sam on zaledwie pogrzeb potrąwszy, dowiedziawszy się, że koronacyaznaczona na dzień św. Piotra i Pawła, odłożoną została przez senatorów tu zebranych na dzień św. Jakóba, pobiegł pocichu i tajemnie ściągać wszystkich królowej i biskupowi niechętnych na zjazd zapowiedziany w Opatowie.

Czasu pogrzebu króla, umysły wszystkich tak nim i co najpilniejszymi sprawami były zajęte, tak nikt nie przeczuwał i nie domyślał się zuchwałego powołania na zgromadzenie, o którym rada i senatorowie przedniejsi nie wiedzieli wcale, iż najmniejszej wątpliwości nie miano o tem, że koronacyi postanowionej nic nie stanie na przeszkodzie.

Z wielką troskliwością tajono zjazd przed tymi, którzy albo mu zapobiedz lub znaczenie jego wpływem swym zmienić mogli.

Sam Zbigniew biskup, zwykle najlepiej zawiadomiony o wszystkim, co się działo lub gotowało w kraju, był w zupełnej nieświadomości pokątnych knowań swych przeciwników.

Wszystko zdawało się iść po myśli jego. Za życia króla otrzymano zapewnienie wyboru następcy; Władysław był na tron wyznaczony...

Koronacya stawała się tylko potwierdzeniem tego, co przyobiecane uroczyscie zostało...

Jakkolwiek biskup uspokojony był o przyszłość i królowę starał się ubezpieczyć, pozostawało tyle do obmyślenia spraw, na czas małoletności króla nowego, iż narad na chwilę nie przerwano.

Po całych dniach, często w nocy schodzili się tu przedniejsi senatorowie, roztrząsając kwestyę opieki,

wielkorządów, rozdziału władzy, oddania różnych ziem i części kraju w ręce ludzi, którymby zaufać było można.

Biskup Zbigniew znał dobrze przeciwników swoich i ich siły, lecz nie przypuszczał takiego zuchwalstwa i rozpasania z ich strony, jakie go czekało.

Pierwszy Wojciech Jastrzębiec ze łzami uskarżający się na synowca Dersława, postępowanie jego starał się biskupowi przedstawić jako bezkrólewem spowodowane i oznajmujące, iż innych bezprawioń spodziewać się należało.

Oleśnicki wybryk Dersława z Rytwian lekceważył, miał on go za jedną z tych spraw domowych, za zajście familijne, któremu zbytniego nie godziło się przypisywać znaczenia.

Z tego ubezpieczenia się i ufności w siebie zbudził go nagle wypadek niespodziewany, nie do wiary prawie, oznajmienie, iż znany warchoł i husytów druh Mikołaj Siostrzeniec Kornicz, niegdy burgrabia w Będzinie, zajechał mu dobra Sławkowskie.

Oleśnicki gdy mu oznajmiono o tem, uszom swym prawie zawierzyć nie chciał...

Nie ochłonał jeszcze z podziwu i zgrozy, gdy dworzanin królowej nadbiegł do niego z prośbą usilną, aby do niej pośpieszał. Sprawa była najmniejszej niecierpiąca zwłoki.

Wezwaniu przytomny rodzony brat biskupa, Jan z Oleśnicy marszałek koronny, który tylko co zamek opuścił i z królową się widział, zapytany czyby nie wiedział dlaczego tak go pilno wzywano, nie powiedzieć nie umiał.

Pozostawił królowę czuwającą nad dziećmi, jak zwykle, zaprzątniętą tysiącom drobnych trosk, które na nią wdowieństwo jej włożyło...

Pomimo żalu, Sonka nie miała czasu we łzach się rozplýwać i trawić dnie na narzekaniach. Musiała być czynną sama, chociaż wierzyła w czujność i opiekę Oleśnickiego.

W jej też komnatach zbiegały się nici mnogich sieci po całym rozciągniętych kraju. Co chwila przyjeżdżali gońce, przychodziły doniesienia, odprowadzono posłańców roznoszących rozkazy.

Działo się to wszystko za wiedzą biskupa, z jego przyzwoleniem, w myśl jego, ale królowa sama obmyślała środki, wyznaczała ludzi, wprowadzała w ruch mnogie koła tej machiny.

Była niezmordowaną, a kto wie jak praca leczy w cierpieniach, jaką im ulgę przynosi, pojmie, że Sonka zamiast się czuć tem obciążoną, lżejszą czuła boleść w sercu...

Pomimo zapewnień, nie uznawała się jeszcze bezpieczną... Donoszono jej codzień o odgrózkach ludzi, których znała nieprzyjaciółmi swemi i biskupa. Drżała przewidując, że się oni na wszystko ważyć mogą.

Jednym z tych, którzy jej teraz najgorliwiej służyli, był Hincza z Rogowa. Jest w ludzkiej naturze przywiązywać się do tych, dla których się cierpiało. Hincza oprócz tego zawiadomionym był o oswobodzeniu Strasza i lękał się go dla siebie. Postanowił więc śledzić wszystkie jego kroki...

Natychmiast po pogrzebie zniknął on z Krakowa, zawiadomiwszy tylko królowę, iż dla pilnych spraw oddalić się musi. I tak samo jak wyjechał nagle, zjawił się dnia jednego nazad, pomimo niezwyklej godziny, domagając, aby go natychmiast do królowej wpuszczono...

Cały jeszcze kurzawą podróżną okryty, z twarzą potem oblaną, stanął przed nią. Postawa jego i pospiech z jakim się natrętnie do drzwi dobijał, nastraszyły Sonkę...

— Miłościwa pani — rzekł zaledwie się skłoniwszy Hincza. — Wie-li co biskup albo ktokolwiek o zwołanym zjeździe szlachty do Opatowa, która się chce koronacyi opierać?

Sonka cofnęła się przestraszona żegnając.

— Ani biskup, ani ja, ani nikt o nim nie slyszal!

— Na rany pańskie — poczał Hincza — a toć ledwie czas zabiedz temu, a Bóg wie nawet czy w porę się co da uczynić. Zjazd w tych dniach, niezawodnie. Gromadzą się nań wszyscy nieprzyjaciele biskupa i wasi...

Królowa bez długiego namysłu, gorączkowo klasnęła na sługi i nie przestając wypytywać Hinczę, wyprawiła dworzanina do biskupa.

— Czyjemże ten zjazd jest dziełem? — zapytała.

— Dość powiedzieć, że Strasz w to rękę umoczył zawołał Hincza — a z nim co jest najzuchwalszych, wszyscy jadą i biegną. Sprawiono to tak zręcznie, że gdy dadzą znać panom senatorom, jeżeli im oznajmić o tem raczą, już na rozsadzonych koniach nie czas będzie dobiedz do Opatowa.

Usłyszawszy to królowa, znowu z tym pośpiechem i energią, który ją cechował, uderzyła w ręce.

— Koniuszego mi wołać — krzyknęła do wchodzącego dworzanina — tej chwili!

Hincza jeszcze rozpowiadał dalej, gdy już koniuszy wchodził na próg komnaty, nawykły do tego, że królowa prędko być usłużoną chciała.

— Wszystkie konie moje, tej godziny niezwłocznie rozsadzić po drodze do Opatowa — zawołała*).

Koniuszy zaledwie przebaknął coś koni żalując, gdy Sonka mu przerwała.

— Słyszałeś rozkaz, nie ma wymówki. Odpowiesz za każdą chwilę straconą. Wszystkie konie moje na drogę do Opatowa, a najlepsze zostaną do mojej lekkiej kolebki. Idź! spełń!

Wyszedł zdziwiony koniuszy.

Z niecierpliwością Sonka oczekiwała na biskupa, który nadjechał, nie śpiesząc zbyt, zawsze spokoj-

*) Historyczne.

ny i nie lubiący okazywać gorączkowego czemkolwiek zajęcia. Cierpiałaby na tem powaga jego.

Królowej wejrzenie szukało w jego twarzy śladów niepokoju, jakiby wiadomość o zjeździe w Opatowie musiała wywrzeć.

— Opiekunie mój — zawołała żywo — wiecie już o tem, co zamierzają nieprzyjaciele moich dzieci??

Mówiła głosem tak poruszonym i zrozpaczonym, że biskup stanął zdziwiony.

— Miałożby coś nowego się stać, o czembym ja nie był zawiadomiony? — zapytał.

— Zwołali zjazd do Opatowa... i to w tych dniach, aby koronacyi przeszkodzić, któż wie? może aby wybór Władysława podkopać?

— Kto? — odezwał się biskup nadzwyczaj zdumiony. — Zjazd? bez senatorów? cóż to ma znaczyć i kto go zwołuje?

Królowa dała znak Hinczy, aby wystąpił.

— Mów — rzekła.

Biskup czekał w milczeniu.

Natychmiast rozpoczął swoje opowiadanie Hinceza, a w miarę jak mówił, czoło biskupa się ściągało.

— Zjazd ten nie będzie miał żadnego znaczenia — rzekł wysłuchawszy.

Królowa łamała ręce.

— Al opiekunie moich dzieci, ty, któremu je ojciec powierzył — zawołała. — Uczyniłeś już dla nich i dla mnie wiele, zrób jeszcze tę ofiarę, abys się na tym niebezpiecznym zjeździe znajdował... Inni też senatorowie...

Dumał biskup zasmucony. Spytał Hinczy o termin zjazdu... i zamruczał, że nawet o konie będzie trudno, bo w pośpiesznej podróży z Poznania na śmierć swoje pozamęczał.

— Ja już moje rozsądzić kazałam — odparła drżąca królowa, ręce ciągle załamując. — Ojciec mój, nie opuszczaj nas. Choćby ten zjazd postanowił nie mógł, zawsze ośmieli, otworzy do innych wrota,

zachwieje tem, co wy z panami senatorami postanowiliście...

Wasza przytomność jedna ocalić nas może. Nieprzyjaciele nasi już o Bolku mazowieckim mówią, za nic sobie mając przyrzeczenia uczynione nieboszczykowi.

Niepokój wycisnął łzy królowej, płacząc zbliżyła się do biskupa, całując ręce jego i prosząc go już łzami swemi. W tej chwili wchodził dziesięcioletni jej syn, na którego skinęła...

Przybiegł i on na rozkaz Sonki, choć nie wiedząc przyczyny, dla której miał biskupa błagać i rękę jego do ust ponieść. Zbigniew był poruszony...

— Ponieważ czas jest tak krótki — odezwał się — muszę natychmiast iść naradzić się z bratem i z innymi, a proszę miłości waszej, abyście nie trwożyli się nadaremnie. Walka z warchołami jest równie moją jak waszą, wypowiedzieli oni i mnie wojnę, zajęchawszy Sławków. Będziemy mieli wiele do czynienia, lecz, z pomocą Bożą i ludzi uczciwych, kościółowi wiernych, zwyciężymy.

To mówiąc rękę podniósł, pobłogosławił królowę i jej syna i szybko się oddalił.

Na biskupstwo zajęchawszy, znalazł tam Spytkę z Tarnowa wojewodę sandomierskiego i Jana brata swojego, którzy go w ganku przywitali wiadomością o naznaczonym zjeździe w Opatowie.

Oba oburzeni byli zuchwalstwem tych, co nikogo nie pytając, samowolnie zwołali zgromadzenie, rachując na to, że sami w niem przewodzić będą.

Jan Głowacz z Oleśnicy, brat biskupa, gniewny i nadasany począł od tego, że nikt na ten zjazd jechać nie powinien z poważniejszych ludzi, aby mu nie nadać znaczenia. Lekceważą oni nas, tembardziej my ich powinniśmy ważyć mało? Niech krzyczą i niech stanowią uchwały, kto ich posłucha?

Nadchodzący tuż Wawrzyn z Kalinowy Zaręba

kasztelan sieradzki, miał minę zasępioną mocno i posłyszawszy co mówił Głowacz, dodał.

— Pewnie że nam tam nie jechać. Ja mam wiadomość, iż zjazd jest zasadzką. Mogą senatorów pochwycić i uwięzić. Na wszystko się tacy ludzie ważą.

Biskup słuchał.

— Choćby i było niebezpieczeństwo dla innych — rzekł — ja go dla mnie nie widzę, a królowa prosi i jechać muszę.

Zakrzyknęli wszyscy, a szczególnie Głowacz.

— Bój się Boga! ja nie puszczę. Uchowaj Boże na ciebie nieszczęścia, cóż my poczniemy! Lepiej, aby nas dziesięciu poszło w ich niewolę, niż ty jeden.

— Nie będą śmieli uczynić mi nic — zawołał biskup. — Przypomnijcie sobie, gdy tu Czesi z Korybutem byli, jak mi śmiercią, zasadzką, napaścią grozili, przecie sam na jutrznią chodziłem i nie stało mi się nic. Pojadę do Opatowa, w paszczę im, a wyjdę cało. Jechać zaś, powtarzam, muszę, i to jednej go dziny, bo zjazd się już poczyna.

Wszyscy tem stanowczem wyrzeczeniem biskupa, stali zmieszani. Śmielszy brat marszałek ciągle głowę potrząsając, sprzeciwiał się jeszcze.

— Ja — rzekł Spytek z Tarnowa — jechać nie myślę. Niczym tam nie sprawił, zostanę tu lepiej na straży.

Zaręba nie okazywał chęci do podróży także.

— Jeżeli jest co do zrobienia, biskup jeden może temu zaradzić — rzekł. — Mybyśmy idąc pod rozkazy panów szlachty, husytów co najeżdżają majątności duchowieństwa i łupią po gościńcach, albo na napaść się narazili, lub na pośmiewisko... Oni tam już się większości pewnie spodziewają i nas zakrzyczą.

Gdy to mówili poczęli i inni się schodzić senatorowie, bo wieść o tym niespodzianym zjeździe w Opatowie piorunem się po mieście rozeszła i przeraziła

wszystkich. Lecz zgodni byli w tem, że jechać im nie należało. Tegoż zdania był Jan z Koniecpola kanclerz i Jan z Tęczyna kasztelan biecki, i inni.

Biskup swoje zdanie wypowiedziawszy, milczał i słuchał zadumany.

Brat napróżno go starał się odwodzić od zamiaru udania do Opatowa, dowodząc, że dosyć posłać kogo, aby był, słuchał i przywiózł wiadomość pewną, co się tam stanie.

— Dałem słowo strwożonej królowej—rzekł w końcu spokojnie Oleśnicki—jechać muszę. Wezmę z sobą kapelana i sług niewiele... Nie mi się tam stać nie może.

Nikogo z was zresztą, przeciw przekonaniu jego, nie namawiam.

Głowacz chodził po izbie z rękami załamanemi; trwożył się on o brata.

— Zważ co czynisz—rzekł.—Na tobie dziś wszystko... Wiedzą oni dobrze, iż gdyby głowy nie stało, gdy pasterza nie będzie, owce się rozsypią. Mogą się dopuścić gwałtu... Wszystko u nich możliwe. Derśław z Rytwian do rodzzonego stryja arcybiskupa strzelać kazał, skarb mu wyłupiwszy... Co innego było stawać oko w oko Jagielle i narażać się na gniew jego, który prędko przechodził, boć to był monarcha baczny i wierny syn Kościoła, inna rzecz z tymi ludźmi co nie poszanują ani człowieka ani infuły. Zmiłuj się.

— Widzisz, żem zupełnie spokojny — zawołał biskup, nie okazując wzruszenia. Ludzie są źli i zuchwali, kupka co ich otacza więcej lekkomyślna, niż występna. Nie poważają się targać na mnie, bo wiedzą, że nawet ich własni przyjaciele takiej napaści na pomazańca bożego by się wzdrygnęli.

Ktokolwiek znał biskupa Oleśnickiego wiedział dobrze, iż raz powziąwszy myśl jaką, nie odstąpi od niej i bądź co bądź spełni co zamierzył. Brat więc, kanclerz Koniecpolski i inni radzili tylko jakby bez-

pieczeństwo osoby zapewnić. Biskup niemal z uśmiechem odpowiadał ciągle, że najlepszy opiekun Pan Bóg, a owi szatani może nie są tak czarni, jak się wydają z daleka.

Stosował to Oleśnicki do Spytki z Mielsztyna i Dersława z Rytwian, do Abrama Zbąskiego i Straszka, którzy głównymi byli przewodzcami zjazdu. Z zupełną swobodą potem biskup zasiadł do wieczerzy z gośćmi swemi, kazał gotować wszystko do podróży o świcie i odprawivszy w kapliczce swej mszą świętą, jak rzekł tak uczynił, sam z kapelanem i kilku czeladzi tylko w kolebce królowej i jej końmi wyruszył do Opatowa.

Było to już naówczas miasto dosyć znane i handlowe, na dwie, a raczej na trzy dzielnice rozpadające się, z których jedna stara przy klasztorze Bernardynów się skupiała, druga przy kolegiacie, trzecią zaś sami prawie żydzi zajmowali. Mury opasujące część jedną i bramy w nich tak były liche, iż za żadną obronę od nieprzyjaciela służyć nie mogły.

Pomimo pośpiechu, przybywający Oleśnicki już miasteczko pełnem znalazł, gwarnem, rynek cały namiotami zajęty, gospody rojące się ludźmi, wszędzie koni, służby, wozów bez miary.

Wielka ilość szlachty koczowała pod gołem niebem; inni po chałupach i domach żydowskich się ścisali. Ponieważ wiosenna pogoda gorąca sprzyjała dotąd, narady nawet odbywały się w podwórcach...

Gdy jadącego biskupa spostrzeżono i poznano, widomie popłoch poszedł do wszystkich... Ci co pierwsi go zoczyli, ponieśli się dać znać starszyźnie, Spytkowi i Dersławowi.

Właśnie oni pierwszy raz ze szlachtą się zetknąwszy, owe zapowiedziane obrady rozpoczynać mieli, gdy zziąjany Guba Nałęcz nadbiegł do Dersława i za rękaw go pociągnąwszy, w ucho mu rzucił.

— Biskup Żbyszek przyjechał.

Widzieliśmy już, że zuchwała sztuka, Dersław,

który do własnego stryja strzelać kazał, niełacno się czem dał ustraszyć.

Spytek z Mielsztyna może go jeszcze butą i rozpasaniem przechodził, i wziął po ojcu zarówno dzielność wielką, jak dumę i pewność siebie niezmierną. Sądził się on, syn tego, co dwudziestu nie mając lat, był panem krakowskim, godnym dostojestw najwyższych. Gorącej krwi, pychy nieugłaskanej, bogaty, młody, mężny, sądził, że stając na czele ludzi równie śmiałych i na wszystko się ważących, całym może wstrząsnąć krajem i co najmniej, zmusić królowę i senatorów do układów i zwrócenia mu stanowiska, do którego przeznaczonym się sądził.

Oba wszakże ci przewodzcy, przed chwilą już roknający sobie zwycięstwo pewne, wiadomością o przybyciu biskupa rażeni zostali jak piorunem. Spojrzeli po sobie, lecz w tejże chwili, zawstydzeni, jeśli nie odzyskali bytu, chcieli jeden drugiemu okazać że jej nie stracili.

Pierwszy Spytek przebaknął.

— Cóż nam do niego? przybył, niech, kiedy chce, siedzi przy kościele i modli się, my o nim możemy nie wiedzieć...

Tuż przy nich stał Strasz, który był niezmiernie czynnym, a nieco dalej staruszek Goworek z Chrob-rzan. Człowiek to był szanowany powszechnie, z rozumu słynący, niegdyś wymowny, niemałego wpływu u swoich, którego Dersław i Spytek pozyskać się sobie starali, aby stronnictwu swemu nadać powagę pewną.

Goworek nie był zbyt byстрыm, a trochę próżnym: Rozum, z którego słynął w ciasnem się dosyć kółku obracał, młodzieży dawał się oszukiwać i wodzić. Byle mu się kłaniano, naprzód go wysadzano i szanowano, niewiele dalej widział. Było to winą podeszłego wieku...

Piękny starzec z siwym włosem, patryarchalnej powierchowności, z uśmiechem łagodnym, był młodym warchołom potrzebnym, jak pieczęć u pargaminu.

Nadawał im wagę. Wodzili się więc z nim i tu się nim też posługiwać myśleli.

Usłyszawszy wyrok Spytką, który biskupa znać nie chciał, ni o nim wiedzieć, Goworek głową potrząsnął, jakby niebardzo to pochwalał.

Tymczasem Strasz wtrącił żywo.

— A nam co do biskupa? zechce przybyć na zgromadzenie, nie zaprzemy mu drogi, ale zapraszać go, niema obowiązku.

— Ja też tak sędzę — rozśmiał się Dersław — raz się nam z tych oków potrzeba uwolnić, aby u nas biskupi nie przewodzili. Dobry biskup w kościele, a tu świeckie sprawy...

Odchrząknął stary Goworek...

— Biskup czy nie biskup — rzekł — ale senator jest.

Nie słuchano go. Spytek tylko, lękając się go obrazić, coś mu do ucha szeptać zaczął, a staruszek usta zacisnąwszy, zamilkł.

Wiadomość o przybyciu Zbigniewa, w jednej chwili z ust do ust przebiegła po wszystkich gromadkach. Podawano ją sobie.

— Wiecie? — biskup przybył.

— Jaki?

— A no Zbyszek!..

Na twarzach szlachty malowała się troska tak widomie, że Spytek się nią zatrwożył.

Przybrał więc tem śmielszą i pewniejszą siebie postawę i głośno począł się z tem odzywać, że oni tu żadnych biskupów nie potrzebowali.

Dersław obracał w żart twogę tych, którzy nawykli byli Olieśnickiego się lękać i nadzwyczajną mu przypisywać potęgę.

— To nie za Jagiełły — mówił — pana nie mamy... My tu teraz panowie.

Niektórzy mu potakiwali, lecz na boku, między sobą, widać było, że wszyscy niespodzianym przyjazdem mocno byli zmieszani.

Kuropatwa z Łańcuchowa, jeden z najgorliwszych

husytów polskich, miał w sobie to, że duchowieństwa się lękał i może dlatego, takby był rad zrzucić z siebie jarzmo jego. Zbigniew zaś biskup dla niego uosabiał całą tę potęgę Kościoła i nikt mu nad niego straszniejszym się nie wydawał.

Na Kuropatwie wiadomość ta zrobiła wrażenie przyniatające.

— Skoro on tu jest — rzekł — wszystko djabli wzięli. My nie zrobimy nic. On ma więcej w palcu rozumu, niż my wszyscy w głowach... Przyjechał, to niedarmo. Gdyby nie wiedział, że nas zmoże, nie pośpieszyłby się z Krakowa.

Drudzy, którzy osobistemi stosunkami byli tu pociągnięci, a z Kościołem zrywać nie myśleli, szanowali krakowskiego biskupa, jako świątobliwego i męznego kapłana, inni naostatek widzieli w nim magnata blisko spowinowaconego z Tęczyńskimi, Tarnowskimi, z Koniecpolskimi i znali świecką potęgę tych rodów.

Mógł Spytek z Mielsztyna powiedzieć sobie, że biskupa znać nie chce i nie myśli doń żadnego uczynić kroku, nie sprzeciwiano mu się w brew, lecz spoglądano niespokojnie ku kollegiacie.

Dersław z Rytwian i Kuropatwa byli tego przekonania, że biskup, pychę z serca z rzuciwszy, sam do nich tegoż dnia przyjedzie...

Tymczasem obradowano...

Lecz wiadomo jak u nas podobne się zjazdy obchołziły z dawien dawna. Mówiono wiele i głośno, do ostatniego słowa przyjsć było trudno, a gdy wszyscy znuzeni już radzi końca czekali, ktoś z ręcznie podrzucał uchwałę i okrzykami ją przyjmowano, zagłuszając przeciwników... Tu zaś właściwie oporu nie było i wszyscy niemal się na jedno godzili. W długiej mowie Goworek z Chrobrzan wyłożył, historycznemi się popierając wywodami, że małoletnich rządy są dla kraju niebezpieczne, koronację więc od-

łożyć należało, a obmyślać dla kraju silną władzę i złożyć ją w ręku doświadczonych i pewnych.

Zupełnie pomijając obietnicę uroczyscie daną królowi Jagielle w Brześciu, nie wspominając nawet o niej, i Goworek i inni domagali się rzeczy nowych. Domyślać się było łatwo, że wybór króla innego mieli na widoku...

Rozprawiano tak aż dopóki się wszyscy nie znużyli. Dzień zaczynał być coraz gorętszy, pragnienie i głód dokuczały. Zamknięto więc narady, a Spytek z Mielsztyna jednych, drugich Dersław zabrał do siebie na poczęstowanie. Inni się gromadkami po namiotach i gospodach porozkładali. O nowem posiedzeniu dnia tego mowy nie było, ale umysły przy piwie i miodzie, jedne z drugimi się ścierając, jedne podbudzając drugie, rozgrzewały się, ośmielały, i ci nawet co w początkach milczeli, w końcu głośno o niebezpieczeństwie panowania pędraka rozprawiali.

Nie zwracano na to uwagi, że niektórzy ze szlachty, ostrożniejsi, wieczorem do biskupiego dworu pociągnęli... Dersław i Spytek tak hojnie swych gości przyjmowali do późnej nocy, iż niektórzy śpiewając dopiero o brzasku poszli szukać swych namiotów i wozów, a usnąwszy twardo, nie zbudzili się aż bardzo późno.

Pomimo to na rannej mszy biskupa Zbyszka w kolegiacie dosyć było pobożnych, co Dersławowi do myślenia dało. Spytek też dnia tego zły był i niespokojny, ale trwał w tem, żeby biskupa nie zapraszać na radę, i o nim nie widzieć.

Doszło to do Oleśnickiego.

Na jego stanowisku przy nawyknięciu tem do panowania i poszanowania za Jagiełły, dla męża, co zwyciężył Witolda, który umiał wrażyć we wszystkich cześć dla siebie i uznanie władzy swej, takie lekceważenie musiało być wielce dotkliwem. Ale dać poznać obrazę, znaczyło to być osiągniętym przez ma-

łych ludzi, których Zbigniew Oleśnicki z sobą na równi wcale stawiać nie myślał.

Drzwi swe zostawił tylko otworem, a ze szlachty zgromadzonej licznie, bardzo wielu korzystało ze zręczności, aby się potężnemu biskupowi pokłonić, dworować mu i względy jego sobie zapewnić. Ci wszyscy, pierwsi wyrazili mu zdziwienie i oburzenie, że wiedząc tu o nim, nie wezwano go na zgromadzenie.

Biskup nie odpowiadał nawet na to, nie przywiązując wagi do rzeczy. Mówił z przybywającymi o sprawach ogólnych, chłodno, spokojnie, jakby mu one żadnej nie dawały troski.

Ta niewzruszona powaga zawsze wywiera wrażenie i każe się domyślać siły.

Przez cały dzień ten znowu rozprawiano szeroko o koronacyi, o małoletności, o potrzebie obmyślenia przyszłości, a Dersław z boku poddmuchiwał o Bolku Mazowieckim.

Skończyło się na tem, iż nic jednak nie postanowiono i zjazd nie ważył się obalić tego co poprzednie, uroczystej od niego, wraz senatorami, przy królu uchwały.

Starowina Goworek z Chrobrzan, który na pozór tu wiódł i cieszył się tem, że go słuchano pilnie, a wymowa jego cenioną była jak zawsze, uczuł w końcu żal jakiś, że nie mógł się z nią też popisać przed księciem Kościoła i mężem również słynącym z wymowy, jak Oleśnicki.

Wieczorem nie mówiąc nic nikomu, stary za innymi udał się do biskupa, którego znał dawniej.

Oleśnicki, wiedząc jaką on tu rolę odegrywał, przyjął go ze zwykłą swą biskupią powagą, ale zarazem uprzejmością.

Goworek powitawszy go, utalać się począł nad trudem jaki miał, wśród tego zjazdu starając się ład pewien i porządek utrzymać.

— Nie zaszczylicie, miłość wasza, zjazdu naszego przytomnością swą—dodał.—Wielka to szkoda,

a ja nad tem szczególniej boleję, bo tak znakomitego męża mając tuż obok, nie widzieć go wśród nas... było dla wszystkich upokarzającym. Nie raczyliście.

— Miły mój panie—odparł biskup.—Wszakżeście wiedzieli o mnie? Nie godziło mi się wam narzucać, zwłaszcza, że między wami jest wiele zbłąkanych owieczek... Dlaczegoż, jeżeli sądzicie, że wam się na co przydać mogę, nie wezwaliście mnie, jak przystało i należało? Winienem to mojej dostojności biskupiej bym pewnego jej poszanowania wymagał. Byłbym poszedł na zgromadzenie i narady, alem próżno czekał na jakie słowo z waszej strony. A to mi się przecie należało.

Zmieszał się nieco stary.

— A! bo ta niewytrawna młodzież!! — zawołał. — Ludzie dopiero w pałkach, gorącej krwi a swawolni! wiele im przebaczyć należy.

— Bo nie wiedzą, co czynią — dokończył śmiejąc się biskup. — Ale cóżeście uradzili. Radbym wiedział.

Goworkowi trudno to było określić. Mówiono dużo, a nie nie postanowiono. Wszystko to co tam Kuropatwa i inni przeciwko duchowieństwu, jego sile i panowaniu pletli, nie mogło być powtórzeniem biskupowi.

Staruszek poplątał się w opowiadaniu. Mileczący słuchał go biskup długo, dał mu się wypowiadać i popisać. Niekiedy nawet potakiwał Goworkowi, co mu wielką czyniło przyjemność, a że co kwestyi do koronacyi, biskup umyślnie wstrzymywał z wypowiedzeniem całej swej myśli, stary sądził może, iż go sobie pozyskał.

Rozmawiali dosyć długo, aż Oleśnicki odezwał się wreszcie.

— Nie wezwaliście wy mnie do siebie, ja będę względniejszym dla was, i zapraszam na rozmowę do mnie jutro. Zbierzcie się tutaj. Radbym posłyszeć

czego chcecie i rozprawić z wami o tych rzeczach, które wam się wątpliwemi wydają.

Uprzejmie więc wzywam was, szanowny panie i cenniejszych z pomiędzy szlachty, aby jutro zebrali się u mnie.

Pochlebiało staremu Goworkowi, że biskup do niego z tem, jako do głowy się zwrócił, wziął gorąco do serca rzecz, i przyrzekł uroczyście, że jutro z sobą przyprowadzi do biskupa co przedniejszych ze zgromadzenia. Wyszędłszy od biskupa Goworek pośpieszył do Spytki i Dersława, nie tłumacząc się im jak do tego zaproszenia przyszło, zapowiadając tylko, iż jego wezwał biskup wraz z innymi, którzy zechcą uczestniczyć w naradach, do siebie.

Zakrzyczał naprzód Spytek.

— A co mi to ten biskup, aby on mnie wołał do siebie?

Wtórował mu Dersław równie zuchwale, krzyknął coś Strasz, reszta zamilkła. Zaczęły się głosy odzywać nieśmiało.

— Przecie senator i biskup... jak ono jest, to jest.

Inni poszli za tym głosem. Goworek też radził umiarkowanie, a rozdrażniać nie życzył. Spytek i Dersław mocno skłopotani, widząc, że za sobą większości nie mają, musieli burcząc zamilczeć. Postanowiono, ponieważ to do niczego nie zobowiązywało, iść jutro do biskupa.

Tu dopiero postrzegli Spytek i Dersław, jak wielki błąd popełnili, biskupa nie prosząc na zgromadzenie ogólne, gdzieby za sobą tłum mieli. Do biskupa zaś mieli iść wybrani, przedniejsi, i ci co już skłonni byli mu się pokłonić i posłuchać go, a potem oni mogli za sobą pociągnąć resztę. Błąd był nie do poprawienia.

Dersław wnosił po oddaleniu się Goworka, aby oni ze Spytkiem i Straszem nie szli do biskupa.

— Toby znaczyło, żeśmy się go zlekli i dali mu

za wygranę! — odparł Spytek. — Nie może to być. Ja idę.

Jakkolwiek Dersławowi przykrem to było i on iść musiał. Strasz zapowiedział, że do klechy nie pójdzie. Dano mu pokój. Inni wszyscy w obawie, aby starego Goworka i innych stateczniejszych ludzi nie przewiodł na swą stronę, oświadczyli się, że pójdą.

Przez cały jednak wieczór, jakby przewidywali, że zostaną pobici, Spytek z Dersławem jeden na drugiego winę zrzucali, iż biskupa nie wezwali.

Goworek chodząc wieczorem po namiotach i domach, zaciągał co najwięcej starszych ludzi, aby mu towarzyszyli.

Nazajutrz rano, gdy zebrawszy się wszyscy pod wodzą starego Goworka, wyruszyli ku dworowi, w którym biskup przy kollegiacie przebywał, mileczenie kwaśne panowało między nimi, a na twarzach niepokój widoczny... Spytek i Dersław chcieli być przytomni i szli z innymi, ale umyślnie w tłumie się skryli, nie chcąc występować naprzód.

Spora izba i przedsień w biskupim dworze, połączone otwartemi na oścież drzwiami, ledwie mogły przybywających pomieścić. Biskup przyjmował ich w szatach uroczystych, z całą powagą swojego dostojenstwa, lecz zarazem wesolo, uprzejmie i bez najmniejszej troski.

Spytek, który się zaczynał lękać starego Goworka, aby zbyt powolnym nie był, na picrwszego oratora wyznaczył Jana Działoszę Nadobnego z Rogowa.

Nie był on tak wymownym jak Goworek, ale gołętszym i śmielszym od niego. Wystąpił wprost w imieniu szlachty z tem, że ona postanowiła uchwałę koronacyi odwołać i zniweczyć.

— Nam — rzekł — potrzeba monarchy dzielnego, mogącego nieprzyjaciółom stawiać czoło, a nie dziecka...

Wiemy co to małoletnich rządy! Dostaną się one w babskie ręce, albo faworytom wielkorządczom, z których łaski my już dosyć cierpieliśmy.

Głośno mu potakiwać zaczęto... Biskup milczał.

Odezwał się i Jan Mężyk z Dąbrowy, w tej samej myśli, ukazując jak niebezpieczną była chwila, na którą nieprzyjaciele czyhali.

Inni tej domagali się głośno, aby nie dopuścić koronacyi dziesięcioletniego wyrostka...

Słuchał Oleśnicki bardzo cierpliwie tych wywętrzań.

Nie mógł przepuścić i Goworek tak dobrej zręczności popisu z wymową i odchrząknawszy, począł długi wywód historyczny o bezkrólewicach, o rokoszach, o niepokojach, jakich się za panowania małoletniego spodziewać było można.

Dano mu mówić, a Oleśnicki nie przerwał i teraz jeszcze. Po kilku tych mówcach, gdy się już argumentów nowych przebrało, a powtarzano jedno, zabrał głos w końcu.

— Niebezpieczne są może rządy małoletnich, to prawda—rzekł—ale opieka starszych a wiernych synów korony tej, czuwać będzie nad niedorosłym monarchą. Stokroć niebezpieczniejsze są spiski, sprzysiężenia, pokątne zabiegi, które rozrywają jedność i zgode i gotują wojnę domową.

Stoimy na skrajn, może ta chwila albo długie lata pokoju i pomyślności nam dać, albo zgubę nieochybną sprowadzić. Do was należy wybierać, i na ramiona wasze spadnie odpowiedzialność cała...

O koronacyi nam dziś mówić już się nie godzi, ani ją podawać w wątpliwość, bo jest rzeczą postanowioną. Za życia nieboszyka króla uroczyste mu zareczyliśmy w Brześciu, że syna weźmiemy po nim. Winniśmy jego pamięci, a własnej czci naszej, słowa dotrzymać.

Szemrać zaczęto... Sędzia poznański Abram Zbąski zawołał z kąta.

— *Salus reipublicae suprema lex.*

— Ale tu właśnie zbawieniem kraju jest dotzymanie słowa—zawołał biskup.—Wiarołomstwo kala, a nigdy do celu nie prowadzi.

Godziż się nam szukać obcych Bogów, mając po panu dziedzica, który już wybranym został?

Dersław syknął żartobliwie, na dziedzica, ale go zahukano. Zmilczeć musiał.

— Nie co innego grozi, jeżeli część narodu się odszepi od nas, wiernych słowu i uchwale, jak wojna domowa. Uważcie więc co ona za sobą prowadzi, gdy do niej się Krzyżacy i Zygmunt Luksemburski wmieśza, gdy i Ruś i Litwa oderwać się mogą... Używaliście długo spokoju i bezpieczeństwa, chcecie więc znów powrotu tych czasów, gdy po śmierci Łoisa na łup bratniej wojnie wydany był kraj.

Jagiello złamany wiekiem, sam przez się w ostatniej wojnie występować nie mógł, bezwładnym był, a kraj się przecieź bronił i ostał cały. Przedewszystkiem słowa dotrzymać należy, a na zapasy pretendentów do korony kraju nie wystawiać. To co tu uchwalicie, pomnijcie dobrze, będzie uchwałą życia lub śmierci rodzin waszych, bezpieczeństwa majątności, spokoju. Jutro wojna się zapalić może. Z wrogiem obcym rozprawa niestraszna, z domowym i grzeszna w oczach Boga i zgubna a nieskończona...

Mówił, a głębokie milczenie panowało w izbie. Spoglądano po sobie. Powaga i namaszczenie jego słowa, pewność, z jaką je wygłaszał, działały na umysły, potrząsano głowami.

Goworek pierwszy nie przeciwiając się niemal potakując, rozłożył ręce, podniósł je, westchnął.

Pomiędzy sobą zgromadzeni zaczęli zeicha rozprawać, ale Oleśnickiemu nie odpowiadali. Biskup gdziekolwiek dosłyszał coś takiego, przeciw czemuś mógł protestować, zabierał głos.

Tak pojedynczo ludzi sobie jednał, przystępując

do nich i nie wabając się z każdym na nowo poczynąć dysputy.

Spytek i Dersław stojący zdala, sami nie chcąc się odzywać, napróżno popychali innych naprzód. Widocznem było, że biskup sprawę wygrywał.

Przypominano walkę Nałęczów z Grzymałami, спустoszenie kraju.

Wszyscy powoli godzili się na to, iż lepiej zgodnie ukoronować małoletniego, niż wojnę prowadzić o koronę, a kraj na pożogę i zniszczenie wystawiać.

Zwolna mniej śmieli a strudzeni, wymykać się zaczęli z biskupiego dworu. Została mała kupka, z którą biskup swobodnie już rozmawiał, jako z przekonanymi i przeciągniętymi na swą stronę.

— Jedźcie do domów, nie dajcie się opanowywać warchołom, którzy kraj gotowi poświęcić, aby od najazdów mieć dogodną porę i sakwy naładować, a na rozpustę je opróżniać.

Kilkodniowemi próżnemi rozprawami zużona szlachta, radę tę przyjmowała wdzięcznie.

Wychodzili z dworu biskupiego powtarzając sobie, iż czas do domów było, a tu już niema co robić.

Spytek i Dersław spostrzegli się w końcu, że nie mieli już na co czekać. Pobici byli na głowę, prawie bez walki.

Z szaloną zaciętością przeciwko biskupowi Spytek się wyrwał ze dworu. Dersław śpieszył za nim. Chcieli łapać rozplywającą się szlachtę, ale głosy ich nie miały już znaczenia, nie słuchano, rozjeżdżali się wszyscy.

We trzech ze Straszem, prawie opuszczeni, dopadli do gospody Dersława, który kłął klechów, nie wyjmując stryja.

— Podszedł nas! zdrajca!

Strasz na szlachtę wymyślał, że lada komu się daje za nos wodzić, że doma żony, a za domem klechy czynią z nią co chcą.

Ale wszystkie te krzyki i łajania do niczego nie służyły. Zgromadzenie w oczach się już rozpraszało, niepodobna go było powstrzymać.

Spytek i Dersław poczęli pytać się, co począć dalej.

Strasz jeden nie stracił głowy.

— Niema tu co myśleć — krzyczał. — Koronacya na św. Jakób ogłoszona. Trzeba hurmem, ciżbą jechać na nią i nie dopuścić. Nie może to być, aby mimo krzyków i przeciwienia się tyła szlachty gwałtem pędzaka koronowali... Na zamek pójdziemy, do kościoła... i nie damy... nie dopuścim! nie pozwolimy.

— A wielu nas tam będzie?—zapytał Dersław.

— Jak sobie pościelem tak się wyśpiemy — krzyczał Strasz. — Cóż to trudno szlachtę spędzić o swym koscie, i poprowadzić ją? Musi śpiewać piosenkę tego, na czym wózek przyjedzie.

Spytek zaczynał mu potakiwać, lecz gorzko mu było.

Wielu z tych, na których rachowali, biskupowi uległo. Znani ze skłonności do husytyzmu, w ostatniej chwili zamilkli.

— Mogą nam tak samo usłużyć przy koronacyi! — zawołał.

Strasz zaprzeczył.

— Składacie winę na nich, wy sami winniście — zawołał. — Ja nie chodziłem do biskupa, wyście szli i cóżeście zrobili. Oba milczeliście stojąc w kącie. Niejednemuby męstwo przyszło, gdybyście tylko przykład dali... Wyście stchórzyli.

Dersław porwał się ku niemu groźnie, ale Strasz się nie cofnął.

— Pytałem tych, co wracali od biskupa — rzekł. — Nie odzywaliście się, odpadła drugich ochota od uciekania się. Alboście to nie mogli klesze w oczy prawda smagać?.. a odjąć mu tą jego butę! Wy staliście jak trusie, nie miałże zwyciężyć?

Spytek pierwszy po namyśle przyznał słusność Straszowi.

— Na koronację jeśli jechać mamy, gotować się trzeba gardłować, bodaj łajać i wymyślać, to lepszo niż złość cicha. Zuchwalstwem człek zawsze wygrywa, a milczenie na nie się nie zdało.

Derśław przerwał tłumacząc się zdradą Goworka, którego nazwał „grzybem“, narzekał na sędziego poznańskiego, na Działoszę, że raz się ozwawszy, wszyscy potem stali milczący.

Znowu więc mężtwo wstąpiło w spiskujących, a dał go im Strasz, w którym zemsta tem się więcej rozżarzała, że jej zadość nie mógł uczynić.

Spytek liczył swych wiernych, Derśław namyślał się kogo ma wziąć z sobą. Chciano korzystać z tego, że szlachta jeszcze się nie rozjechała, ale zapóźno już było. Wprost od biskupa, obawiając się wymówek od Spytki i innych wodzów, kto mógł wyruszał z Opatowa. Nawet stary Goworek nie żegnając się z Derśławem, nie tłumacząc, zniknął z miasta. Innych, znaczniejszych połapać nie było podobna, a z drobniejszymi butna młodzież mówić nie chciała.

Strasz natychmiast wybierać się począł do Krakowa, aby tam w miejscu pozawiazywać stosunki i sprzymierzeńców sobie jednać skrytych.

VIII.

Gorącego dnia lipcowego, nad wieczór wjeżdżał do Krakowa wspaniały orszak młodego rycerstwa, na którego czele jechał strojny, z podniesionym hełmem, twarzy dziwnie urodziwej młodzian, oglądając się dookoła, a mówić się zdając do ciekawych, których po ulicach było pełno:

— Albom nie piękny?

A był w istocie nietylko pięknym, ale tak się sta-
wił pańsko, a ci co mu towarzyszyli, byli tak dobra-
ni, liczni i strojni, że go za jakie książątko z Ma-
zowsza lub Szlązka wziąć było można. Na hełmie,
którego przyłbicę umyślnie podniósł, siedział ptak ze
skrzydły rozpostartemi jak do lotu, jastrząb w szpo-
nach trzymający podkowę.

Mieszczanie, którzy niebardzo mogli odróżnić ja-
strzębia od orła, gotowi byli Dersława z Rytwian
wziąć też za udzielne książę.

Świeżo zdobyty stryjowski skarbiec w kaplicy
w Orzelcu, dostarczył mu grzywien na świetne wystą-
pienie w Krakowie czasu koronacyi, której on, Spy-
tek, Strasz i wielu innych przybywali zapobiedz i nie
dopuszczyć. Nie kłopotalo to wcale młodzika, że się tu
oko w oko miał spotkać ze stryjem, którego złupił
w sposób tak zuchwały i niewdzięczny. Był prawie
pewien, że starzec trwożliwy, dla uniknięcia zgorsze-
nia, da się przebłagać i lada czem uspokoić.

— Z grzywami się swemi starowina nie zoba-
czy — mówił do przyjaciół — ale siodła ze srebrnymi
strzemionami i inny łom, który się w dole znalazł,
gotówem mu oddać!

Krakowscy mieszczanie już od dni kilku coraz
mieli nowe widowiska, przypatrując się nadciągającym

do stolicy posłom, i mnogim panom, biskupom, prałatom, których koronacja do Krakowa sprowadzała. Od Zygmunta Kiejstutowicza z Wilna, przyjechali już byli wysłani dwaj panowie, gdyż on sam, jeszcze ze Świdrygiełłą wojując, przybyć nie mógł. Drugiego dnia mołdawscy posłowie, potem mazowieccy książęta, Ziemowit, Kaźmirz, Bolesław stawili się do Krakowa.

Nie odzywali się oni sami z niczem, a przybycie ich, było tylko na pozór uczczeniem młodego króla, ale na nich oglądało się wielu, i oni wiedzieli o tem. Dersław chciał Bolesława do korony popierać, inni zeicha Ziemowitowi myśleli powierzyć nad małoletnim opiekę.

Na zamku, w mieście, w dworcu biskupim ruch był, zajęcie wielkie, niepokój; a choć Oleśnicki ze zwykłym spokojem patrzył z góry na to, co w koło nurtowało, ruszało się, szemrało i groziło, królowa w śmiertelnej trwodze liczyła godziny, dzielące ją od koronacji.

Była ona postanowioną, zdawała się pewną, a w ostatniej chwili coraz to mniej spodziewane podniosły się przeciwko niej głosy i rodziły wątpliwości. Nawet w kolei senatorów, nawykłych iść za skazówkami Oleśnickiego, znajdowali się przeciwnicy...

Królowa Sonka modliła się i płakała. Przez cały dzień trzymała przy sobie syna starszego, zawsze pogotowiu prowadzić go, polecać, okazywać wszystkim i prosić za nim.

Posłańcy z zamku biegali ciągle na biskupstwo, do miasta, przynosząc to pocieszające, to trwożące wieści.

Hincza, który tu czuwał, wiedział o każdym obrocie Strasza, śledził wszystkie jego kroki; nie było mu tajem, że on, Spytek i Dersław, przy pomocy swoich przyjaciół, mieli wywołać opór stanowczy. Lecz nie tyle może obawiano się tych niespokojnych ludzi, nie mających znaczenia, a osławionych jako

husyckich sprzymierzeńców, co kilku siwych głów, w radzie senatorskiej odzywających się z powątpiewaniem, czego Oleśnicki nie ukrywał przed królową.

Czem tylko pozyskać sobie zdołała Sonka ludzi, o których wiedziała, że przeciwni być mogli, nie zaniedbała nic. Sypała obietnicami i podarkami, lecz niewszędzie mogły one pozyskać tych, którzy o kraju nie o sobie myśleli.

Zbliżał się dzień św. Jakóba...

W piątek biskup z radą senatorów, której królowa z synami zdala była przytomną, uroczyście na zamku przyjmował posłów Zygmunta i hospodara multańskiego. Naradził się on pierwiej z nimi i wpoił w nich to, że powinni byli głośno się oświadczyć, iż życzą jaknajprędzszego wyboru starszego Jagiełły syna.

Poselstwa przygotowywały przytomnych panów, do głosowania w tejże myśli. Zaledwie odeszli mołdawscy posłowie i królowa się oddaliła, gdy wśród zasiadających panów poczęły się odzywać nieśmiało zarzuty przeciw temu pośpiechowi, z jakim w sprawie koronacyi postępowano.

Ostroróg wojewoda poznański, poszlakowany o blizkie stosunki z Dersławem i Abrahamem Zbąskim, pierwszy zagał sprawę drażliwą.

— Miłościwi panowie — rzekł, odwracając się od biskupa ku innym. — Czas jest rozważyć jeszcze, czy nie grzeszymy pośpiechem. Koronujecie pacholę. Dziesięcioletnie chłopię nie podola rządowi królestwa tak rozległego. Potrzeba mu będzie dodać opiekunów i radców... zważcie ile to obudzi współzawodnictw, zazdrości, niechęci?

W ślad za Ostrorogiem, począł Mielsztyńskich pokrewny, Jan z Górki.

— Dobijaliśmy się wiekami praw nam przysługujących, swobód, za które ojcowie nasi krew przelewali... Mamy prawo dopominać się ich potwierdzenia; małoletni król, choćby nam je zaręczył, nie będzie to mieć wagi żadnej. Może do lat odwołać i rzucić

nam w oczy, że nie miał prawa się wiązać... A zechcemy czekać z potwierdzeniem pełnoletności, któż nam zaręczy, że nie odmówi??

Oleśnicki był pozprawom tym, nie po raz pierwszy w ciągu tych dni powtarzającym się, przytomnym. Przypominał koronacyą Kaźmirzową.

— Rzecz niebezpieczna, ukoronowania małoletniego—rzekł.—Sama wdzięczność matki i syna nie dopuści, aby nas zawieść mógł. Czuwać nad nim będziemy, wpoić potrafimy mu wierność zobowiązaniom. Przypomnijcie łagodność i dobroć ojca, którą ona po nim odziedziczy.

Stał za biskupem kapelan jego młody, któremu Oleśnicki słowo jakieś szepnął do ucha, a ten natychmiast wyszedł.

Mikołaj z Michałowa, pan krakowski, począł mówić o młodym panu, którego często widywać miał z ręcznością, wychwalając jego przymioty rycerskie i serce szlachetne.

Potwierdzał to marszałek Jan Głowacz. Przeciwnicy zamilkli chwilę, gdy wyśłany przez biskupa kapelan powrócił na salę, niosąc wielką księgę w białą skórę z złoconemi klamrami oprawną.

Wszystkich oczy zwróciły się na nią. Księga ta miała być rzecznikiem młodego króla i w tych dniach, co o przyszłości rozstrzygały, głos swój dać za nim.

Był to zbiór praw nadanych przez Kazimierza, wzięty z biblioteki katedry na Wawelu. Na pierwszej jego stronnicy współczesny illuminator odmalował króla, którego pamięć czcili wszyscy, siedzącego na tronie z mieczem obnażonym, jakby w obronie praw, które dał narodowi.

— Patrzcie i posłuchajcie mnie—odezwał się Zbigniew, biorąc księgę do ręki. — Niech ona przemówi do was, lepiej niżbym ja potrafił.

Umilkli wszyscy.

Czytał biskup ze statutów Kaźmirzowych, jako pospolitemu człowiekowi, około którego ani czuwania

tylę, ani takiej w wychowaniu troskliwości być nie może, jak około królewskiego dziecięcia, piętnasty rok już dojrzałość przyznaje. Pięć lat więc tylko czekać trzeba było, aby Władysław pełnoletności doszedł, lubo dzieciom panujących i wcześniej ona była przyznawana. Cóż znaczyły te lata, przy powszechnem czuwaniu i czy one większem mogły grozić niebezpieczeństwem, niż wybór nowy, niepewny, na któryby jedności i zgody nigdy nie było? A krzywda wdowy królowej i sieroty nie miałaż brzemieniem całego narodu sumienia obciążać?..

Mówił tak wielce poruszony Oleśnicki i księgę rozłożoną z wizerunkiem Kaźmirza na stole rozpostarł. Oczy senatorów zwróciły się na te karty, na ten wizerunek z jakimś poszanowaniem i rozrzewnieniem. Serca ich zmiękły. Zamilkli wszyscy...

Korzystał z tego Oleśnicki i dodał poważnie a smutnie.

— Losy państw są w rękach Boga. Żaden rozum ludzki nie może przewidzieć ich, ani uchronić od tego, co Opatrzność im zgotowała. Jedno tylko jest w mocy człowieka, spełnienie obowiązku, dochowanie słowa, dotrzymanie przysięgi. W łonie tej rady zgodne powinny się odezwać głosy, w chwili gdy garstka wichrzycieli chce pokój nam zamącić i rzucić państwo na łup nieprzyjaciołom. Skupmy się około tronu, bądźmy wszyscy stróżami jego i opiekunami.

Niech ten wizerunek wielkiego króla będzie świadkiem zobowiązania naszego względem rodziny zmarłego pana!

Wszyscy uczuli się poruszonymi i nikt nie śmiał się sprzeciwiać.

Senatorowie powstali. Był wieczór już, biskup wprost szedł do królowej, która w niepokoju ciągłym na wiadomość oczekiwała.

Zwycięztwo uczyniło go spokojniejszym i weselszym. Z twarzy mogła wyczytać królowa, iż jej poecie tak pożądaną przynosił.

— Przychodzę z Rady—rzekł wesoło.—Jeżeli były jeszcze jakiekolwiek wątpliwości co do dnia jutrzejszego sędzę, że są zniesione. Król Kaźmirz pomógł mi do przewyciężenia ich. Senatorowie wszyscy są zgodni.

Złożyła ręce królowa, a na dany znak młode chłopię w milczeniu przyszło ucałować rękę biskupa.

— Pomimo zapewnień twych, mój ojcze—odezwiała się ciszej Sonka — dzień ten jutrzejszy nie będzie do przebycia łatwym. Gotują się nieprzyjaciele. Niepoczeiwy Strasz, burzliwy Spytek, plochy Derśław i cała gromada ich przyjaciół zapowiadają, że na koronację nie pozwolą. Odgrają się, że gotowi u drzwi kościelnych krzyczyć i lud podburzać...

Oleśnicki pogardliwie twarz zmarszczył.

— Wszystkiego się po tych ludziach spodziewać można, którzy ani Boga, ani kościoła nie szanują, a zerwali z wiarą, na której łonie się wychowali. Okryją się ohydą, ale nie dokażą nic. Ze wzgardą odwrócą się od nich ludzie... a my wcale na ich hałasy i krzyki zważać nie myślimy. Zmuszeni jesteście my poszanować ich prawo wolnego głosu, lecz słuchać go nie nas nie obowiązuje.

— Ah! gdyby można uniknąć tego! Ublagać ich, obdarzyć—rzekła królowa niespokojnie.

— Ani prosić, ani w targi z niemi wchodzić nie możemy—odparł biskup.—Uzuchwalilibyśmy warcholów, okazalibyśmy słabość i nieufność w prawa nasze. Cóż znaczą głosy kilku ludzi?

Tu biskup zniżywszy głos, wyraził się dobitniej jeszcze.

— Psy na księżyc szcękają... świeci on dla tego...

Noc to była, której nikt nie spoczął w Krakowie. Nazajutrz gotował się dzień wielki. Nie widać było jednak na twarzach radości nigdzie, a na wielu posępne przeczucia przyszłości. Na zamku przygotowania czyniono do uroczystości jutrzejszej, w kościele służba stawiała tron i zaścielała dla senatorów ła-

wy. W rynku mieszczanie sposobili się w poniedziałek hołd oddawać zwykły młodemu królowi. Po gospodach panowało milczenie w jednych, gorączkowy w drugich niepokój.

Wszyscy co nazajutrz do zażartej gotowali się wojny, widząc już zawczasu, iż ona dla nich przegrana skończyć się musi, gniewni i bezsilni się rzucali. Jechali tu w nadziei, iż daleko silniejszym zastępem staną. Obiecywało się wielu. Kraków co chwila im odbierał sprzymierzeńców, odpadali i chwylili się. Najśmielsi nawet ulegali tej atmosferze, wśród której się tu znaleźli. Przekonywali się, że są garstką nie nieznaczącą, która zaburzyć może, ale nie dokonać nie potrafi.

Strasz tylko nieubłagany, Spytek, który przez dumę nie chciał się cofać, i Dersław lekkomyślny a rad, że szeroko rozgłosi swe zuchwalstwo, trwali w zamiarze opierania się koronacyi, wbrew wszystkim. Całe zresztą ich stronnictwo składało się z wymienionych już osób, które w Opatowie czynne były, a z tych nawet Ostrorogowi nie wiele ufano, bo go senatorowie uchodzili, a Abram Zbąski, choć obiecywał nie ustąpić, zbyt jednak czynnym być nie chciał. Kupka ludzi bez imienia i znaczenia miała otoczyć przewódzców, ale na nich oni sami nie liczyli wiele. Byli to tacy, których powaga większości, sam odlask i majestat magnatów, rozproszyć miały.

Lipcowa noc, przy oknach otwartych na Grodzką ulicę, w gospodzie Dersława, zeszła na urywanej rozmowie, którą Strasz przekleństwami podsyczał... Wychudły bardziej jeszcze, z wypieczonemi rumieńcami, znużony wysiłkami próżnemi, coraz to sięgał do kubka, pił i chodząc po izbie odgrażał się.

— Zobaczają, zaprawdę zobaczają że nas ustraszyć nie zdołają.

Spytek milczał, Dersław podśpiewywał. Ostatni wieczorem widział Ostroroga i przyniósł od niego sło-

wo zimne... nic nie obiecujące. Wojewoda odradzał im nawet próżne zawichrzenie.

Dzień już dobrze zaczynało, gdy Spytek leżący na ławie usnął. Strasz rzucił się po izbie, Derśław gospodarz siedział zadumany ziewając, gdy z za drzwi dla gorąca otwartych ukazał się jego powinowaty Jastrzębczyk, który przy nim się wychował, zwano go Czubem. Był to najżwawszy z jego dworu, którym się on najchętniej posługiwał, choć często się waśnili. Gdy Strasz zwrócony był tyłem, Czub dał znak porozumienia cichy Derśławowi, wzywając go aby wyszedł.

Nie wiedział on co ta tajemnica zuaczyć miała, ale wstał leniwo z ławy, i wysunął się z izby. Czub poprzedzał go do bocznej komory, której drzwi otworzywszy, wskazał, iż tam ktoś czekał na niego. W istocie w mroku porannym widać było słusznego wzrostu mężczyznę, który za pas ręce złożywwszy stał, a zobaczywszy wchodzącego pośpieszył ku niemu. Zdziwiony Derśław poznał w nim bratanka swego Staszka, który przy arcybiskupie przesiadywał i na jego dworze marszałkował.

Od czasu napaści na Orzelec i porwania skarbu, Derśław nikogo z blizkich swych przy arcybiskupie będących, nie widywał. Zerwać musiał z nimi, dopuściwszy się gwałtu. Widok Stacha zmieszał go niepomału.

Starszy od niego wiele, krewniak, poprowadził go nie nie mówiąc od drzwi do okna.

— Człowiecze — zawoła poważnie — co ty najlepszego czynisz! Srom rodzinie całej!! Opamiętaj się! Dla jednej głupiej dziewczki gładkiej, choćby i księżniczką była, a której ci nie dadzą, zapomnieć o tem coś winien stryjowi, zawołaniu swemu, Bogu i ludziom! Na zgubę idziesz... w przepaść!!

Derśław się obruszył, rzucił, ale odpowiedzieć nie miał co. Sądząc, że chce uciec, Stach go zatrzymał za rękę.

— Co się stało ze stryjem, to nasza sprawa domowa — rzekł — wszystko się da zatrzeć i zagościć, ale gorzej będzie, gdy z warchołami się sprząglisz, jak słyhać, wystąpisz przeciw biskupowi i królowej! Po co ci to? Zamykasz sobie drogę do wszystkiego...

Stryj ma do ciebie żal, ale jego ubłagać można, a gdy z husytami pójdziesz a zwiążesz się ze Spytkiem i Zbąskim, toś przepadł!!

Dersław spojrzał dziko na mówiącego.

— A cóż czynić mam! — krzyknął.

— Arcybiskup się lituje nad tobą, jam z tem przyszedł — dodał Stach — abym cię od skraju przepaści odciągnął. Miarkuj się póki czas.

Zadumał się smutno Dersław.

— Słowom dał... iść muszę.

— Iść na salę nikomu nie wzbroniono, ale milcz i nie wrywaj się — mówił Stach. — Niech inni krzyczą, to nie twoja rzecz... Strasz, Spytek a choćby i Zbąski husyty są i nieprzyjaciele kościoła, ale ty... ty, synowiec arcybiskupa... On ci tego nigdy nie przebaczy...

Dersław słuchał milczący. Nadzieja przejednania się ze stryjem, którego złupił, w widoku dziedziczenia po nim... uśmiechała się powabnie. Ofiarę dla niej uczynić było warto.

— Najlepiejby było, żebyś nie szedł z nimi — rzekł — mógłbyś się uczynić chorym, ale nie potrafisz-li się uwolnić, milcz i zaszyj się w kącie, a słowa nie piśnij... Tym sposobem choć cokolwiek stryja ułagodzisz, aby cię nie wyklął i nie wydziedziczył.

Powiedziawszy to, chciał ujść już bratanek, nie czekając odpowiedzi, gdy Dersław po wahaniu się i namyśle, zatrzymał go.

— No, zgoda — rzekł — jeżeli stryj tego wymaga po mnie, gotówem milczeć. Niemniej jednak na sali z nimi być i stanąć muszę...

— Ale gdyby nie otwieraj i patrz, aby cię tam jak najmniej widać było.

Wszystkie wasze zabiegi daremne, królewicza Władysława ukoronują dziś, a będzie on i matka jego pamiętała tym co się sprzeciwiają koronacyi, nikt z nich nie dojdzie do niczego,

Nie mówiąc nic, gospodarz podał rękę bratankowi, przeprowadził go do drzwi, oddał Czubowi w ręce, a sam wrócił do izby większej, po której Strasz chodził jeszcze, winem sobie dodając animuszu.

Spytek drzemał, ale dzień się robił coraz jaśniejszy. Zawczasu potrzeba było znajdować się na sali białej w zamku, bo późno przybywając i dla tłumu pewnie trudnoby się było docisnąć i znaleźć się mogli tacy, coby umyślnie nie dopuścili znanych wicherzycieli.

Straszowi pilno było. Ten też do wyjścia żadnego nie potrzebował przygotowania, ani stroju. Przez rodzaj wzgardy dla zgromadzenia, lekceważenia senatorów i dla okazania ile wycierpiał, umyślnie chciał na zamek iść w codziennych sukniach wyszarzanych — tak jak stał.

Spytek przeciwnie dbał wiele o strój pański i świętny. Derśław także miał wdziać szaty co najparadniejsze, ale po widzeniu się ze Stachem, zubożał.

Zbudzony przez Strasza, Spytek poszedł do gospody swej, dla zmiany sukni. Derśław także zawołał szatnego, ale mu szepnął, że w ciżbie tej najlepszych swych sukni szarzać nie myśli i kazał sobie dać mniej okazałe i pośledniejsze.

Gdy się to działo, miasto budziło się i ożywiało. Na zamek, ku Wawelowi, do kościołów kto żyw się włókł zawczasu, aby sobie miejsce zapewnić. Rozpo wiadano, że biskup życzył, aby koronacya zawczasu się mogła począć, bo ceremonia długi dość przeciąg czasu zając musiała.

Wiedzieli wszyscy, że kościelny obrzęd poprzedzić miała rada wielka na białej sali, gdzie królem okrzy-

knąć miano Władysława, a natychmiast potem wyprowadzić go do katedry i rozpocząć koronację... Właśnie tu Strasz, Spytek i ich poplecznicy opór mieli wzniecić, przeciągnąć go tak, aby msza już się rozpocząć nie mogła dla pory spóźnionej, wszystko do następnej niedzieli zostało odłożone, a tydzień im służyć miał do pozyskania sobie ludzi i przeciągnięcia ich na swoją stronę...

Z obu stron gotowano się do walki, lecz Oleśnicki, który i arcybiskupa i innych duchownych i senatorów miał za sobą, niemal pewnym był zwycięstwa.

Poprzedzającego dnia królowa Sonka obawiając się, aby przeciwko synom jej, Piastów mazowieckich nie stawiono, umiała tak zabiegać, błagać a obiecywać im ztąd korzyści, że mazowieccy stanęli po jej stronie i przyrzekli za młodego króla z nią razem rządzić narodowi.

Bardzo wczesnie dolna sala biała zaczęła się napełniać, lecz wchodzono i wychodzono, a senatorów nie było jeszcze. Dla królowej stało pod baldachimem przygotowane siedzenie, dla senatu świeckiego i duchownego ławy okryte... dla innych proste, ile miejsca starczyło...

Szlachta i pomniejsi urzędnicy już zaczęli napływać i sadować się, obierając sobie siedzenia dogodne, gdy z niezmiernym przepychem strojny, z dumną miną, okolony liczną dosyć gromadą nadjechał Spytek z Mielsztyna.

Obok niego z jednej strony wychudły i straszny roznamietnieniem Strasz, z drugiej Abram Zbąski sędzia poznański, dalej nieco Dersław z Rytwian i pomniejsi różni, cisnęli się kupą na salę... Było tu już ludzi dosyć.

Spytek chciał zaraz miejsce sobie jak najbliżej tronu i senatorów obrać, ale mu ich nie dał marszałek, opowiadając, że dla wojewodów i kasztelanów zachowane były. Musiał więc ku jednemu oknu cofnąwszy się z gromadą swą, zająć pośledniejsze miej-

sce, zawsze jeszcze dosyć blizkie, aby się głos jego dał słyszeć.

Dersław milczący, stanął za nim, z wielkiem podziwieniem Strasza, nie zdając się ubiegać o to, aby bardzo był na oku. Uderzyło to jego, a może i innych, lecz na sali sporu rozpoczynać z nim nie pora była...

Sala coraz się więcej napelniała i cichy szmer tylko w niej słyhać było... Spozierano po sobie. Z lic widać było, że walka musiała zawrzeć gorąca...

Koronacya dnia tego zależała od godziny ukończenia głosowania i sporów...

Przed południem musiał ze mszą wyjść arcybiskup. Zostawało więc zaledwie parę godzin na zwalczenie nieprzyjaciela.

Wszyscy urzędnicy koronni byli zawczasu na swych miejscach, gdy arcybiskup ukazał się w szatach swych uroczystych, a obok niego Zbigniew krakowski, Władysław włocławski nominat, Stanisław płocki i Jan chełmski biskupi... Zgromadzenie powitało ich powstaniem, w milczeniu zajęli miejsca...

Z twarzy smutnej i wylęklej arcybiskupa Wojciecha niewiele było można wyczytać, Zbigniew szedł z głową podniesioną dumnie i choć prymasowi miejsca ustępował, nikt się omylić nie mógł na tem, kto tu z nich w istocie większe miał znaczenie i siłę.

Oleśnicki zajmawszy miejsce, rzucił wejrzeniem śmiałem w stronę Spytki, zmierzył oczyma jego i tych których prowadził, westchnął i odwrócił wzrok, jakby niewiele sobie ważył tych ludzi.

Arcybiskup oczu podnieść nie śmiał, pocichu rozmawiał z płockim biskupem, aby nie okazać wzruszenia, jakiego doznawał. Spojrzeć w tę stronę, gdzie się stojącego synowca spodziewał, nie śmiał.

W tem drzwi za tronem otwały się, powstali wszyscy, weszła w żałobie, w długich zasłonach, z powagą i smutkiem, błada królowa. Chciała być mę-

zną, ale się pod nią chwiały nogi. Obok niej szli dwaj synaczkowie... Za nią czterej księżęta mazowieccy.

Już to, że oni jej towarzyszyli miało znaczenie...

Chwila milczenia nastąpiła...

Biskupi naradzali się między sobą...

Zagał słabym głosem Wojciech gnieźnieński, wzywając senatorów do głosowania...

Zaledwie skończył mówić, powstała królowa i postąpiła naprzód kroków kilka... Cisza wielka panowała w sali...

Zaczęła mówić głosem tak cichym w początku, iż najbliżsi zaledwie usłyszeć ją mogli...

Prosiła wszystkich zgromadzonych, aby dotrzymując słowa danego nieboszczykowi królowi, jednego z synów jej na następcę po nim wybrali. Za dotrzymanie wszelkich zobowiązań i potwierdzenie przywilejów po dojściu do pełnoletności, ofiarowała porękę swoją i książąt mazowieckich...

W końcu tego przemówienia, które niełatwo jej przyszło, podniosła oczy ośmielona nieco, powiodła po zgromadzeniu i dwie łzy otrzeć musiała...

Głos jej przebrzmiał i nikt się nie odezwał rychło. Wstawał już do przemówienia Zbyszek, biskup krakowski, gdy Abram Zbąski wydobywszy się naprzód, głosem namiętnym, choć wyrazami niby umiarkowanymi, począł te same wywody i argumenta, jakimi szermowano w Opatowie.

Były to słowo w słowo też wątpliwości, te obawy, ta nieudolność małoletniego do rządów podnoszona, ten sam strach o przywileje szlachty, które król nowy mógł samowolnie odebrać... Zbąski dosyć wymownie i zręcznie to wyraził. Nie przerywano mu...

Nie dając odpowiedzi przeciwnikowi i przyjsć do słowa, po Zbąskim począł gwałtownie a niezręcznie mówić Strasz. Złości i ognia w przemówieniu jego dosyć było, lecz namiętności najwięcej.

Gromadka tylko okalająca jego i Spytką, wystą-

pieniu temu wtórowała i dawała znaki przyzwolenia. Szmer i gwar powstał w sali.

Spytek, który już niecierpliwił się tem, że go wyprzedzono, w boki się wzięwszy, krzyżeć począł.

— Zmusić nas chcą księża, biskupi i panowie senatorowie do tej koronacyi. My jej nie chcemy i nie możemy dopuścić. Mówią nam, żeśmy królowi przyrzekali w Brześciu, ale warunkowo. Niema komu przywilejów naszych potwierdzić. Gromadce ludzi co tron obiegają, na rękę sobie małoletniego ukoronować, urzędy między siebie i panowanie rozebrać, a resztę rycerstwa w niewolę wziąć. Ale my nie damy się okuć, króla tego nie chcemy i tych co się nim opiekują...

Zwołaliśmy na to zjazd w Opatowie, aby się sprzeciwić, i tu stoimy i stać będziemy opornie. Króla sobie narzucić nie damy... Wybierzemy go sami i ukoronujemy, gdy pora przyjdzie...

Spytkowi przyjaciele poczęli wołać.

— Nie damy sobie króla narzucać.

— Nie damy...

— Nowy zjazd powszechny zwołać.

— Koronacyi nie dopuścimy...

Napróżno Zbyszek, potem Mikołaj z Michałowa, Tarnowski i Koniecpolski głosy zabierać chcieli. Wrzawa wzrastała, a choć gromadka co ją wywoływała niewielką była, liczbę zastępywała burzliwym, nieustannem występowaniem.

Gwałtowność z jaką Spytek się odezwał, krzyki i wywoływania Strasza, wymowa zręczna Abrama Zbąskiego, jak się często w podobnych zgromadzeniach trafia, na mniej śmiałych, spokojnych i niepewnego zdania ludzi, widocznie działać zaczynały...

Bystre oko Oleśnickiego czytało w twarzach zachwianie się, zwątpienie. Nie można było dopuścić dłuższych rozpraw, które groziły onieśmieleniem bardzo wielu...

Wystąpił więc podnosząc głos tak, że zagłuszył

Spytka, Jan Głowacz z Oleśnicy, nie z tą powagą i majestatem słowa jak brat jego, ale z czystą polską rubasznnością, której skutku na umysły był pewnym.

— Wielka to cnota taka pieczołowitość o dobro powszechne, jaką okazują ci, co króla nie chcą, a żądają bezkrólewia! Znamy ją, bo czasu kapturów można dobra duchownym zajeżdżać, pana i prawa nad sobą nie znać, gródki brać, skarby łupić... czego nawet za małoletniego nie wolno...

Znamy tych, co się boją o swe przywileje, że im nie o swobody szlacheckie, ale o wszelaką idzie bezkarność. My też, starsi senatorowie, cośmy u boku króla nieboszczyka stali, dbamy o swobody nasze. Daliśmy dowody tego, broniąc ich nieraz, a karki nasze ważąc...

Miałoby zowanie kilku niespokojnych ludzi przeważać tam, gdzie najznaczniejsza część narodu jest zgodną.

Jan z Koniecpola kanclerz dodał za nim...

— Krzyczeć łącno, ale krzyk nie jest dowodem czego innego, tylko dobrego gardła... Zatem komu miło wołać, nikt nie broni, a my przez to co postanowione, dokonamy.

— My tak samo prawo mamy nie dopuścić — zakrzyczał Spytek — jak wy samowolą chcieć na swem postawić...

Podniósł rękę do góry... Wszyscy jego poplecznicy huknęli za nim...

Jan Głowacz stojący naprzeciw, spojrzał na nich wyzywająco i na głos się rozśmiał. Narada poważna przerodzić się groziła w namiętą wrzawę i walkę... Wstawali jedni powstrzymując, drudzy domagając się milczenia. Nie pomagało nic. Królowa, która siedziała na tronie błada, odprawivszy dzieci, bo królewicza Władysława musiano ubierać do koronacyi, z załamanemi rękami wyszła z sali.

Zbyszek biskup z zupełną pewnością ią siebie, nie tracąc cierpliwości, czekał chwili, aby się mógł ode-

zwać. Nie przemógł jednak hałasu i krzyków, wstał podchodząc do senatorów, i Spytkowi z Tarnowa szepnął, aby oni marszałkowi zlecieli przemówić raz ostatni do zgromadzonych stanowczo.

Godzina była spóźniona, czas upływał, gdyby spór się przeciągnął, koronację musiano by odłożyć, a naówczas za przyszłość odpowiadać nie mógł nikt.

Obdarzony głosem donośnym, Jan z Oleśnicy podniósł rękę, głosu się dopraszając...

Uciszać się zaczęło, nie żeby ustąpili i przełamać się dali Spytek i Strasz, lecz że ciekawi byli, co miał marszałek ogłosić.

— Z polecenia panów senatorów królestwa tego—zawołał Głowacz—oznajmuję zgromadzonemu tu narodowi, że starszyzna korony tej i wszyscy prawi synowie kraju, starszego królewicza Władysława na stolicę królewską postanowili wynieść i koronować. Komu się ta uchwała nie podoba, niech wystąpi i stanie po lewej ręce, ci co są z nami po prawej staną. Okaże się jawnie, jaki jest lik tych, co chcą się powszechnemu sprzeciwić głosowi...

Ruszyło się wszystko co żyło w sali, cisnąc na prawo i wołając: Niech żyje król Władysław...

Ten ruch jednogodny, powszechny, pociągnął z sobą ośmielonych i tych co się wabali...

Strasz napróżno krzyczał, Spytek się niecierpliwił, Zbąski głos chciał zabierać... Nikt ani patrzył na nich... Oglądając się za siebie postrzegł Strasz, że i Dersława mu nie stało. Zniknął.

Mielsztyński, on i Zbąski powyskakiwali na opustoszone ławy, napróżno nawołując...

W milczeniu uroczystem, duchowni i świeccy ciągnęli wszyscy pomijając ich, nie patrząc i nie słuchając, na pokoje do królowej, aby jej oznajmić o wyborze, zabrać z sobą Władysława i natychmiast z nim iść do kościoła, gdzie oddawna wszystko przygotowanem było...

Scena zaprawdę dramatyczna, a jedyna może w dziejach odegrała się w tej chwili na Białej sali.

Spytek wściekły, widząc się opuszczonym przez wszystkich, z pięściami pościskanemi, nogami bijąc o ławę, po nad głowy przechodzących miotał obelgi... Bezsilny gniew jego wyrażał się w sposób grubiański, dziki, oszalały... Strasz mu dopomagał. Miotali się tak napróżno. Zbąski nie opuścił stanowiska, stał i patrzył, lecz milczał...

Żaden z przechodzących nie zwrócił nawet oczów, nie dał poznać po sobie, że słyszał łajanie Spytki i kłatwy Strasza.

Przyszła nakoniec kolej na Jana z Oleśnicy marszałka, przejść pod tą burzą obelg, a potrzebował cierpliwości prawdziwie nadludzkiej, aby nie rozpocząć kłótni, znieść nie obracając się, jakby nie słysząc, co Mielsztyński dla niego przeznaczył.

— Słuchaj ty, Głowaczu, ty naszych swobód szlacheckich i praw kacie, oprawco... siepaczu... ty słuźalcze klechy... ty rabie plugawy... Myślisz, że ci to ujdzie bezkarnie... Gwałcicielu... Tchórzu podły... Jeśli masz odwagę... wyjdź, zmierz się zemną. Jam gotów życie dać za prawa nasze... Tobie w oblicze naplwać można bezkarnie.

Marszałek byłby miecza dobył, i krewby się połała, a koronacya spelzła na niczem, gdyby go idący przy nim kanclerz i inni nie powstrzymywali.

Z zimną krwią, w polskim szlachcicu niesłychaną, Głowacz z usty zaciśniętymi, szedł krokiem powolnym, nie drgnąwszy, nie zwróciwszy się, zmuszony udawać, że nie słyszy... Ofiara z jego strony była prawdziwie bohaterską...

Ostatni wreszcie wypłynęli z wielkiej sali Białej, która stanęła pustką... Głos Strasza i Spytki rozlegał się po niej tem ogromniej, ale nikt go nie słuchał.

Zestali sami we trzech tylko... zwyciężeni, sromotnie pobici. Strasz na sobie suknie darł ze złości. Spytek się odgrażał pomstą i łupieżą na Oleśnickich...

Ale największy gniew opanowywał go, gdy oglądając się widział, że z mnogich tych, co mu pomoc obiecywali, co przyrzekali stać wiernie, wszyscy uszli, nie było nikogo.

— Dersław! Dersław! gdzie ten łotr... gdzie, ja mu przy pierwszym spotkaniu łeb rozbiję.

O! tego mazowiecki Bolko, który przy królowej stoi, jednym skinieniem uchodził — zaczął Strasz. — On dla tej swojej Ofki rodzonego by się zaparł ojca.

— Psu brat! — mrucał Spytek...

Cisza wielka zaległa salę...

Mielsztyński skoczył z ławy... Byłby może na tem skończył, zemsty szukając gdzieindziej, gdyby nie Strasz... Szli powoli ku drzwiom.

— Cóż? na tem ma być koniec? — krzyknął — albo to kościoła nie ma, w którym oni wszyscy będą i swego pędraka tam sprowadzą. Nie możemy to iść do kościoła tak im krzyczeć nad uszami jak tutaj?

Spytek nie chciał się mniej odważnym okazać. Staął.

— Idźmy do kościoła! — zawołał.

— Ja nie pójdę — rzekł zimno Zbąski. — Dopóki mój głos słyszany być mógł i n słuchanym, mówiłem chętnie, i widzieliście, że się ich nie uląkłem, ale próżnej wrzawy jak ulicznik pijany, czynić nie będę.

Strasz się obraził.

— Na takich bezwstydnym ludzi i kamieniami i słowami ciskać wolno — zakrzyczał. — Niech wiedzą, że się ich nie lękamy i nieustępujemy...

Spytek nie dał się odwieść Zbąskiemu, wyszli razem w dziedziniec, śpiesząc, aby się wcisnąć do kościoła, który już był pełen.

Tymczasem krążgankami duchowieństwo i senatorowie wiedli już przybranego w szaty duchowne królewicza, albę, dalmatykę, humerał, sandały, manipularz, stułę i złocistą kapę zwierzechnią, do katedry. Za nim szła matka, Kaźmirz mały i mnogi dwór,

który razem z Sonką, w śmiertelnej trwodze, słuchając wrzawy, czekał na tę godzinę...

Ściągnęło się to do południa, tak, że arcybiskup Wojciech zaledwie miał czas mszę świętą rozpocząć...

Kościół niewielki naówczas, nabity był cały, podwórcie zalegał lud ciekawy... Spytkowi ze Straszem z początku do drzwi się trudno było docisnąć, cóż dopiero do wnętrza...

Ale Strasz, którego zemsta czyniła szalonym, a szaleństwo dawało mu siłę nadzwyczajną, począł od progu rozpychać i rozbijać ludzi, torując Spytkowi drogę, którego strój i pańska postawa zmuszała bojaźliwszych do ustępowania.

Tak oba wichrzyciele, nieumiejący poszanować domu bożego, dostali się niemal do środka i potrafilili zająć miejsce takie, z którego senatorom a szczególnie marszałkowi Oleśnickiemu pięściami grozili, nągrawali się i łajali.

Królowa musiała na to patrzeć, lecz że wszystko już przezwyciężonem zostało, a obrzędu koronacyi nie już przerwać nie mogło, łatwiej zniosła tę obelgę, którą wiedziała komu zawdzięczać. Strasz bowiem nie tylko się nie krył z sobą, ale równie zuchwale jak Spytek naprzód wyrwał.

Oburzało to wszystkich, lecz przykład marszałka Oleśnickiego wyzywanego a cierpliwego na obelgi, innym też posłużył za wzór, tak, że nikt nie okazywał nawet, iż widzi ich i słyszy. Odwracano oczy, śpiewy księży i głos organów tłumił ich wywoływania. Tylko w czasie przysięgi, którą powtarzał król za arcybiskupem, cisza dozwalała szyderskim śmiechom i odgrózkom Spytką rozehodzić się po kościele.

Duchowieństwo mogłoby się było domagać wyrzucenia precz tych ludzi, którzy spokoju domu bożego nie szanowali, lecz biskup Zbyszek wolał im dać bezkarnie znęcać się nad sobą i drugimi, wiedząc, że najstraszniejszym dla nich sędzią będzie ogół ludzi, których uczynili świadkami swego szału.

Tak się też stało. Spytek i Strasz nie znaleźli tu jednego człowieka, któryby ich warcholstwo usprawiedliwił. Rozstępowali się od nich wszyscy, jakby otrzeć o nich obawiali.

Raz wszedłszy do kościoła, gdy długi obrzęd koronacyjny przeciągał się do samego wieczora, musieli pozostać do końca, znużeni i zasromani wreszcie. Spytek się upierał jeszcze na drodze, gdy król młody do zamku będzie powracał, zastąpić mu i krzyczyć, lecz Strasz był na pół omdlały, schryplły i w końcu on nawet widział, że szaleństwo ich, którem ludzie gardzili, nie mogło mieć skutku żadnego.

Ostatni śpiew kościelny skończył się prawie o mroku... Strasz i Spytek wyszli, a Mielsztyński jeszcze najrzawszy marszałka z laską poprzedzającego króla, nałajał mn zdaleka...

Duchowni, senatorowie, wszyscy na koronacji przytomni, na zamek szli biesiadować z młodym panem i matką jego. Spytek i Strasz sami powlekli się do gospody...

Mielsztyńskiemu z pamięci Dersław nie wychodził. Co się z nim stało! gdzie i jak zniknął, tak się wprzód odgrażając i panosząc?

Zaszli więc naprzód do niego...

Pusto tu prawie było... Z czeladzi znaczniejsza część przypatrywała się w dziedzińcach zamku pochodowi króla i panów. Na łożu, rozebrany, z rękami pod głowę podkureczonemi, leżał Dersław na strop patrząc...

Ujrawszy nadciągającego Spytkę, ziewnął i rozśmiał się.

— A co? — rzekł — ochrypliście? Koronacya dlatego się odbyła i króla mamy...

Spytek chciał począć łajając, gdy Dersław dodał zimno.

— Ja na darmo krzyczeć nie lubię. Dopóki spodziewałem się, że na naszą stronę przeciągniemy z po-

łowę senatorów... gotówem był. A tu, w dodatku, i stryj mójby mnie wydziedziczył.

Mielsztyński patrzył nań z pogardą.

— Siadajcie i dobrze zasłużonego używajcie spożyciu... Na ucztę do zamku wątpię, by was proszono, a u mnie bodaj czy co jest, oprócz wina i chleba...

Strasz padł na ławę jak długi i jęknął tylko...

Mielsztyński poruszył ramionami, i nie odpowiadając gospodarzowi, klasnął w ręce, jak gdyby w domu był, rozkazując sobie dać i wina i jada, jakie było.

Nie chciał zupełnie zrywać z Derśławem i odezwał się.

— Naprawdę za zdrajcębyś cię powinien mieć, ale z tobą jak bez ciebie, nie poczęlibyśmy nic, bo nas ci gwałtownicy liczbą przemogli...

Tylem miał, spytaj Strasza, że wobec wszystkich, marszałka Jana Głowacza katem i podłym nazwałem, na rękę go wyzywał i tchórzem uczynilem.

— A on co na to? — spytał Derśław...

Strasz jęknął. Spytek splunął...

— Niekoniec na tem — rzekł. — Zasadzę się na niego i łeb mu zetnę. On, on! a biskup winni wszystkiemu...

Poczęło się dobrze, ludzie się wahali, Zbąskiego słuchano z poszanowaniem...

Spuścił głowę Spytek, przerwał i dodał.

— To nie koniec! mnie nie zmogą tak łatwo...

Powoli do Derśława zaczęli się ściągać i inni, ci co występować do końca odwagi nie mieli, a teraz znowu do swoich śpieszyli, żeby choć zabość razem. Przywłókł Kuropatwa z Łańcuchowa, Nadobny z Rogowa i nawet Zbąski. Z obliczem ponurem, wzdychając, zbierali się do gromady, jedni drugim czyniąc wyrzuty.

— U nas nigdy nie począć nie będzie można skutecznie, póki klechy nam panować będą. Od nich

się naprzód wyzwolić trzeba jak w Czechach, a inny ład zaprowadzić...

Wszystko to Zbyszka robota, on tu król i pan... Marszałek Głowacz jego brat rodzony, kanclerz Oleśnicki z bratanką żonaty, Dobiesław lubelski kasztelan stryj jego, kasztelan radomski żonaty z siostrą, marszałek z Tęczynską, Jan z Tęczyna Dobiesława szwagier... wszyscy się trzymają za ręce i stoją pod infułą jego.

Zwrócił się do Dersława.

— A waszej miłości stryj — dodał — choć *primas* drży przed Zbyszkiem i przed niemi, coś dopiero inni biskupi, kiedy on w Rzymie plecy ma?

Splunął Kuropatwa.

— Żyzki nam trzeba lub Prokopa! — westchnął. Posiadali kołem stękając.

— A my — rzekł Nadobny z Rogowa — jak niczem nie byliśmy, tak do niczego nie dojdziemy!!

Wypowiedział niechęcy to, co podobno najmocniej wszystkich bolało, że niczem nie byli, i nie spodziewali się już nic zyskać...

— Za Dersława nie ręczę — przerwał trochę szydersko Spytek, spoglądając na niego. — W czas się z sali wyniósł, a stryj mu może przebaczenie wyprosić, byle orzelecki skarb oddał.

— Z tego skarbu, jak ze zgryzionego orzecha — rzekł Dersław — jeżeli co oddać mogą, to chyba łupiny.

Uśmiechnęli się smutnie.

Strasz leżał i jęczał. Tak, gdy na zamku biesiadowano wesoło, wspominając ranne burze w sali Białej, gdy młody pan wraz z matką ugaszczzał biesiadników, muzyka przygrywała i okrzyki rozlegały w podwórcach, zwyciężeni rozpamiętywali swój upadek.

Spytek się nie poddawał.

Nazajutrz rano młody król miał w rynku krakowskim hołd wiernych swych przyjmować na maje-

stacie siedząc, otoczony wszystkimi dostojnymi pany i posłami. Przez całą noc pracowano około przygotowania tronu, siedzeń dla dworu i wspaniałych stopni, które obijano szkarłatem. W ulicach nie było spokoju do rana... Dersław usnął nierychło, bo mu goście nie dali spocząć...

Gdy się mało co zdrzemnąwszy, nadedniem obudził, przypomniał sobie mazowieckich książąt, a nadewszystko Bolka, ojca ukochanej Ofki, nie widział ich wcale, i nie pokłonił się. Później w dzień trudno pochwycić było książąt, którzy królowi towarzyszyć mieli na rynek.

Ubrał się więc co prędzej, i pośpieszył do gospody, którą przy zamku mieli.

Znali go dobrze książęta z tych szaleństw, jakie dla pięknego dziewczęcia wyprawiał i śmiano się potrosze z synowca arcybiskupa, który nad miarę tracił, nosząc się z nadzieją pozyskania ręki księżniczki.

Ostatni jego czyn, napad na Orzelec, coć sporo grzywien mu przyniósł, nie poprawił sławy...

Chciał Dersław sam na sam widzieć się z księciem Bolesławem, ale ich wszystkich zastał razem, na bardzo ożywionej rozprawie.

Chmurni byli książęta. Zniewoliła ich wprawdzie królowa i biskup, że przy młodym królu stanęli, lecz do końca mieli jakąś nadzieję, że koronacya rozchwiać się może.

Teraz gdy ona przysła do skutku, wszyscy czuli się, nie przyznając, odarci z tajemnej nadziei, jaką żywili... Śmieli się przy uczie na zamku, lecz smutnemi oczyma spoglądali po sobie.

Bolko był szczególnie zrażonym.

Gdy Dersław kłaniał mu się, wybuchnął właśnie, do Ziemowita się zwracając.

— Cóż myślicie? Biskupom my ustąpić mamy?

Dersław drgnął posłyszawszy, nie zrozumiał o co chodziło.

Ziemowit przy obcym zachował ostrożne milczenie,

Bolko gorętszy a bliżej znajomy z Dersławem, zwrócił się ku niemu.

— Król młody jedzie zasiąść na majestacie w krakowskim rynku, aby hold od mieszczan odebrać... Z prawa się nam książętom, ojezycom polskim, należy po prawicy jego zasiąść, bośmy po nim pierwsi. Biskupi nas chcą posiąść! Na to nie można zezwolić.

Dersław miał już spytać o stryja, czy i on przy tem obstawał, gdy Ziemowit, jakby odgadł myśl jego, rzekł dumnie.

— Waszmościn stryj, ksiądz Wojciech, jak zawsze tak i teraz na dwu stołkach radby siedział. Nas nie chce sobie zniechęcić i obrazić, a Zbyszka się lęka... więc, słyszę, królowi towarzyszyć nie będzie. Tylko biskup krakowski i mój płocki wystąpią.

— Oleśnicki pewno nie da się posiąść nikomu — odezwał się Dersław...

— Ani my też! — gorąco zawołał Bolko Mazowiecki. — Dość zaprawdę uczyniliśmy dla królowej i na prośby biskupa, dając porękę za króla i stając przy nim u tronu, któryby się może rychlej nam, niż małemu temu należał. Zasiądziemy po prawicy, lub... pójdziemy ztąd.

Ziemowit się namarszczył.

— Iść ztąd zawcześnieby było — odparł. — Właśnie się o to będę rozbijać w senacie, kogo opiekunem naznaczyć Władysławowi. Słuszna więc, gdyśmy ręczyli za niego, abysmy my, nie kto inny się nim opiekował.

— Słuszna, to prawda — przerwał zeicha Dersław — ale u nas nie to wygrywa co słuszne, a to co... biskup krakowski powie. Mnie się zaś widzi, że on w książęce ręce opieki nie da, gdy ją sam dzierżeć może.

Książęta zamilkli, spoglądali po sobie; a Bolko o podłogę nogą uderzając, dodał.

— Ja podczas do opieki nie mam ani ochoty, ani

nadziei dostąpienia jej, ale miejsca przy tronie należnego nie ustąpię!

— Ari ja! — rzekł Ziemowit, a za nim drudzy powtórzyli też samo.

W Dersławie, choć przyrzekł się do warcholów nie mięszyć i w części słowa dotrzymał, zawsze drgała żyłka ta przekory a przeciwieństwa, którą niemal cała szlachta miała w sobie. Nadzieja nowego targu między duchowieństwem a książętami, gdy za ledwie jedna burza była zażegnana, uśmiechała mu się. Rad jej był, tem więcej, że mógł na nią patrzeć zdala, nie narażając się na żadną odpowiedzialność i niebezpieczeństwo.

Dolał więc chętnie oliwy do ognia i odezwał się gorączkowo...

— Zaprawdę, możecie miłości wasze pewniemi być, że w tym sporze będziecie mieli po sobie szlachtę całą niemal, bo wszystkim już się przewaga duchownych naprzykrzyła, którzy sami nad nami panować chcą.

Gdy to mówili, młody Sławicz, sługa księcia Ziemowita, którego w sprawie tej wysyłano do biskupa Zbyszka, powrócił, z twarzą przeciągniętą.

— Mówileś biskupowi — począł natychmiast Ziemowit — że my prawa naszego nie zrzeczymy się?

— Wedle rozkazu miłości waszych, sprawilem poselstwo — odparł Sławicz — ale mi się nie powiodło?

— Jakto? — zagadnęli razem Semko i Bolko.

— Biskup przy swoim obstaje — rzekł Sławicz. — I tak jako okazując stary statut Kaźmirzowski zwyciężył raz, znowu mi tym samym statutem dowiódł, że arcybiskup, lub najstarszy po nim z biskupów, nie tylko po prawicy króla zasiadać ma prawo, ale na takim samym tronie jak król i na równi z nim króluje... Jeden mieczem, drugi krzyżem władając narodem. A prawdą jest, że na pierwszej karcie statutu namalowany król i arcybiskup na równych tronach dwu, reszta zaś poniżej...

Ziemowit stał milczący...

— A któż to malował? — spytał po chwili—taki klecha jak i oni! Nie dziw, że swojego biskupa z królem na równi posadził... My nie ustąpimy.

Sławicz westchnął.

— Biskup powiada, że nie dla siebie, ale dla dostojności swej, która tu władzę nad duszami Ojca świętego przedstawia, ustąpić też nie może.

Wszyscy unikali. Gorętszy Bolko począł mruczeć.

— Pojedziemy precz!

— Nie — przerwał Ziemowit — nie pojedziemy, owszem przy królu do majestatu w rynku i aż do tronu będziemy z królem, a tu się rozstrzygnie sprawa...

Sławicz stał skłopotany. Dersław widząc, że tu już więcej do czynienia niema, skłonił się i wysunął.

Pojechał zaraz na miasto, Spytkowi z Mielsztyna i Straszowi wioząc pożądaną wiadomość, że choć wszystko zdawało się skończone, z książętami Mazowieckimi nowy spór obiecywał rozdwojenie, którego tak pożądan.

Gdy z wiadomością tą wpadł do Mielsztyńskiego, porwał się uradowany Spytek, nakazując wołać, po wczorajszym dniu chorego Strasza, aby obmyśleć, jak z tego sporu korzystać.

Abram Zbąski i wszyscy nieprzyjaciele biskupa krakowskiego gotowi już byli popierać książąt Mazowieckich, widząc w nich przyszłych swych sprzymierzeńców.

Ponieważ ani jedna ani druga strona ustępować nie chciała, spodziewano się w rynku, w obec tysięcy ludu... jeśli nie zawichrzenia i kłótni, to przynajmniej jakiegoś wybuchu książąt Mazowieckich.

Tak, ci co już stracili byli nadzieję wywołania rozbratu i domowej wojny, znowu się poruszyli nastrojącą zrzecznością do wystąpienia przeciw biskupowi.

Gdy się to działo w mieście, na zamku królowa,

która wszyskciem potajemnie kierowała i wiedziała o każdym poruszeniu umysłów, odgródce i zamiarach przeciwników, od rana zawiadomiona była o sporze, który zagrażał tam właśnie, gdzie pospolity lud, niewiele rozumiejący, mógł być świadkiem przygody, uwłaczającej powadze młodego króla...

Przelekła się, gdy jej o tem oznajmiono, ale ani do biskupa ślać z nadaremną prośbą, ani do książąt nie śmiała i czasu nie było.

Pod jej okiem właśnie, szatny i służba odziewali królewicza, a Sonka ze łzami radości i dumy macierzyńskiej patrzyła na śliczne swe pacholę, w królewskim stroju uśmiechające się do niej. Mały Kaźmirz ciekawie obiegał do koła brata, przyglądając mu się i radując też po dziecinnemu.

Matka przycisnęła go do piersi.

— Czekaj — szepnęła mu pocichu — i ciebie czeka korona! i ty włożysz ją... ja to czuję i widzę!!

Na stole leżała przygotowana dla Władysława korona, którą na purpurową wdziać miał czapeczkę, gdyż była na głowę jego za wielką.

Królowa, której świeże doniesienie pokoju nie dawało, zbliżyła się do tryumfującego synaczka i całując go w czoło, szepnęła.

— Patrz, abyś tak uczynił jak mówię... słuchaj mnie dobrze i zrozumiej.

Władysław zwrócił oczy iskrzące się i ciekawe na matkę, dając znak głową, że spełni jej przykazanie.

— Gdy w rynku zsiądziesz z konia, aby zająć miejsce na tronie, uważaj to dobrze, jeśli książęta Mazowieccy spór rozpoczną z biskupami, kto ma się po prawicy twej...

Podniosła rękę do góry królowa.

— Koronę twoją winienes biskupowi, byłbyś niewdzięczny, gdybyś przeciw niemu stanął, ale Mazowieccy i tak ci są niechętni, a zniechęcać ich się nie godzi.

Władysław oczyma zdziwionemi zdawał się szukać, jakimby środkiem dwie potęgi te przejednać...

— Raczej nie siadaj na tronie, niżbyś sobie pierwszego dnia, na pierwszym kroku, miał uczynić nieprzyjaciół. Stojąc przyjm mieszczan, na majestat nie wstępując.

Władysław usłyszawszy tę radę matki pochwycił i pocałował.

Uścisnęła go królowa.

— Idź, jedź, czekają na ciebie już wszyscy!!

I w powietrzu krzyżem go przeżegnała drżąca.

W rynku stały tłumy tak gęste, iż cały wydawał się usypany głowami ludzkimi. Pełne były okna, okryte dachy... Dzień słoneczny oblewał złocistym światłem obraz ten różnobarwny, ożywiony i wesoly. Bo choć w pośród mnogiego tego natłoku była gromadka niechętnych i zwyciężonych, z zawiścią w sercu patrzących na to, co się mimo nich stało, mniejszość ta ginęła wśród niezmiernie większej liczby narodu rozweselonego, szczęśliwego tem, że znowu miała swojego pana, swą głowę ukoronowaną, swego widomego wodza.

Spytek, Strasz, Abram Zbąski i ci co z nimi trzymali, starali się dostać jak najbliżej tronu i wschodów suknem szkarłatnem obitych, prowadzących do niego. Obrachowali oni miejsce, w którym młody król miał zsiąść z konia. Tu spodziewana była kłótnia, którą oni rozżarzyć i krzykami rozdmuchać chcieli.

Lecz w rynku oczekiwać musiano długo... Senatorowie poważniejsi, Jan z Tęczyna kasztelan biecki, Spytek z Tarnowa, Klemens Wątróbka, starali się po drodze do rynku jeszcze książąt Mazowieckich do ustępstwa skłonić.

Przeciągnięto umyślnie tryumfalny pochód młodego pana, wstępując z nim do kościołów, aby zyskać czas i z pomocą pośredników, księcia Ziemowita ubłagać. Dumny pan jednak okazał się niewzruszonym.

Zbyt wiele oczów patrzyłoby na jego upokorzenie. Stał więc przy swoim, że jemu z braćmi prawica należy.

Zwolna, o ile możności przeciągając nadejście stanowczej chwili, jechał król ku rynkowi, tu jeszcze wprowadzono go do Panny Maryi, gdzie duchowieństwo ze święconą wodą, krzyżem i pieśniami nań czekało...

U drzwi jej siadł na koń zmierzając ku tronowi, który zdala pod Ratuszem widać było. Powiewały nad nim chorągwie państwa, ziemi krawowskiej i miasta... U stóp z darami widać było stojących mieszczan...

Młody król na przemiany zwracając się to do biskupa to do książąt, badał ich twarze i rad był odgadnąć usposobienia. Oleśnicki jechał tak spokojny jak zawsze, Mazowieccy z oczyma zaiskrzonymi i skrzywionymi twarzami... Zdawało się jednak Władysławowi, że bądź co bądź, spór musiał być już zażegnany.

Chciał bardzo zasiąść na tym tronie wśród rynku, w swej koronie i płaszczu, dając się widzieć tysiącom i z tej wyżyny usłyszeć okrzyk powitalny ludu, prawdziwego ludu... Dotąd tylko dostojne piersi panów i rycerstwa obwoływały imię jego, tu w rynku pierwszy raz miał uszu jego dojsć głos tego mnóstwa... tej ómy wielkiej złożonej z maluczkich, biednych i podrosłych zaledwie, ludzi od pluga i rzemiosła... z chat i dworków.

W chwili gdy koń się zatrzymał, a młody pan zsiadł z niego, książę Ziemowit, milczący dotąd, odczuwał się głosem stanowczym.

— Prawica się nam należy...

Chwilę trwało milczenie. Oleśnicki rzekł powoli.

— Tylko arcybiskup może zasiąść przy królu po prawej, a ja dziś go tu zastępuję...

Mierz yli się oczyma. Młody król krótką chwilę stał jakby oczekując rozstrzygnięcia, lecz zapastnicy milczeli, jakby je zdali na niego.

W tej chwili Władysław pieszko kilka kroków podszedł do oczekujących nań mieszczan, z twarzą pogodną i wesołą, przemówił do nich kilka słów niedosłyszanych, zrócił się do konia, którego sobie podać kazał. i nie wstępując na tron, w dalszą po mieście puścił się drogę.

Milczenie oczekiwania trwało czas jakiś... Lud sądził, że ujrzy króla na wysokościach, gdy siadł na koń, na dany znak przez mieszczan, naprzód cichszy, potem stutysięczny zagrział okrzyk...

— Niech żywie! niech żywie!

VIII.

Przy ulicy św. Anny, w kamienicy, która się stykała z jednym z kolegów wskrzeszonej przez Jagiełłę Akademii, mieszkał naówczas sławny z nauki, mistrz Henryk, Czechem zwany.

Był on w istocie na pół Polakiem, pół Czechem, po ojcu i matce, a nadane mu nazwisko odnosiło się do tego, że za młodu w Pradze się uczył, mieszkał tam czas jakiś, później dopiero przeniósłszy się do Krakowa.

Należał on do tych umysłów ciekawych a prawie żadnych, jakie prawie każdy wiek wydaje, chociaż nie każdy czas, nie każdy grunt dozwala im po sobie pamięć wielkich pracowników na wiekuistym polu trudu ludzkiego zostawić.

Ginie wielu zapomnianych, co jałowe jeszcze pola trzebią, co drogi nieznane prostują, a lada ognikiem

dają się z nich sprowadzić. Nie kości ich, ale umysłowa spuścizna użyźnia rolę, staje się nawozem dla przyszłych pokoleń. W lat wiele na potem ich przesiąkniętej ziemi wschodzą plony, rozwijają się kwiaty.

Był swojego czasu mężem wielkiego trudu i nauki mistrz Henryk, ale trafił na epokę, która następnej plac oczyszczać była przeznaczoną.

Zwiastowało się już nauk odrodzenie, w umysłach budziło się to życie, które jutrenkę zapowiada, wszyscy mieli żądzę wiedzy, ale mało z nich mogło podnieść się po nad rumowiska i schwycić nić zerwaną pracy ludów starożytnych.

Nie był to jednak wiek tak bezpłodny, jakim go później nierozważne sądy uczynić chciały. Cała ta scholastyka, to szermowanie i subtylizowanie pojęć a słów, znaków i rzeczy, rozróżnianie, zabawianie się pozornymi drobnostkami, przygotowywało i usposabiało umysły, rodzajem gimnastyki ducha wyrabiało siły do wielkich walk i zdobyczy w przyszłości.

Żadne z tych uderzeń motyki, która rozbijała stwardniałą ziemię, nie zostało stracone. Ziarno, choć miało leżeć wieki zamarte, nie zginęło. W piętnastym wieku gotowało się odrodzenie XVI.

Mistrz Henryk Czech, na którego z wyżyny czasów naszych patrząc, możemy go nazwać marzycielem w obłędzie, tak był potrzebnym w tych latach trudów przygotowawczych, jak najuczeńsi mężowie dzisiejsi. Był on astrologiem, a astrologia drogi torowała astronomii, tak jak alchemia gotowała chemii pole jej przyszłych zdobyczy.

W oczach ludzi tamtych czasów, mających wiarę głęboką, nie było najmniejszej istoty na ziemi, która by w wielkiej całości wagi i znaczenia nie miała. Wszystkie one były z sobą w związku ścisłym, a zatem wierzono, że gwiazdy i ciała niebieskie wpływają na losy wszelkich stworzeń i ludzi.

Wedle tej prastarej nauki, przez Arabów wznowionej, dzień i godzina narodzin stanowiła o przy-

szłości. Wiara w opatrność łączyła się tu z fatalizmem, w którego głębi tkwi ta idea praw niezłomnych, nieuniknionych, rządzących światem.

Mistrz Henryk był astrologiem, ale był zarazem lekarzem, matematykiem i badaczem tajemnic przyrody, na które jeszcze przez oczy Aristotelesa i Pliniusza patrzano.

Nadewszystko był to człowiek, wedle naszego właściwego wyrażenia, ciekawy; żądny pochwycenia tajemnic natury na wszystkich drogach znanych i nieznanых.

Ale w epoce tej do samej natury nie zwracano się jeszcze dopytując o jej tajemnice; chciano na-przód wiedzieć to, co o niej starożytni dobatali się i pozostawili. Badanie tonęło w księgach, a to co one podawały, przyjmowano z poszanowaniem nie poddając krytyce. I mistrz też Henryk zamiast w niebo i na ludzi, patrzył i zagłębiał się w księgi.

Był to człowiek już stary, ślęceniem nad rękopismami zgarbiony, z twarzą pargaminową, z oczyma wpadłemi, światu obcy, zatopiony w sobie i pisanej mądrości.

Nie dostatni, wszelki grosz jaki miał, obracał na nabywanie rękopismów, których naówczas wszyscy żądni byli, które przepisywano, przepłacano jak relikwie i klejnoty.

Biedak powtarzał często przysłowie stare: Sprzedaj płaszcz a kupuj książki (*Vende pallium, eme libros*), ale płaszcza nie miał nawet do sprzedania i od ust sobie odejmować musiał.

Mieszkanie jego nosiło na sobie wszystkie cechy pracy ówczesnej, encyklopedycznej, nieuporządkowanej, plądrującej we wszystkich sferach za jakimś światła promykiem.

Stosami leżały rękopisma najrozmaitszej treści, obok nich astrolaby, w stojach zachowane poczwarne istoty, wypchane zwierzęta, skóry ściągnięte z nich,

zasuszane kwiaty, przepisywane formuły różnych tajemnic...

A że mistrz Henryk nie miał jak dwie izby, a w tej, w której pracował, przynoszone mu obiady spożywał, bo do wspólnego stołu rzadko mógł zasiąść; wśród rękopismów widać też było i miseczki gliniane z kośćmi od ryb, resztkami kaszy, okruszynami chleba...

Wśród tego nieładu pozornego, którego żadna ręka profana tknąć nie śmiała, mistrz Henryk jeden był jak w domu. Wiedział on o każdym świstku, o najmniejszym złomku, nawet o kartce, na której czytać przestał i założył ją znakiem...

Przybywający tu, nie wyjmując chłopaka paupra, który służył mistrzowi, musieli się trzymać przy progu, a nie wkraczać dalej w ten labirynt stolików, pulpitów półek i skrzynek, których tykać nikomu nie było wolno.

Uczony nie lubił też gości i natrętów, każda chwila była mu droga, bo od tych, co się cisnęli, nie nauczyć się nie mógł. Nieuniknionem jednak sławy następstwem było, że często do drzwi jego stukano. Znaczniejsze rodziny rade mieć były horoskopy nowo przybyłych na świat, a mistrz Henryk nietylko za biegłego astrologa uchodził; utrzymywano, że ten stan ducha, w jakim zostawał, wyrobił w nim dar proroczego jasnovidzenia... Chociaż mniej to sobie cenił, znał też chiromancyę i naukę wróżenia z ręki, na której także charakterami nie dla wszystkich czytelnymi, losy człowieka wypisane być mają.

Niewiele obcując z ludźmi, miał też znakomitą władzę poznawania charakterów z twarzy, i rzadko go zawodziło wrażenie, jakie one na nim czyniły.

My co żyjemy w wieku zastygłym, który w nas inne władze wyrabia, a wiele dawniej pod wpływem czasu rozwiniętych, zaciera, możemy się uśmiechać z tych widzeń wieszczych, jakie dawniej miewali lu-

dzie, nie mniej jednak były one możliwe, i dar jasnowidzenia mieli wybrani.

Za takiego i mistrz, uczony Henryk Czech uchodził. Ale uczoność ta jego, nietylko nie ostudzała pobożności wielkiej, łączyła się z nią najściślej. Praktyki religijne służyły jej jako bodziec do wyrabiania siły, do utrzymania ich w nateżeniu bezprze-stannem.

Modlitwa i próśby wprawiały go w rodzaj gorączki, która umysłu działalność potęgowała.

W czasie tych wypadków, których teatrem był Kraków, narad o wybór i koronację młodego króla, wyniesienie go na tron, uroczystości towarzyszących obrzędów, a później rad i uchwał senatu, który rząd tymczasowy dla Polski obmyślać musiał, mistrz Henryk siedział zamknięty. Nie wiedział nic, a słuchy o tem co się w stolicy działo, dochodziły go ułamkowe i niewiele poruszały.

Daleko więcej obchodziło uczonego w jakim stosunku stały planety, w jakim która z nich znajdowała się domu, i czy aspekty konjunkcyą, czy opozycyą zapowiadały; kto panował, czy smutny i zimny Saturn, czy księżyc wilgotny i tęskny, czy Mars palący i suchy, lub Jowisz błogosławiony a jasny...

Schylony nad rachunkami swemi lub nad staremi rękopismami, mistrz Henryk wiedział załedwie, że nowego pana dostało królestwo.

Ucichło już było w stolicy, goście się porozjeżdżali i pokój zapowiadał równie na ziemi, jak w niebiosach, gdy jednego dnia sierpniowego zastukano do drzwi mistrza Henryka, właśnie zajętego rękopismem, który go najżywiej zajmował. Z niechęcią i smutkiem podniósł głowę, zamruczawszy coś niewyraźnie, poruszył się z krzesła, na którem siedział skulony i ujrzał we drzwiach wchodzącego średnich lat, po-

ważnego mężczyznę, w sukni duchownemu stanowi właściwej.

Przybywający był mu nieznajomy, choć zdawało się mistrzowi Henrykowi, że twarz już kędy widywał z daleka. Postawa i ubiór opowiadały, że niepoślednie musiał zajmować stanowisko.

Po chrześcijańskim powitaniu, uczony czekał skromnie, aby mu gość powód przybycia swego objaśnił.

— Mistrzu — rzekł przybyły — twoja sława wprowadza mnie do ciebie... Nie dla siebie pragnę twej zasięgnąć rady, ale dla osoby wysoko położonej, którą los jej dzieci obchodzi. Nie tajno to nikomu, że choć przeznaczeń swych człowiek uniknąć nie może, wiedząc o nich, potrafi czasem zapobiedz i złagodzić to, co go czeka... Serce macierzyńskie czuwające nad dziećmi...

Mistrz Henryk nie dał dokończyć mówiącemu.

— Czegóż się wy odemnie dowiedzieć chcecie? — zapytał.—Ja wam tylko to, czego mnie gwiazdy nauczą powiedzieć mogę... One są nieubłagane... A jest-li to z pożytkiem dla człowieka, gdy zawczasu zna przyszłość swoją? Gdyby opatrność widziała z tego korzyść i potrzebę dla nas, czyżby nas władzą tą nie obdarzyła?

— Wszystkim jej dać nie mogła — odezwał się duchowny—boć dzieciom się nożów nie daje; ale niektóre umysły i ludzi wybranych ubłogosławiła widzeniem przyszłości... Czemużby tym darem się nie podzielili??

Stary uczony westchnął.

— Niewiasta owa, chce was widzieć i mówić z wami—dodał nieznajomy—ale tak, aby o niej nie wiedziano...

Zamyślił się mistrz Henryk.

— Słyszałem—dodał gość—iż pożądacie mieć rękopism pewien, o którym rektor uniwersytetu opo-

wiadał, iż ma kilka kop groszy kosztować. Mogę wam zapewnić nabycie jego dla was w Wenecyi, jeżeli prośbie mej nie odmówicie.

Słyszając to zadrgał cały mistrz Henryk, ręce podniósł i o mało nie uściskał mówiącego.

— O! błogosławionaż ta godzina, gdyście próg mój przestąpili—zawołał—mówcie co uczynić mam... Całą biedną mądrość moją składam u nóg waszych i dobroczynnej tej niewiasty...

— Dziś nad wieczór czekajcie na mnie — dodał rozweselony duchowny i już się miał ku drzwiom zawrócić, gdy myśl go jakaś wstrzymała.

— Ojciec mój—rzekł ciszej—jeżeli byście w przyszłości zbyt smutnego dopatrzili się obrazu, nie zakrwawiajcie nim serca matki.

Stary podniósł ręce.

— Bądź spokojnym — rzekł — doświadczenie nauczyło mnie ważyć, co czyje barki znieść mogą. Nie włożę na nie brzemienia nad siły...

Po wyjściu gościa, mistrz Henryk nie powrócił już do swej księgi, cieszył się jak dziecię nadzieją rękopismu... Potem stał czas długi zadumany, usiłując rozwiązać jakąś zagadkę...

Czoło mu się pofałdowało, pot otarł z niego, uśmiechnął się i uderzył w ręce... Zdawało mu się, że odgadł to, czego się dowiedzieć pragnął.

Szybkim krokiem poszedł do stolika i z kupki papierów i pergaminów zamkniętych w nim, dobył przetrząsnąwszy je, trzy horoskopy...

Jeden z nich, popatrzwszy nań, nazad zachował, dwa u okna począł badać i rozmyślać nad niemi.

W kącie wielkiej izby, mało widocznym i zaciemnionym, stał prosty z drzewa sosnowego klęcznik, a na nim mały Chrystus ukrzyżowany, dar zapewne uczyniony mu przez kogoś, bo rzeźba była kosztowna i piękna. Stary ukląkł, złożył po nad głową ręce

i modlił się czy dumał w myślach zatopiony długo, rozpoznać było trudno...

Szelest w korytarzu wiodącym do jego mieszkania rozbudził go. Przeżegnał się i powstał. Drzwi się rozwarły i w towarzystwie duchownego, który ją zapowiedział, weszła krokiem powolnym, zakwefiona cała, poważna, słusznego wzrostu niewiasta. Czarna zasłona z czoła spadała jej na twarz białą i bladą, wśród której ciemne, pełne ognia jeszcze świeciły oczy...

Mistrz Henryk nisko się skłonił przed nią, stając w pokornej postawie na rozkazy.

— Przychodzę was spytać o losy synów moich — odezwała się głosem męznym przybyła. — Powinnam je znać, aby do nich moje i ich życie zastosować... Bóg dał wam nankę i dar prorocy...

Umilkła. Mistrz Henryk chwilę, jakby ducha skupiając, stał także milczący.

— Nauka ludzka — rzekł — niewiele waży, jeśli ją niewesprze moc Boża, a światło z niebios niezawśnie spływa, bo człowiek niezawśnie go jest godnym...

Zatrzymał się wzdychając ciężko...

— Pozwólcie mi spytać — odezwał się nieśmiało — Bóg wam dał synów trzech! Jednego wziął do siebie?

Niewiasta drgnęła zdziwiona.

— Zaprawdę, w istocie trzech miałam, dwu mi pozostało!

Mistrz Henryk śpiesznie sięgnął ręką drżącą po dwa rzynki papieru, które był przygotował na stole.

Wpatrzył się w nie długo, jakby w nich czytał... Każdy ruch jego i wyraz twarzy niespokojnie śledziła oczekująca pani.

— Starszy — rzekł — dziecię szczęścia... dziecię wesela, złożony w srebrnej kolebce... bohater będzie... Dwie złote gwiazdy widzę nad jego głową, dwie jak korony jasne koła...

Księżyc przeciwko niemu... niechaj się strzeże księżycu...

Tu zamilkł...

Niewiasta słuchała nie mówiąc nic, drżący rąbek zdradzał wielkie wzruszenie...

Mistrz Henryk papier jeden położył na stole i czytał w drugim długo.

— Drugi syn, dziecię łez i boleści...

Staby okrzyk wyrwał się z piersi słuchającej, a starzec powoli, jakby nic nie słyszał, zatopiony w sobie, mówił dalej.

— Dziecię łez i boleści i nad niem korona świeci... Widzę życia drogę długą, ciężką, najeżoną ostrym cierniem, zawaloną głazami, ale u jej skraju znużony stoi zwycięzcą... Obok niego niewiasta, której nie chciał a ukochał i rodzina... Wśród niej też gwiazdy palają...

Tu głos mu słabnąć zaczął i papier wypuścił z rąk.

— Błogosławioną jesteś matką — dodał — choć łzami i boleścią opłacisz, a trudem strasznym szczęście dzieci... Mężtwa ci potrzeba do końca, na długie jeszcze życie, a wszystko co obiecano widzieć będziesz czyniła własnymi.

To mówiąc krzyż uczynił w powietrzu... Głos mu się zmienił, jakby nagle otrzeźwiał i zstąpił z wyżyny.

— Nie widzę już nic — dodał.

Ufajcie Bogu, który wszelki trud, miłość i wytrwałość a ufność w siebie opłaca.

Słuchająca odetchnęła, jakby ciężar wielki spadł z jej piersi... Przejęta była i jeszcze drżąca... Stojący za nią duchowny, worek, który przyniósł z sobą, zcichła położył na stole.

— Bóg niech wam płaci — odezwała się niewiasta. — Pokój daliście duszy mojej. Jeżeli kiedy zapotrzebujecie pomocy... wezwijcie jej u mnie. Wicie kto jestem, bo wam nic zakrytym nie jest...

Schyliła głowę powoli i ręką skinąwszy, w drzwiach znikła...

Duchowny, który pozostał w progu, zcichła, zwrócony do pochylonego pokłonem Henryka, rzekł.

— Królowa!

Stary uśmiechnął się smutnie, widywał ją na zamku zdala, a poznałby nie wiedząc kto jest, po majestacie oblicza.

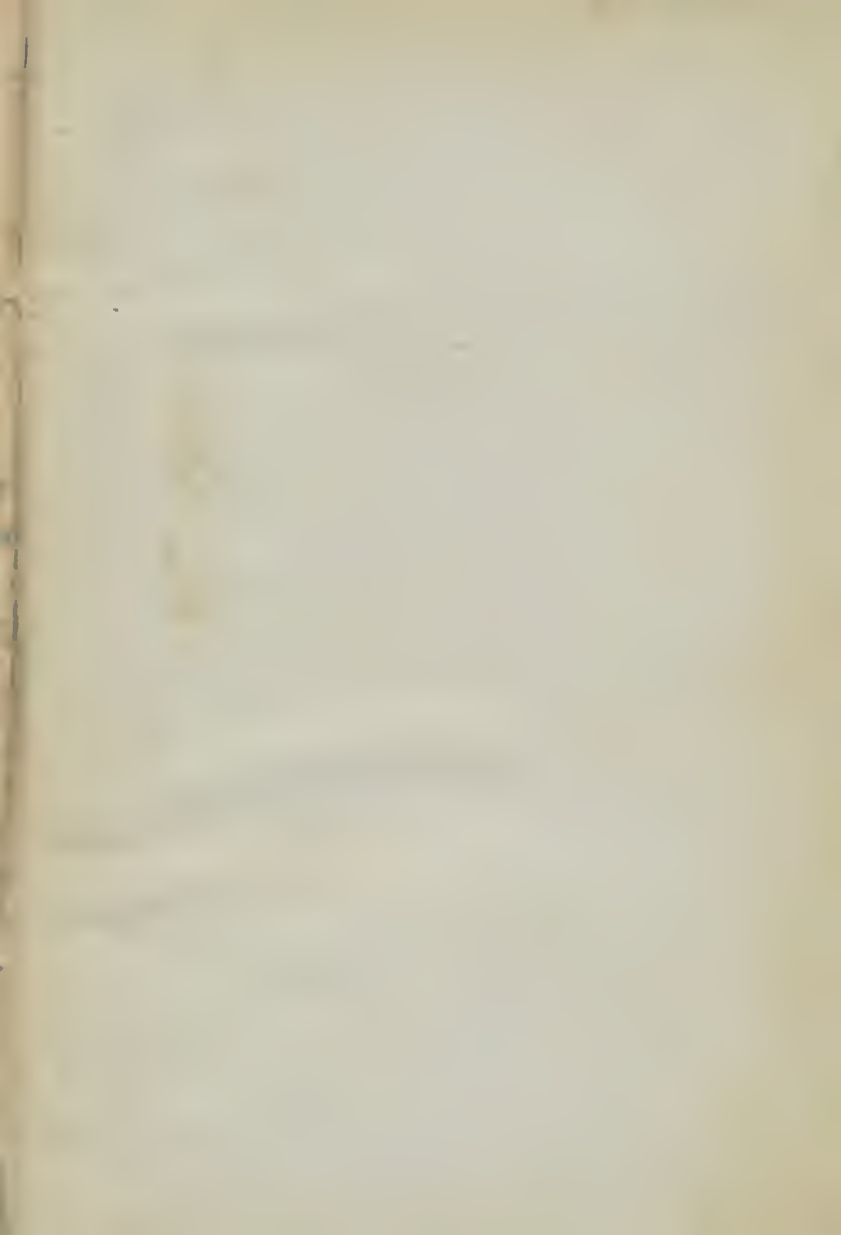
— Królowa!—szepnął skłaniając się raz jeszcze.— Tak! męczennica! i przyszłość nawet grobu jej nie poszanuje...

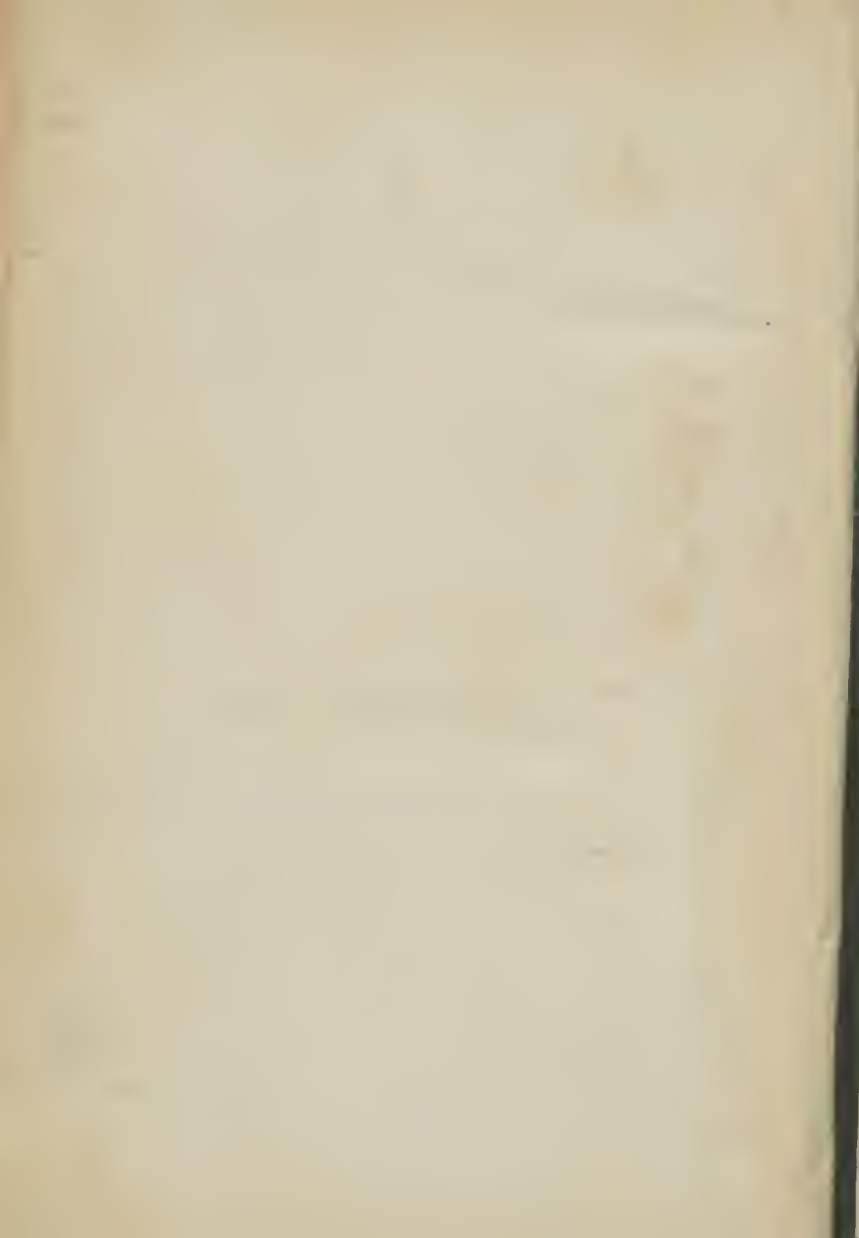
KONIEC.

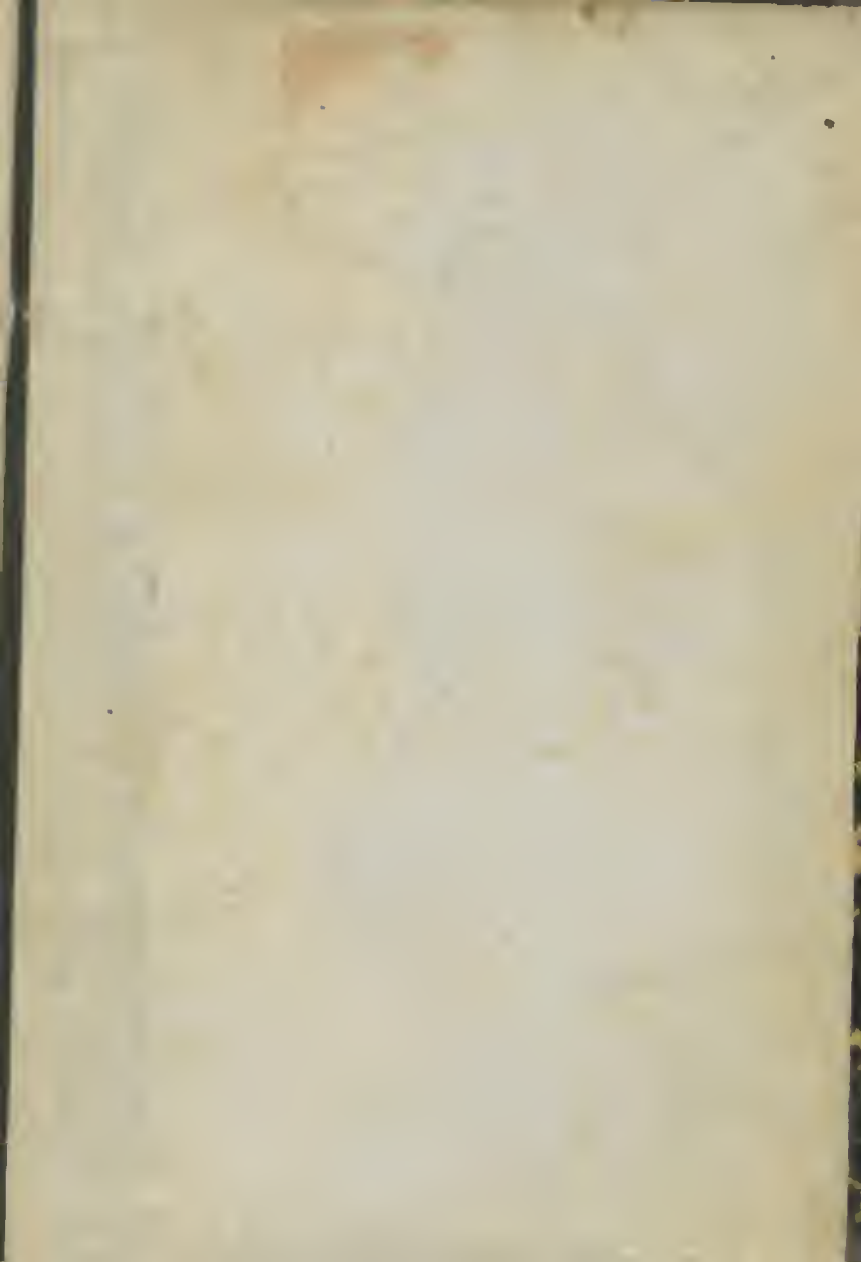
Drezno 1882.











Biblioteka Raczyńskich

JK 571



JK0571